

Almanach Łącki

*Rótnocznik pod patronatem
Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej
wydawnictwo historyczno-kulturalno-spoleczne*

*Nr 19
Rok 2013*

Kolegium Redakcyjne

prof. Julian Dybiec - przewodniczący
prof. Barbara Wagner - z-ca przewodniczącego
prof. Bolesław Faron
ks. prałat Józef Trzópek
mgr Zbigniew Czepelak

Redakcja

Jadwiga Jastrzębska - sekretarz
Paweł Szczodrowski - opracowanie graficzne
Jan Dziedzina - kontakty ze szkołami
Andrzej Urbaniec - kontakty ze stowarzyszeniami (zastępca sekretarza)
Rozalia Kulasik - finanse
Ewelina Faron - korekta

Copyright by Towarzystwo Miłośników Ziemi Łąckiej
33-390 Łącko 512

Almanach Łącki - półrocznik wydawany społecznym wysiłkiem autorów
i redakcji.

Druk i papier finansowany ze środków:



Starostwa Sądeckiego



Urzędu Gminy w Łącku

prywatnych darczyńców i środków własnych TMZŁ

Egzemplarze archiwalne dostępne w: Bibliotece Narodowej w Warszawie, Bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego, Miejskiej Bibliotece Publicznej im. J. Szujskiego w Nowym Sączu, Gminnej Bibliotece w Łącku (i jej filiach), Bibliotekach Szkół w Gminie Łącko, Towarzystwie Miłośników Ziemi Łąckiej, Miejsko-Gminnej Bibliotece w Starym Sączu, Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Krakowie, Bibliotece Uniwersytetu Wrocławskiego, Centralnej Bibliotece PTTK, Centralnej Bibliotece Górskiej oraz u autorów artykułów.

Projekt okładki: Paweł Szczodrowski
Skład: Wydawnictwo "Koliber"
Druk: Flexergis Sp. z o.o.
Nakład: 750 egzemplarzy

Redakcja Almanachu Łąckiego:
33-390 Łącko 512
tel. 502 520 123
e-mail: tmzl@elacko.pl

Drodzy Czytelnicy!

Oddajemy w Wasze ręce kolejny, 19 numer Almanachu Łąckiego.

W tym numerze, na końcu, zamieszczony został nr 2 Almanachu Łąckiego z 2005 roku, więc można uzupełnić swój zbiór o pierwsze dwa numery, bowiem w numerze 18 dołączono nr 1 z 2004 roku.

Redakcję ogromnie cieszy, i zobowiązuje do dalszego podnoszenia poziomu merytorycznego i edytorskiego, duże zainteresowanie naszym wydawnictwem, o czym świadczą listy, oraz wspomnienia, pamiętniki, fotografie, przysyłane do redakcji, które zamieszczamy w tym numerze Almanachu Łąckiego, i będziemy zamieszczać w kolejnych numerach.

Myślę, że ten numer zainspiruje wielu Czytelników do przesłania swoich wspomnień, szczególnie zależy nam na wspomnieniach związanych z pobytam Marii Kownackiej na Ziemi Łąckiej.

W przyszłym roku przypada 120 rocznica urodzin pisarki i z tej okazji planujemy wydanie książki o pobycie Marii Kownackiej w naszym regionie.

W tym numerze znajdują Państwo recenzję Jerzego Leśniaka, tomiku poezji „Polskie Madonny Ludowe” Marii Kownackiej, który wydany został we wrześniu tego roku, przez Towarzystwo Miłośników Ziemi Łąckiej.

Szczególnie gorąco polecam kolejną część wspomnień Józefa Myjaka, Krzysztofa Chwaliboga, a także wspomnienia Andrzeja Stępniewskiego, lekarza, który w tym roku obchodził 50lecie pracy w Ośrodku Zdrowia w Czarnym Potoku.

O zapomnianej postaci malarza, pochodzącego z Łącka, Stanisława Bocheńskiego przypomina prof. Julian Dybiec.

Swoje misje w byłych republikach Związku Radzieckiego: Kirgistanie, Uzbekistanie, Tadżykistanie i Turkmenistanie opisał ks. Henryk Majkrzak. Poznajemy wraz z ks. Henrykiem świat odległy o tysiące kilometrów, od naszej „małej ojczyzny”, z całym postsowieckim bagażem politycznym, ekonomicznym i społecznym.

Numer ten zawiera także stałe pozycje, bogate w fotografie i opisujące niecodzienne zdarzenia.

By nie pozbawiać przyjemności odkrywania kolejnych mikroświatów i mikrokosmosów, nie napiszę o wszystkim co znalazło się w tym numerze Almanachu Łąckiego, lecz polecam cały numer życzliwej ocenie Czytelników.

Jak zawsze z niecierpliwością i uwagą czekamy na opinie i kolejne materiały, zachęcamy do współpracy, oraz życzymy ciekawej lektury.

Jadwiga Jastrzębska – sekretarz Almanachu Łąckiego

Wspomnienia lekarza medycyny Kierownika Niepublicznego Zakładu Opieki Zdrowotnej w Czarnym Potoku

We wrześniu 2013 r. minęło 50 lat od rozpoczęcia mojej pracy w Ośrodku Zdrowia w Czarnym Potoku na stanowisku lekarza medycyny. Jestem rodowitym sądeczaninem, a Czarnego Potoku nigdy wcześniej nie znałem.

Studia medyczne ukończyłem w Akademii Medycznej w Krakowie w 1960 roku. W 1963 roku pracowałem w szpitalu w Nowym Sączu na oddziale chorób wewnętrznych, kończąc staż podyplomowy. Za namową kierownika Wydziału Zdrowia w Nowym Sączu zgodziłem się podjąć pracę w Ośrodku Zdrowia w Czarnym Potoku tylko na zastępstwo, na okres 3 miesięcy. Poprzedni lekarz zmienił miejsce pracy i ludzie



I Komunia Święta

zostali pozbawieni opieki lekarskiej. Ośrodek funkcjonował wówczas jako Spółdzielnia Zdrowia i jak każda spółdzielnia miał swój Zarząd oraz Radę Nadzorczą. Spółdzielnia utrzymywała się z niewielkich składek rolników oraz była dofinansowywana przez PZGS i WZGS. W całym kraju działało kilkaset tego typu Spółdzielni. W Spółdzielniach Zdrowia rolnicy mieli zapewnione bezpłatne porady lekarskie, natomiast w państwowych wiejskich Ośrodkach Zdrowia leczenie było odpłatne. Tak było do 1973 roku.

W 1973r. rolnicy zostali ubezpieczeni przez państwo i od tego czasu Spółdzielnia Zdrowia w Czarnym Potoku została przekształcona w państwowy Ośrodek Zdrowia, który podlegał dyrekcji szpitala w Nowym Sączu. Od tej pory rolnicy mieli bezpłatne leczenie w Przychodniach, Ośrodkach Zdrowia i Szpitalach.

Przypominam sobie, że w pierwszych dniach września 1963 r. przyjechałem po raz pierwszy do Czarnego Potoku. Przyjął mnie niezwykle serdecznie i życzliwie ówczesny proboszcz parafii, ksiądz dziekan Franciszek Dyda, który pełnił także funkcję Przewodniczącego Rady Nadzorczej Spółdzielni Zdrowia, i zachęcał mnie do podjęcia pracy i zamieszkania tutaj na stałe.

Początkowo nie nosiłem się z zamiarem pozostania tutaj na dłużej, ponieważ byłem przerażony dojazdami do Nowego Sącza, oddalonego aż o 25 km i niezwykle

trudnymi warunkami mieszkaniowymi, które mi zaproponowano (pokój z kuchnią, brak elektryczności we wsi, brak bieżącej wody, fatalna droga). Można powiedzieć, że była to wówczas wieś prawie odcięta od miasta, a nawet nie było drogi do pobliskiego Łącka. Łączność z Nowym Sączem i okolicami zapewniały jedynie cztery kursy autobusów PKS i furmanki. Jednak po pewnym czasie przekonany o wielkich potrzebach zapewnienia opieki zdrowotnej miejscowej ludności, i widząc jakim ludzie darzą mnie szacunkiem, życzliwością i zaufaniem, postanowiłem pozostać tu na



Antonina i Andrzej Stępniewscy

dział. Poczuliśmy się coraz bardziej związani z tym środowiskiem i potrzebny. Powoli przyzwyczajałem się też do tej miejscowości. Również na moją decyzję zamieszkania w tej wsi miał wpływ ówczesny kierownik Wydziału Zdrowia w Nowym Sączu dr Stanisław Tischner, który obiecał mi postarać się o zawieszenie decyzji powołania mnie do wojska na stanowisko lekarza wojskowego. Nie chciałem być powołany do wojska na dwa lata. Łączyłoby się to z rozłąką z żoną i jednoroczną córeczką. W tym czasie większość lekarzy była powoływana na okres dwóch lat. Wszystkie te okoliczności wpłynęły na to, że z dniem 1 listopada 1963 r. podpisałem umowę na etat stały, a od 1 grudnia zamieszkałem wraz z żoną i dzieckiem w budynku, w którym mieściły się także gabinety Spółdzielczego Ośrodka Zdrowia. Był to stary budynek podworski,

Był to stary budynek podworski,

Jak już wspominałem warunki mieszkaniowe były bardzo trudne, mieszkanie zimne, bez elektryczności i żadnych wygod, za ścianą pokoju mieściła się poczekalnia dla pacjentów, skąd dochodziły hałasy i odgłosy rozmów. W budynku nie było wody, a nosić ją trzeba było wiadrami z odległej studni, w której bardzo często też jej brakowało. Codziennie wcześniej rano dojeżdżałem do szpitala w Nowym Sączu, gdzie, przez okres 6 lat, pracowałem na oddziale chorób wewnętrznych odbywając staż specjalistyczny z interny. Po powrocie około godziny 13. rozpoczynałem przyjmowanie pacjentów w Ośrodku Zdrowia, a potem odbywałem wizyty domowe do późnych godzin wieczornych. Pod Ośrodkiem Zdrowia stały zawsze furmanki, a zimą sanie. Przyjeżdżali nimi chorzy pacjenci, dzieci i dorośli. Inne znów oczekiwały na odbicie

przeze mnie wizyty domowej. Często zimą saniami jeździła ze mną na wizyty żona z dzieckiem. Nikt wówczas w okolicznych wsiach nie posiadał samochodu. Niejednokrotnie wizyta trwała 2-3 godziny. Często byłem wzywany nocą do chorych, także w dni wolne od pracy, niedziele i święta (soboty były pracujące). Zdarzało się, że w nocy byłem wzywany do chorych nawet dwu i trzykrotnie.

Rejon mojej działalności był bardzo rozległy w trudnym, górzystym terenie i obejmował kilka wsi: Czarny Potok, Olszana, Olszanka, Szczereż i częściowo Jadam-



W gabinecie lekarskim

wola i Jastrzębie. Kiedy zaczynałem pracę w rejonie zamieszkiwało 2700 osób. Obecnie jest ich mniej, ponieważ wielu młodych ludzi osiedla się gdzie indziej, a nawet wyjeżdża za granicę. Poza tym wyjeżdżałem bardzo często na wizyty w rejon Łącka i Łukowicy, gdyż pracujący tam lekarze nie mieszkali na stałe, tylko dojeżdżali na kilka godzin. Choremu pacjentowi nigdy nie odmawiałem pomocy mimo, że nie był to rejon mojej działalności. Nieraz było bardzo ciężko, byłem sam i ciążyła na mnie wielka odpowiedzialność za zdrowie i życie ludzi.

Dopiero po roku mojego pobytu wieś została zelektryfikowana. Pracę utrudniał brak możliwości przeprowadzania na miejscu badań analitycznych. Dlatego dzięki własnym staraniom i pomocy ks. Dziekana F. Dydy oraz Zarządu Spółdzielni Zdrowia, a także wsparciu finansowym władz PZGS w Nowym Sączu i WZGS w Krakowie udało mi się zakupić

sprzęt do podstawowych badań analitycznych (morfologia krwi, moczu OB., a po kilku latach aparat EKG). Badania te ułatwiały mi prawidłowe diagnozowanie pacjentów. Najbardziej zaangażowanym społecznikiem byli ks. Dziekan Franciszek Dyda oraz Prezes Pan Józef Potoniec. W pracy bardzo pomagała mi, nieżyjąca dziś, pielęgniarka Pani Maria Pulit, która z pełnym poświęceniem i ofiarnością wykonywała swoje obowiązki. Nieraz przechodziła pieszo kilka kilometrów dziennie, aby wykonywać zabiegi i opatrunki w domu chorego, była do dyspozycji o każdej porze dnia i nocy.

Jednocześnie byłem zobligowany do pełnienia dyżurów w szpitalu w Nowym Sączu, 3-4 razy w miesiącu. Dyżurowałem przez okres 30 lat, początkowo na Izbie Przyjęć, a potem na Oddziale Chorób Wewnętrznych i Kardiologii.

W 1970r. dzięki staraniom Zarządu Spółdzielni oddano do użytku nowy Ośrodek Zdrowia. Na parterze budynku mieściły się gabinety lekarskie, natomiast na piętrze dwa mieszkania: dla lekarza i dentysty.

Od tej pory warunki mieszkaniowe zdecydowanie się poprawiły. Dostałem trzy pokojowe mieszkanie z centralnym ogrzewaniem. Zrobiono też drogę do Nowego Sącza i wreszcie dojazd do Łącka. Problemem był w dalszym ciągu brak wody, tak zresztą jak i w całej wsi. Często pod Ośrodkiem Zdrowia stała beczka z przywiezioną wodą z pobliskiej rzeki.

Również z Nowego Sącza jest lekarz stomatolog Maciej Grodzicki, który przyjechał do Czarnego Potoku pierwszy raz 15 sierpnia 1970r. w Święto Matki Boskiej Zielnej. Absolwent Gdańskiej Akademii Medycznej wraz z żoną, też stomatologiem. Szukali mieszkania i pracy. Ojciec doktora Grodzickiego i ojciec mojej żony pracowali w jednej firmie. Zgadali się, że jest miejsce pracy i mieszkanie w Czarnym Potoku dla stomatologa w nowym budynku Ośrodka Zdrowia. Nie znaliśmy się wcześniej. Wspól-



Maciej Grodzicki lekarz stomatolog (z lewej) i Andrzej Stępniewski

nie w Ośrodku mieszkaliśmy przez 16 lat. Ten okres wspominam jako najpiękniejsze lata mojego życia. Iluż tu przyjaciół i znajomych gościiliśmy. Przyjeżdżali na ogniska, kuligi, sylwestry. Życie towarzyskie kwitło... Było i minęło... A teraz minęły 43 lata naszej współpracy i przyjaźni.

Pamiętam, gdy zacząłem pracę jeszcze na początku lat 60. XX w., wśród niemowląt i małych dzieci panowała krzywica. Mat-

ki miały bardzo dużo pracy i zaniedbywały systematyczne podawanie witaminy D3. W domu przeważnie było pięcioro albo sześcioro dzieci. Udało mi się zahamować krzywicę u dzieci dzięki podawaniu witaminy D3 jednorazowo w kapsułkach, które zakupywałem z własnych środków.

Wspominam też taki przypadek jak odbierałem poród przy bramie wjazdowej do Ośrodka w temp. poniżej -5 st. C. z latarką w rękę, ponieważ rodząca kobieta nie zdążyła dojść do budynku Ośrodka.

Raz wieźli mnie do chorego na motorze. W pewnym momencie na bardzo błotnistej drodze pojazd wpadł w poślizg, wywrócił się, a ja z niego wypadłem i uderzyłem głową o kamień. Straciłem na chwilę świadomość. Innym razem jadąc nocą na wizytę sianami, wywróciły się one na oblodzonej rzece i również wypadłem, doznając kontuzji głowy. Miałem szczęście, że tylko na tym się skończyło.

Niejednokrotnie musiałem stwierdzić zgon spowodowany wypadkiem drogowym, lub zatruciem tlenkiem węgla, ratować czyjeś życie... Widzieć zrozpaczonych rodziców... Płakałem trzymając na ręku bardzo cierpiące, konające, chore na raka mózgu 5-letnie dziecko.

Bardzo przeżyłem też wypadek chłopca, który spadł z balkonu, z wys. kilku metrów, uderzając głową o płytę betonową. Chłopiec ten doznał ciężkiego urazu czaszki, po kilku min. stracił przytomność i dostał drgawki, miał też okresy bezdechu. Długo nie nadjeżdżała karetka pogotowia ze względu na przebudowę drogi i musiała korzystać z dalekich objazdów, a mnie się czas dłużał niemiłosiernie i nie mogłem mu wiele pomóc. Na szczęście w szpitalu w Krakowie uratowano mu życie. W czasie mojej długiej, 50 letniej pracy, zetknąłem się z wieloma nieszczęśliwymi wypadkami i urazami.

Kilkakrotnie zdarzyły się w moim rejonie śmiertelne wypadki rolników, spowodowane wywrotką traktora w naszym górzystym terenie. Przeważnie wynikało to z braku kabiny na traktorze. Obecnie poprawiły się warunki bezpieczeństwa i higieny pracy rolnika. Dawniej często dochodziło też do zatruc chemicznymi środkami ochrony roślin w czasie opryskiwania sadów. Rolnicy nie zabezpieczali się w ubrania ochronne.

Moja praca łączyła się z dużym napięciem psychicznym i wymagała ode mnie pełnej gotowości i koncentracji uwagi. Najgorzej było nocą w pierwszym roku mojej pracy, gdy nie było elektryczności i musiałem badać pacjentów przy świetle lampy naftowej. Wszystkie te obrazy przewijają w mojej pamięci do dnia dzisiejszego...

Humorystyczną sytuację w Ośrodku Zdrowia miał mój kolega Maciej Grodzicki. Zgłosił się do niego pacjent pokiereszowany w bójce. I jak wspomina, „scerował” go jakoś: nos, powiekę dolną, wargę górną itd. A on na koniec powiedział: „doktorze niech Pan tych narzędzi nie chowa, bo ja tych s... urządzę jak oni mnie”. Ale ślad po nim zaginął. Doktor zaczął się poważnie niepokoić, ponieważ nie zgłosił się do zdjęcia szwów. Okazało się, że został wezwany na komisję wojskową i tam one zostały mu zdjęte. Pogratulowano mu dobrego opatrzenia ran, tak, że nie było śladu po bójce. Gdy więc po wielu latach przyjechał znowu, bo z cyrkularki wyleciało polano prosto w twarz i ją rozbiło, powiedział, że się modlił, żeby tylko trafić na doktora Grodzickiego. Jakoś znowu został pozszywany, zadowolony i wdzięczny do dnia dzisiejszego mieszka dalej w rejonie Ośrodka.

W latach 70. uzyskałem specjalizację z interny i medycyny społecznej, a w 1999 r. uzyskałem tytuł specjalisty w zakresie medycyny rodzinnej. Łączyło się to z rocznym szkoleniem w Krakowie i Warszawie oraz zdaniem egzaminu w Instytucie Doskonalenia Kadr Medycznych w Warszawie. Przez cały 50 letni okres mojej pracy brałem i dalej biorę udział w sympozjach naukowo-szkoleniowych, które najczęściej odbywają się w Nowym Sączu i Krakowie. Dotyczą one zagadnień z zakresu kardiologii, reumatologii, neurologii, cukrzycy, astmy oskrzelowej, urologii, chorób nowotworowych, a także innych dziedzin medycznych. Korzystam też z fachowej literatury medycznej, ale najbardziej w pracy pomaga mi moje długoletnie doświadczenie zdobyte w szpitalu i Ośrodku Zdrowia oraz wieloletnia i dogłębna znajomość rodzin moich pacjentów, ponieważ wiele chorób ma podłoże dziedziczne – genetyczne.

Uważam, że medycyna rodzinna jak najbardziej sprawdza się w praktyce, ponieważ wiedza medyczna lekarza rodzinnego oparta jest nie tylko o internę, królową nauk medycznych, ale także w dużym stopniu jest poszerzona o wiedzę z pediatrii, neurologii, reumatologii, okulistyki, laryngologii, chirurgii ogólnej i ortopedii. Lekarz pierwszego kontaktu w oparciu o swoją rozległą wiedzę oraz doświadczenie musi pra-

widłowo zdiagnozować każdego pacjenta i nie pominąć żadnych objawów chorobowych, musi być w pewnym stopniu „omnibusem”. Od prawidłowej diagnozy tego lekarza zależy bowiem dalszy ciąg postępowania lekarskiego – zdrowie i życie chorego.

Od ponad dziesięć lat pełnię funkcję Prezesa Kolegium Lekarzy Rodzinnych oddziału nowosądeckiego. Do tego oddziału należą lekarze rodzeni prowadzący NZOZ z kilku powiatów (z Limanowej, Gorlic i Nowego Targu) sąsiadujących z powiatem nowosądeckim. W sumie to ponad 40 lekarzy.

Całe dotychczasowe życie zawodowe to praca w podstawowej opiece zdrowotnej. W latach 1976–1982 pełniłem funkcję zastępcy dyrektora ds. leczenia podstawowego Szpitala Wojewódzkiego w Nowym Sączu. Odpowiadałem za prawidłowe funkcjonowanie Przychodni Rejonowych i wiejskich Ośrodków Zdrowia na terenie powiatu nowosądeckiego. Łączyłem tę pracę z pracą w Ośrodku Zdrowia w Czarnym Potoku. Niedługo po wprowadzeniu stanu wojennego zostałem odwołany, wraz z całą dyrekcją, przez ówczesne władze z przyczyn politycznych.

Chciałem jeszcze dodać, że w latach 70. byłem dwukrotnie radnym Gminy Łącko. Mile i serdecznie wspominam zawsze współpracę z wieloma osobami z Łącka, a szczególnie z Panami: naczelnikiem gminy Antonim Arendarczykiem, lekarzem stomatologiem Wiesławem Boguckim, byłym wójtem Franciszkiem Młynarczykiem oraz Emilią i Władysławem Faronami, którzy przez wiele lat pomagali mi w prowadzeniu Punktu Aptecznego w Ośrodku Zdrowia w Czarnym Potoku, co było dużym ułatwieniem dla pacjentów w tamtych czasach.

W okresie mojej 50-letniej pracy dokonało się wiele zmian, które także dotyczyły wsi, w której pracuję. W latach 70. zaczął się dokonywać ogromny postęp cywilizacyjny. Kiedy przyjechałem do Czarnego Potoku był tylko jeden dom murowany, pozostałe pokryte strzechą, bez prądu elektrycznego i studni na podwórku. Była to wieś niemal odcięta od świata. Przypominała mi obrazy z powieści „Chłopi” Reymonta.

Obecnie to już inna wieś, piękna, otwarta na świat, zmieniło się budownictwo, pod każdy dom prowadzi asfaltowa droga, wszędzie zadbane i nowoczesnie wyposażone domy, a przed każdym z nich zwykle dwa samochody. Dzieci mają bardzo dobre warunki do nauki w nowej szkole i oddziale przedszkolnym. W budynku poprzedniej szkoły funkcjonują Warsztaty Terapii Zajęciowej dla niepełnoprawnych.

Ogromne zmiany dokonały się też w sadownictwie, rolnicy wprowadzają nowe odmiany jabłoni i innych owoców., dbają o środowisko. Niektórzy z nich prowadzą ekologiczne gospodarstwa sadownicze i mają nowoczesne przechowalnie owoców. W tym roku w Olszanie oddano do użytku dużą przetwórnice owoców. Zmienił się też poziom wiedzy i kultury mieszkańców. Większość młodych ludzi kończy studia wyższe, osiedlając się w miastach, tylko niestety nieliczni wracają i budują się w Czarnym Potoku. Bardzo zmieniła się świadomość ludzi w zakresie higieny i dbałości o swoje zdrowie. Systematycznie poddają się badaniom lekarskim, kontrolują stan zdrowia, dbają o zdrowie dzieci, przestrzegają moich zaleceń.

Dzisiaj na wizytę do chorego jeżdżę już własnym samochodem, pacjenci rejestrują się telefonicznie na określoną godzinę, poprawiła się diagnostyka pacjenta, a gabinet stomatologiczny jest nowoczesny. Na miejscu wykonuje się wiele badań dia-



50-lecie pracy w Ośrodku Zdrowia w Czarnym Potoku

gnostycznych, a poza tym kieruję pacjentów na badania analityczne do pracowni w Łącku. Razem z Maćkiem i pielęgniarkami pracujemy w bardzo dobrych warunkach i życzliwej atmosferze.

Zmiany nie omiły również Ośrodka Zdrowia. Od 2000 roku Ośrodek w Czarnym Potoku funkcjonuje na zasadzie kontraktu z Narodowym

Funduszem Zdrowia jako Niepubliczny Zakład Opieki Zdrowotnej, którego jestem kierownikiem. Obecnie zatrudniam dwie pielęgniarki środowiskowo-rodzinne, jedną pielęgniarkę szkolną oraz na ¼ etatu położną. Oddzielny kontrakt z NFZ ma lekarz dentysta. Właścicielem budynku, w którym funkcjonują nasze gabinety jest Urząd Gminy w Łącku. Ponoszę wszystkie koszty związane z funkcjonowaniem NZOZ.

Obowiązków administracyjnych związanych z prowadzeniem własnej praktyki jest bardzo dużo. Są to dodatkowe obowiązki, które dotyczą spełniania wymogów NFZ.

W początkowym okresie konieczne było zainwestowanie własnych środków finansowych w dostosowanie i należyte wyposażenie mojego lokalu, prowadzenie księgowości i poświęcenia dużej ilości własnego czasu.

Leczę już czwarte pokolenie. Co najmniej kilkakrotnie byłem w każdym domu. Gdy przychodzi do mnie pacjent, wiem na co chorowali jego dziadkowie, rodzice i ich dzieci i wnuki. Znam



Z żoną Antoniną

dokładnie wszystkich pacjentów i ich sytuację bytową i uwarunkowania rodzinne. Jest to dla mnie dużym ułatwieniem w mojej pracy. Czuję się w pełni lekarzem rodzinnym, nie tylko ze względu na posiadaną specjalizację, ale również na całkowitą znajomość rodzin. Czuję się bez mała wśród moich pacjentów jak prawie we własnej rodzinie.

Po 16 latach mieszkania na wsi, czyli w 1986 roku doktor Maciej Grodzicki przeniósł się do Nowego Sącza. Kupił segment, w którym mieszka do dzisiaj. Ja natomiast zostałem w Czarnym Potoku sam. Dzieci dorastały. W latach 80. zacząłem budować

dom, i w 1992 przeprowadziliśmy się do rodzinnego Nowego Sącza. Obecnie dojazd do pracy nie sprawia żadnych trudności i w ciągu 30 minut jestem w Ośrodku Zdrowia.

Bardzo związana z Czarnym Potokiem była również moja żona Antonina, z którą jesteśmy już razem ponad 51 lat. Jak wspomniałem była nauczycielem biologii, a potem nauczania początkowego przez okres 42 lat. Przez ostatnie 20 lat była dyrektorem Szkoły Podstawowej, a później Zespołu Szkolno-Przedszkolnego w Czarnym Potoku. W okresie jej kadencji oddano do użytku nowy budynek szkolny. Obecnie przebywa na emeryturze. Mamy dwie córki. Jedna jest magistrem farmacji, a druga inżynierem rolnictwa. Obydwie mieszkają ze swoimi rodzinami w Nowym Sączu.

Moja praca jest doceniana. Ludzie darzą mnie szacunkiem i uznaniem. Wielokrotnie jestem zapraszany z żoną na wesela, a także inne uroczystości. Często też doradzam moim pacjentom w rozwiązywaniu problemów życiowych. Określiłbym te relacje ja-



Andrzej Stępniewski z żoną Antoniną

ko pozytywne. Nigdy nie byłem i nie jestem z nikim w żadnym konflikcie. Można więc powiedzieć, że relacje moje z pacjentami są oparte na empatii i wzajemnym szacunku. Moja trudna praca została doceniona przez lokalną społeczność i moich pracowników. Z inicjatywy ks. proboszcza Leszka Babraja w miejscowym sanktuarium odbyła się msza św. w uroczystej oprawie, będąca podziękowaniem za wieloletnią pracę moją i mojej żony. W tej mszy św. wzięli również udział uczniowie Zespołu Szkolno-Przedszkolnego w Czarnym Potoku z występem artystycznym. Było to dla nas i mojej rodziny bardzo wzruszające i niezapomniane przeżycie.

Wolny czas od pracy lubię spędzać na wycieczkach w Beskidzie Sądeckim, Tatrach i w Alpach, w szczególności w Dolomitach. Dużo też podróżuję do wielu krajów Europy. Szczególnie interesuje mnie malarstwo, a najbardziej impresjonizm oraz zwiedzanie zabytków architektury. Interesuję się także sportem, a w młodych latach byłem piłkarzem klubu „Start” w Nowym Sączu. Grałem na pozycji prawoskrzydłowego. Jako lekarz pracujący już w Czarnym Potoku, reprezentowałem środowisko lekarskie Szpitala w Nowym Sączu na meczu z lekarzami węgierskimi i słowackimi w Miskolcu i Preszowie z rewanżem w Nowym Sączu.

Jestem zadowolony, że taką „drogę” wybrałem w swoim życiu, chociaż miałem kilkakrotnie propozycję zmiany pracy i zamieszkania. Cieszę się, że dobre zdrowie pozwala mi w dalszym ciągu leczyć ludzi, służyć im zawsze radą i pomocą.

Historia rodziny łuckich Chwalibogów – część IX

Rosja

Po podpisaniu układu Sikorski-Majski w dniu 3 lipca 1941 roku, Polska i Związek Radziecki znalazły się w jednym obozie sojuszniczym. W związku z nawiązaniem sto-



Anders, Sikorski i Stalin 1941 r.

sunków dyplomatycznych diametralnie zmieniła się sytuacja polskich żołnierzy więzionych przez Sowieków właściwie od zakończenia kampanii wrześniowej.

W myśl politycznego porozumienia obydwa kraje miały rozpocząć szeroko zakrojoną współpracę militarną a więźniowie polscy zostali zwolnieni z sowieckich miejsc odosobnienia na mocy rzekomej amnestii.

Pośród setek tysięcy Polaków, dla których ten moment miał odmienić los, były doktorowa Chwalibogowa i jej córka Maria. Z posesiadka Zimnyj ich droga wiodła do Buzułuku koło Samary, gdzie w trudnych warunkach klimatycznych i materialnych organizowało się polskie wojsko. Nie wiemy jak długo trwała ta droga i w jakim stanie zdrowia udało im się tam dotrzeć. Na wiosnę 1942 roku ze względu na coraz większe utrudnienia ze strony Sowieków, Anders podjął decyzję o wyprowadzeniu wojska i około 20 tysięcy towarzyszącej ludności cywilnej, do Iranu. Droga prowadziła przez Kazachstan i Uzbekistan.

W trakcie ewakuacji, w konsekwencji strasznych warunków sowieckiej niewoli, głodu i chorób zmarło kilka tysięcy osób. Wtedy właśnie wycieńczony organizm doktorowej nie był w stanie przezwyciężyć tyfusu. Maryna tra-



Maria Chwalibóg (pierwsza z lewej) w armii Andersa. 1942 r.



Żołnierze Andersa w Rosji

ci matkę 5 lipca 1942. Józefa z Uhmów Chwalibogowa została pochowana na polskim wojskowym cmentarzu w miejscowości Szachrisabz koło Samarkandy.

Brak relacji Maryny z tego czasu co można zrozumieć... ale w książce Jerzego Krzysztonia „Wielbłąd na stepie” znajdujemy opis zdarzenia w którym na pewno brała udział:

A dostał ten krzyżyk na pamiątkę uroczystej mszy polowej gdy przystępował do bierzmowania. Jaśniały komże i komeżki, czerwienily się pelerynki ministrantów, pyszniły ornaty księży a najwspanialej lśnił ornat biskupa Gawliny, świergotały dzwoneczki, rozwoniał dym kadzideł.

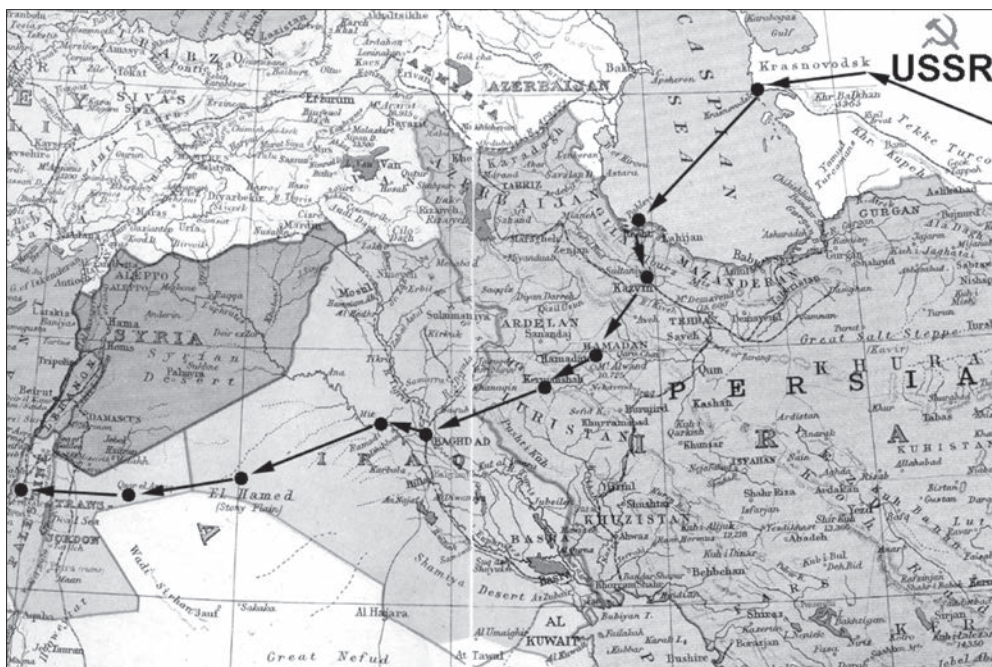
Stał generał Anders z wygoloną głową, oficerowie sztabu a dalej czworoboki żołnierzy, całe łany, z furażerkami zatkniętymi pod lewy naramiennik. Śpiewali:

*„O Panie, któryś jest na niebie,
Wyciągnij sprawiedliwą dłoń,
Wołamy z cudzych stron do Ciebie
O polski chleb i polską broń.*

*O Boże skrusz ten miecz co siecze nas,
Do wolnej Polski nam powrócić daj,
By stał się znów ostoją siły
Nasz Dom, nasz Kraj...”*

Bliski Wschód

Wyjechali z Uzbekistanu 15 sierpnia 1942 roku do Krasnowodska, a stąd statkami przez morze Kaspijskie do Pahlevi w Iranie. Kolejne etapy wiodły przez Teheran, Bagdad do Palestyny. Trwała reorganizacja jednostek na wzór brytyjski i 70-cio tysięczna armia zostaje przemianowana na 2 korpus. W Palestynie łączy się z samodzielną Brygadą Strzelców Karpackich, która odznaczyła się w obronie Tobruku.. Maryna pracuje w służbie sanitarnej.



Szlak armii Andersa z ZSRR do Palestyny

12 kwietnia 1943 roku rozgłosnie niemieckie doniosły o odkryciu masowych grobów oficerów polskich w Katyniu. W nocy z 25 kwietnia rząd sowiecki oskarżył rząd polski o wejście w porozumienie z Hitlerem i zerwał stosunki dyplomatyczne.

W tej makabrycznej sytuacji przestało cieszyć zdobycie Stalingradu przez Sowietów. I nie radował szybki przemarsz Armii Czerwonej na zachód. Nie było wątpliwości że nastąpił przełom w wojnie i tylko kwestią czasu jest powrót Sowietów do Lwowa. Katyń był im na rękę ponowna okupacja budziła lęk.

Można sobie wyobrazić reakcję żołnierzy Andersa, kiedy dowiedzieli się o losie swoich kolegów – towarzyszy broni.

Lwów

Przysięga żołnierzy Armii Krajowej:

W obliczu Boga Wszechmogącego
i Najświętszej Marii Panny

*Królowej Korony Polskiej
przysięgam być wierny Ojczyźnie mej,
Rzeczypospolitej Polskiej.
Stać nieugięte na straży Jej honoru,
o wyzwolenie z niewoli
walczyć z wszystkich sił,
aż do ofiary mego życia.
Prezydentowi Rzeczypospolitej Polskiej,
Naczelnemu Wodzowi i wyznaczonemu przezeń
Dowódcy Armii Krajowej
będę bezwzględnie posłuszny,
a tajemnicy bezwzględnie dochowam,
cokolwiek by mnie spotkało.
Tak mi dopomóż Bóg.*

Jak pisze Stanisław Pempel: Rok 1943 był najnieszczęśliwszym okresem okupacji niemieckiej. Dalej wylicza kolejne „wsypy” które wówczas miały miejsce we Lwowie.

13-14 styczeń – likwidacja przez Abwehrę polskiej siatki wywiadowczej na Ukrainie (z tego 40 osób we Lwowie).

17 kwiecień – aresztowanie komendanta inspektoratu Lwów-miasto oraz szefa służby uzbrojenia komendy sztabu.

7 maj – aresztowanie kierownika grupy inwigilacyjnej kontrwywiadu.

14 maj – aresztowanie kilku łączniczek i kurierów.

Koniec maja – liczne aresztowania w Narodowej Organizacji Wojskowej

Zadenuncjowanie przez Ukraińców i aresztowanie szefa Oddziału VB do spraw produkcji sprzętu radiowego.

W połowie 1943 roku, w drodze do Warszawy, zatrzymanie stałego kuriera oddziału IIa (wywiad) obszaru lwowskiego do Komendy Głównej AK.

Wreszcie 30 czerwca w Warszawie, Gestapo na skutek zdrady aresztuje Komendanta Armii Krajowej generała dywizji Stefana Roweckiego – „Grota”.

Natomiast 4 lipca w katastrofie lotniczej w Gibraltarze ginie Premier i Naczelnny Wódz Generał Władysław Sikorski.

Tymczasem komórka legalizacji miasta Lwowa – „Kret”, pod kierunkiem porucznika „Madeja” czyli Zbyszka Chwaliboga dalej wykonuje swoje zadanie produkując fałszywe ausweisy i kennkarty, szczęśliwie unikając „wsypy”.

Włochy

10 lipca 1943 – początek operacji „Husky”. Lądowanie we Włoszech.

Siły 2. Korpusu Polskiego przybywały do Włoch na przestrzeni grudnia 1943 roku i kwietnia 1944 roku. Wyokrętowanie odbywało się głównie we włoskich portach w Tarencie i Neapolu. Już wkrótce siły polskie miały wziąć udział w jednej z najbardziej krwawych bitew okresu II wojny światowej o Monte Cassino.

Lwów

Pod koniec 1943 r. wschodni front zbliżał się szybko do Lwowa. Rosjanie sforsowali Dniepr, 6 listopada wyzwolili Kijów, a 15 listopada walczyli już o Żytomierz. 4 stycznia 1944 r. wojska sowieckie wkroczyły na terytorium RP w rejonie Sarn.

W odpowiedzi na Deklarację Rządu Polskiego z 5 stycznia 1944 r. o suwerennych prawach do ziem polskich, na które wkracza Armia Czerwona, Rząd ZSRR wydał 11 stycznia 1944 r. oświadczenie o granicy polsko-sowieckiej według „linii Curzona”.

Wówczas żołnierze 2 korpusu pochodzący ze wschodniej Polski i doświadczeni sowieckim zesłaniem zrozumieli że po wojnie nie będą mieli dokąd wrócić... Natomiast Lwowiacy musieli się przygotować na wygnanie...



Zbyszek i Jadwiga z synem jeszcze we Lwowie, 1943 r.

Zbyszek zdecydował o wysłaniu żony Jadwigi i syna Krzysztofa do Sułkowic pod Krakowem. Tam właśnie kierownikiem kuźni Małopolskich Zakładów Rzemieślniczych był najstarszy brat Henryk, inżynier mechanik. Dlaczego nie jechali do Łącka – można się domyślać, że w obawie przed Niemcami. Jechali ciężarowym samochodem wiozącym wyposażenie warsztatu stolarskiego. Z tej podróży czteroletni chłopiec zapamiętał silne wrażenie jakie wywarły na nim spienione, kawowe wody Sanu (wiosenne roztopy) – pierwszej rzeki widzianej w życiu.

Tymczasem Henryk z kolei wysłał swoją żonę Irenę i trójkę dzieci z Sułkowic do Warszawy, bo uważa że tam będą bezpieczniejsi(!). A dzieje się to tuż przed samym wybuchem Powstania. Sam zagrożony możliwą „wyspą” za działalność akowską musi wyjechać do Krakowa.

W liście jaki Zbyszek wysłał do żony 23-go marca 1944:

Moja miła, przesyłam co zdążyłem jeszcze odszukać w domu. Właściwie wszystko.

Proszków tylko nie znalazłem. Przyjechaliśmy we środę wieczorem. Zmarzliśmy strasznie bo jechaliśmy w aucie ciężarowym w budzie. We Lwowie małe zmiany. Dużo ludzi wyjechało czuć to na ulicy. Bolszewicy są w Brodach i dochodzą do Radziecho-wa...

Mam nadzieję że doślę Ci jeszcze trochę groszy. Lustig nie może się zdecydować ale zdaje się jednak, że pojedą. Jeden z nas wyskoczy z nim do Sułkowic. Czy ja będę mógł nie wiem.

I tu następują dosyć ważne informacje ale „zaszyfrowane” (cenzura).

Muszę wrócić do mojej zasadniczej pracy. Sytuacja wymaga mojego dużego wysiłku teraz. Miła, może być, że zobaczymy się za kilka dni, może być, że w wypadku ewakuacji wrócę do Ciebie, ale może się zdarzyć że to list przedostatni...

Te słowa mają przekazać obawę Zbyszka przed konsekwencjami spodziewanych wydarzeń. Zbliżanie się frontu do Lwowa musi oznaczać rozpoczęcie akcji **Burza** przez lwowski obszar Armii Krajowej, a więc wystąpienie zbrojne przeciw Niemcom i przejmowanie kontroli nad strategicznymi punktami i administracją terytorium tak, aby wobec wchodzących wojsk sowieckich wystąpić jako gospodarz.

Czy realizacja tego ambitnego planu była możliwa?

Tymczasem kolejny list z 1 kwietnia informuje o wolniejszym rozwoju wypadków:

Pragnę koniecznie wiedzieć jak wygląda sprawa waszego zameldowania. Trzeba specjalną uwagę tej sprawie poświęcić. Są tutaj pogłoski o tych obozach. Wiem jednak jak plotka szerzy panikę. Wobec sytuacji obecnej, która w pobliżu Lwowa jest taka sama jak w chwili twojego wyjazdu być może czas pozwoli na jeszcze jeden przyjazd do Ciebie...

Kilka słów na kartce z reklamą Jacobs Kaffee, 13 kwiecień 1944:

Dzisiaj dopisuję się tylko. Napiszę dzisiaj list. Zajechaliśmy wprost pociągiem bez przystanku. Lwów przeszedł już swoje, ale to tylko małe prezenty... Gdy siedzi się w piwnicy można być bezpiecznym. Mam nadzieję że za jakieś dni dziesięć znowu będę u Ciebie. O mnie nie martw się jest mi dobrze jeśli chodzi o stronę praktyczną życia. Dopiero po tych świętach czuję się wypoczęty i widzę, że doskonale wyglądam. Pamiętaj o wszystkich moich ostatnich prośbach.

Niczem się nie martw, będzie wszystko dobrze. Jestem rad że uniknęłaś zdenerwowania w czasie nalotu. Widocznie mamy szczęście i ufamy w nie nadal.

W liście do Sułkowic z 17 kwietnia:

Wiesz że nie przyjeżdżam do Lwowa aby próżnować, a roboty mieliśmy ogromnie dużo. Teraz też nie będzie mniej bo zostałem przez mniej szczęśliwe okoliczności dla

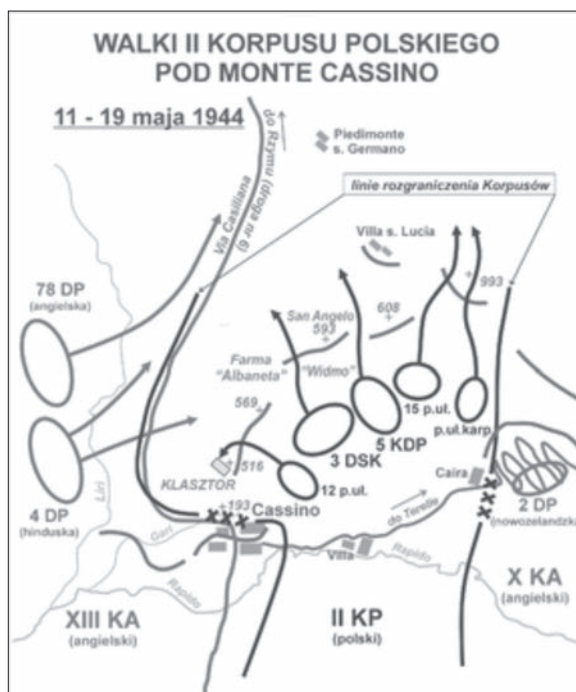
p. Dobrze. zmuszony sam zostać na gospodarstwie. On wyjechał na dwa tygodnie. Dla mnie stanowi to tylko zwiększenie pracy ale nic poza tym. **Dzisiaj jeszcze graliśmy całą noc w brydża(?)...**

Jeśli chodzi o kwestię mego pobytu tutaj, przypuszczam że jeszcze ze dwa razy będę u ciebie nim nastąpi to czego chciałem abyś uniknęła. Świąteczna impreza była dla wielu ludzi bardzo ciężka. Skutki bombardowania w wielu punktach miasta bardzo widoczne."

Tu znowu potrzebne jest tłumaczenie – ta gra w brydża oznacza całonocną pracę przy wytwarzaniu fałszywych dokumentów pilnie potrzebnych w związku z przygotowaniami do akcji Burza. Świąteczna impreza oznacza bombardowanie Lwowa.

Monte Cassino

W czasie kiedy Zbyszek we Lwowie oczekuje akcji Burza, jego siostra Maryna żołnierz batalionu sanitarnego jest we Włoszech, gdzie 55 tysięcy żołnierzy Andersa otrzymało zadanie zdobycia klasztoru na szczycie Monte Cassino, kluczowej pozycji w ufortyfikowanej przez Niemców linii „Gustawa” zamykającej drogę na Rzym. Poprzednio tego celu nie udało się osiągnąć oddziałom indyjskim, nowozelandzkim i marokańskim.



Schemat walk o Monte Cassino



Generał Anders wizytuje front

Atak rozpoczął się 12 maja o godzinie 1.00, poprzedzony aliancką nawałą artylerijską trwającą od godziny 23.00 poprzedniego dnia. Żołnierze szli do nocnego ataku w zaminowanym, niemal nieosłoniętym terenie, pod niemieckim ostrzałem prowadzonym z bunkrów, stanowisk artylerii i moździerzy, których nie był w stanie zniszczyć ponad godzinny ostrzał 1060 dział. W dodatku posuwali się w terenie zupełnie nieznanym, co było wynikiem niefortunnego rozkazu gen. Leese'a zabraniającego 2 Korpusowi wysyłania patroli rozpoznawczych na ziemię nieprzyjaciela. Leese chciał ukryć przed Niemcami, że mają przed sobą Polaków, ale spowodował tym wysokie straty wśród idących do ataku na oślep żołnierzy.

Do natarcia na wzgórza „593” i „569” ruszył 2 Batalion Strzelców Karpackich. Na prawym skrzydle wchodził w „Gardziel”, z zadaniem zdobycia „Massa Albaneta”, 1 Batalion Strzelców Karpackich wzmocniony czołgami, działami samobieżnymi i saperami. Oba bataliony wyposażone były w granatniki i piaty do rozbijania bunkrów. Mimo silnego ognia zaporowego artylerii niemieckiej i ostrzału z broni strzeleckiej i maszynowej z doskonale zamaskowanych bunkrów, 2. batalion opanował wzgórze „593” i ruszył na „569”, ale został zatrzymany, ponosząc duże straty. Nieco później doszłusował 1. batalion, który w drodze stracił 2 czołgi i prawie wszystkich saperów próbujących prowadzić rozminowanie pod ogniem.



Strzelcy Karpaccy w ataku

Nieprzyjaciel próbował kontratakować z rejonu „Santa Lucia” i „Castellone” batalionami 1 Dywizji Pancernej i Spadochronowej, ale wszystkie te uderzenia zostały odparte. Najdłużej walczył 2. batalion na „593”, który do godz. 6.18 odparł cztery kontrataki. Dla wzmocnienia podciągnięta została kompania kpt. Tadeusza Radwańskiego z 3 Ba-

talionu Strzelców Karpackich, ale sytuacja stawała się coraz cięższa. Do 8.30 polegli dowódcy obu czołowych kompanii i dowódca rzutu obronnego mjr Ludwik Rawicz-Rojek, a dowódca batalionu ppłk Brzóska został ciężko kontuzjowany. O godz. 8.30 wyszedł kolejny, piąty niemiecki kontratak, który również został odparty, lecz żołnierzom kończyła się amunicja...

Przez następne cztery dni pozycje nieprzyjaciela bombardowało lotnictwo. Niemcom groził głęboki wyłom polski na „Albanetę” albo „San Angelo” i tym samym odcięcie ich sił zamkniętych w klasztorze Monte Cassino i osadzonych na przylegają-

cych wzgórzach. 16 Lwowski Batalion Strzelców, 16 maja o godz. 22.20, wypadem zajął „Widmo”. Zdobywano bunkier po bunkrze i odpierano kontrataki niemieckie. Twarda postawa żołnierzy polskich na „Widmie” zmusiła nieprzyjaciela do wycofania się. Dzięki zdobyciu „Widma” zagrożono Niemcom na „San Angelo”, będącym kluczowym punktem ich obrony masywu, skąd łatwo było przeniknąć w głąb nieprzyjacielskich pozycji, aż do stanowisk ogniowych artylerii. Opanowanie wzgórz „593” i „569” zagroziło stanowiskom mózdzierzy niemieckich (w tzw. „wąwozie mózdzierzy”).

17 maja w czasie kontrataku niemieckiego na San Angelo przy wsparciu ciężkich mózdzierzy, Polacy zaczęli się łamać; sierż. Marian Czapliński, który później poległ na *Linii Gotów*, zaintonował wówczas „Jeszcze Polska nie zginęła”, żołnierze podchwycili słowa hymnu i walka rozgorzała na nowo. Wsparcia udzielił 2. pluton 1. kompanii. 16 Batalion pozostał na zdobytych pozycjach]. Mjr Jan Żychoń z 13 Wileńskiego Batalionu Strzelców, oficer wywiadu, umierając, powiedział: „Za Polskę i dla Polski”

Drugi atak przyniósł przełom na polskim odcinku: zdobyto i utrzymano „Widmo”, „593”, „Monte Castellone” i „Massa Albaneta”. W tej ostatniej fazie bitwy kluczowymi działaniami – dla osiągnięcia ostatecznego zwycięstwa na *Linii Gustawa* – było przekroczenie rzeki Rapido u jej ujścia do rzeki Liri przez XIII Korpus brytyjski (co związało resztę niemieckich rezerw) i oskrzydłające przełamanie 14 maja linii obronnych przez francuskie kolonialne siły marokańskie i algierskie.



Karpatczycy wciągają skrzynkę amunicji

Te dwa uderzenia – przy polskim parciu od północy grożącym odcięciem części wojsk niemieckich – doprowadziły do wycofania się Niemców na odległą o około 15 kilometrów „Linie Hitlera”. Skoordynowane natarcie zmusiło nieprzyjaciela do zmasowanego wysiłku na obrzeżach doliny rzeki Liri, a tym samym do osłabienia jego parcia na przyczółek pod Anzio. Te działania pozwoliły na podjęcie działań zmierzających do pogłębienia przyczółka, co nastąpiło 23 maja, równoległe z głównym atakiem sił sprzymierzonych na „Linie Hitlera”. Niemiecka 1 Dywizja Pancerno-Spadochronowa po całodobowych walkach otrzymała rozkaz wycofania się.



Emil Czech gra hejnał mariacki na ruinach klasztoru

Nad ranem 18 maja zauważono na ruinach klasztoru białą flagę. Wysłano patrol 12 Pułku Ułanów Podolskich pod dowództwem ppor. Kazimierza Gurbiela, który, przechodząc bez strat pole minowe o wymiarach 300 × 100 metrów, wkroczył do ruin klasztoru, zajmując zupełnie już opuszczone obiekty. Wziął do niewoli szesnastu rannych żołnierzy niemieckich pod opieką trzech sanitariuszy i zatknął na murach najpierw proporzec 12 Pułku Ułanów, uszyty na poczekaniu przez plut. Jana Donocika, a następnie polską flagę.

Dopiero w kilka godzin później, na wyraźne polecenie gen. Andersa, obok polskiej flagi została wywieszona flaga brytyjska. 18 maja 1944 roku w samo południe na ruinach klasztoru Monte Cassino polski żołnierz, plutonowy Emil Czech, odegrał na

ruinach klasztoru Hejnał Mariacki, ogłaszając zwycięstwo polskich żołnierzy.

Sukces 2 Korpusu Polskiego polegał na umożliwieniu jednostkom brytyjskiego XIII Korpusu wejścia w dolinę rzeki Liri bez obawy, że północne skrzydło brytyjskie może zostać zaatakowane przez Niemców z rejonu masywu Monte Cassino.

Lwów

17 lipiec 1944 do Sułkowic:

„Nie wiem jak będzie bo może być przeróżnie, korzystam więc z możliwości i piszę ten list w nadziei, że Was dojdzie, gdybym ja do Was dotrzeć nie mógł. Oczywiście wszystko co dotychczas Tobie Wichu na ten temat mówiłem dalej jest w mocy. Muszę jednak do ostatniej chwili doczekać. Gdyby jednak wypadki potoczyły się w ten sposób, a nasze następne widzenie wypaść miałyby dopiero po przewaleniu się dziejowej na-

wały, to proszę Cię Droga Miła Moja bądź dzielna i w tym jednym wypadku w naszym życiu nie potępiaj mnie z goryczy rozżalonego serca...

Zrobiłem w granicach moich możliwości wszystko to co dla Was zrobić mogłem a w Bogu nadzieja, że zrobiłem tak jak było trzeba. Chciej wiedzieć jedno tylko, że najcięższa wypadła mi rola w udziale, którą opłacałem swoim najwyższym nerwowym wysiłkiem i wyrzeczeniami jakże wielkimi, które może nawet do twojej nie docierały świadomości. Żyje się raz i żyć trzeba pięknie, wtedy sami dla siebie stajemy się więcej warci..."



Jeden z oddziałów lwowskiego AK podczas akcji „Burza”

Akcja „Burza” we Lwowie nastąpiła w dniach 23-26 lipca. Oddziały AK współdziałały z sowieckim 10 Korpusem Pancernym wypędzając Niemców z miasta. Jak podaje Stanisław Pempel w dniu 24 lipca żołnierze z oddziału porucznika Szmydta wywiesili na najwyższym budynku (gmach Szprechera) flagę polską i cztery alianckie (amerykańską, angielską, francuską i sowiecką).

Jednocześnie poszczególne ugrupowania (Komenda Obszaru, Sztab 5 Dywizji Piechoty AK, wywiad i kontrwywiad, Kedyw) zajmowały strategiczne punkty miasta: Uniwersytet, Politechnikę, Szkołę Św. Marii Magdaleny.

Jeszcze w czasie trwania walk ulicznych przybył do Lwowa i zakwaterował się w gmachach sądów przy ul. Batorego 1/3, Sztab I Frontu Ukraińskiego. Prawie jednocześnie pojawiły się ekspozytury NKWD i NKGB oraz Ispołkomu, który natychmiast niezwykle energicznie zajął się sprawami administracyjnymi i przywracaniem normalnego życia w mieście nie dając możliwości wystąpienia Delegaturze (Rządu) w roli gospodarza terenu.

25 lipca do Sztabu 1 Frontu zaproszony został gen. Filipkowski, który w towarzystwie ppłk. Pohoskiego, występującego jako szef sztabu Obszaru, zadeklarował goto-

wość oddziałów AK do dalszej wspólnej walki przeciw Niemcom w ramach 5 Dywizji Piechoty, podległej Rządowi Polskiemu w Londynie, pod taktycznym dowództwem sowieckim.



Lwowski żołnierz AK



Medal akcji „Burza”

Gen. płk Iwanow (nazwisko nieprawdziwe) reprezentujący nieobecnego marszałka Koniewa, zażyczył sobie, by przedstawić mu w sztabie Obszaru oficerów AK, którzy mieliby dowodzić oddziałami tej dywizji. 26 lipca o godz. 11.00 w dużej sali budynku przy ul. Kochanowskiego 27 zebrało się kilkudziesięciu oficerów AK. Przyjechał generał Iwanow i gen. Filipkowski dokonał prezentacji zebranych oficerów, przedstawiając ich jako kadrę przyszłej 5 Dywizji Piechoty.

Gen. Iwanow oświadczył przy wszystkich, że zezwala na organizację dywizji: *ja razrzeszaju!* Po tej wizycie atmosfera poprawiła się z bardzo niepewnej na podniosłą...

27 lipca gen. Filipkowski został wezwany do Sztabu Frontu, gdzie gen. Iwanow przyjął go tym razem bardzo chłodno i zażądał złożenia broni przez wszystkie oddziały AK w ciągu 6 godzin. Żadne protesty nie zostały przyjęte.

Następnie gen. Filipkowskiego zaprosił gen. Gruszko z NKWD proponując udostępnienie samolotu, celem wyjazdu do Żytomierza na przeprowadzenie rozmów z gen. Żymierskim, w sprawie utworzenia dywizji przy Armii Polskiej w ZSRR. W nocy z 27 na 28 lipca 1944 r. odbyło się posiedzenie Okręgowej Rady Jedności Narodu pod przewodnictwem Delegata Rządu RP „Tomasza Niedzieli” (Adam Ostrowski), na którym zaaprobowano wyjazd delegacji do Żytomierza gdzie znajdował się Sztab 1 Armii Polskiej w ZSRR.

31 lipca ze Lwowa delegacja odleciała samolotem. Komendant Obszaru gen. Filipkowski przekazał mjr. Bolesławowi Tomaszewskiemu, szefowi Oddziału III, rozkaz powrotu do konspiracji, gdyby delegacja nie wróciła w ciągu czterech dni.

Tymczasem we Lwowie, w Sztabie Obszaru na Kochanowskiego nadal pełniono służbę oczekując wiadomości od gen. Filipkowskiego.

31 lipca na życzenie wojskowych władz sowieckich szef sztabu 5 Dywizji Piechoty mjr Kornel Stasiewicz ps. „Taśma” zarządził na godzinę 21.00 odprawę w kwaterze komendy przy ul. Kochanowskiego 27, w sprawie formowania dywizji. Stawić się winni wszyscy oficerowie Sztabu Okręgu: komendanci dzielnic, ich zastępcy oraz dowódcy kompanii i zgrupowań. Powinno się stawić 60 oficerów ale niektórzy dowódcy nie zastosowali się do rozkazu i nie mając zaufania do sowieckich władz nie, przyszedli.

W tej odprawie miał także wziąć udział Zbyszek jako dowódca kompanii i członek sztabu, jednak tak jak dwie trzecie oficerów zdecydował, że sowietom nie można ufać. Przecież Lwów doświadczył już ich zdrady w 1939 roku...

Zgromadzonych w komendzie oficerów AK generał Iwanow zaprosił do swojej kwatery tłumacząc się zajęciami. Samochodami przewieziono około 25 osób do pałacu Biesiadeckich w głębi pl. Bernardyńskiego. Poproszono ich do dużej sali, w której oczekiwało pod ścianami około 30 sowieckich oficerów. Po zajęciu miejsc przy stole według starszeństwa stopni, mjr. Stasiewicz złożył meldunek, po którym prowadzący odprawę pułkownik sowiecki wyjął z szuflady 2 pistolety krzycząc: *Ruki w wierch!* Na ten sygnał wbiegli czerwonoarmiści z pepesami w rękach, a oficerowie sowieccy rzucili się na oficerów AK wykręcając im ręce do tyłu po czym schodami obstawionymi wojskiem sprowadzono ich do suteryny, a następnie odwieziono do więzienia przy ul. Łackiego, lokując w pogestapowskich i poenkawudowskich celach śmierci budynku wewnętrznego.

Następnie NKWD oraz „kontr razwiedka” (kontrwywiad) dokonywały masowych aresztowań akowców we Lwowie i na terenie całego obszaru. Pierwszych aresztowanych po zajęciu Lwowa umieszczono w obozie w Charkowie we wrześniu 1944 roku jako internowanych, później inną grupę przewieziono do obozu w Diagilewie koło Riazania.

Mieli szczęście, w październiku 1947 r. odstawiono ich do Polski, natomiast ponad dwa tysiące akowców aresztowanych później przez NKWD i skazanych pozostało dalej w łagrach i na zesłaniu, aż do drugiej połowy lat pięćdziesiątych. Niestety nie wszyscy doczekali zwolnienia i repatriacji do Polski...

Podobnie zdradzono AK-owców w Nowogródzkim, w Wilnie, na Lubelszczyźnie i na innych terenach akcji Burza.

**Dwie okupacje Lwowa przedzielone „Burzą”
(według dokumentów Zbigniewa Chwaliboga).**

Ausweis Nr. 132279

Der durch nebenstehendes Lichtbild
kenntlich gemachte
Chwalibog Zbigniew
Techn. Angestellter
geb.: 10.3.1911 in Lacko
Wohnung Lemberg, Tarnowski str. 6
ist bei der Distriktspostleitung
in Lemberg
beschäftigt.

Ausstellende Dienststelle:
DEUTSCHE POST OSTEN
Der Distriktspostleiter
Im Auftrag
Schwarzlose
Unterschrift



Besondere Vermerke:

verlängert bis 15. Juli 1944.
DEUTSCHE POST OSTEN
Der Distriktspostleiter
IM AUFTRAG
verlängert bis 194
verlängert bis 194

Dieser Ausweis ist beim Ausscheiden des Inhabers aus der Verwaltung des Generalgouvernements sofort der ausstellenden Behörde zurückzugeben.

Stdr. 11671-43.

Ausweis Zbigniewa Chwaliboga ważny do 15 lipca 1944 r.

Львовский Политехнический
Институт

Удостоверение.

Выдано т. *Хвалібogu Збигнью Генриковичу*.....
в том, что он действительно работает в Львовском Политехни-
ческом Институте в должности *ассистента кафедры архитектуры*.....
исполнительный *Збигнью* поступил на работу 29.VII.44.

На основании Указа Президиума Верховного Совета СССР
от 15/4.43 г. и решения СНК СССР от 23 июня 1943 № 58.
тов. *Хвалібог Збигнью Генрикович* освобожден от мобилизации в Красную
Армию освобожден.

Действительно на 1 м-ц с дат. выдачи.

По истечении этого срока подлежит замене в Райвоенкомате
на учетно-основной документ.

12.VIII.44



Директор
Львовского Политехнического Института
/Доц. Ямпольский/

Zaświadczenie wydane Chwalibogu Zbigniewu Genrikowiczu w tym że on rzeczywiście pracuje na Politechnice Lwowskiej w charakterze asystenta katedry architektury budynków monumentalnych. Przystąpił do pracy 29 lipca 1944 r.
Na podstawie Ukazu Najwyższej Rady ZSRR z 23 czerwca 1943 towarzysz Chwalibog Zbigniew od mobilizacji do Czerwonej Armii uwolniony.
Rzeczywiście na 1 miesiąc od daty wydania.
Po upływie tego terminu zamienić w Rajwojenkmacie na uczetno-wojinskij dokument.
Lwów 12.VIII.1944 r.

Zbyszek Chwalibóg po raz drugi w czasie tej wojny wymknął się z rąk sowie-
tom. Teraz jednak musiał zniknąć ze Lwowa jak najszybciej. Dozorcy domów mieli
obowiązek donosić o wszystkich podejrzanych o udział w AK. Na razie aby uchronić
się od mobilizacji do Czerwonej Armii uzyskuje zatrudnienie w „Lwowskim Poli-
technicznym Instytucie” ważne do 1 października 1944. Przy pierwszej okazji razem
z bratem żony, Stanisławem Wojciechowskim, współpracownikiem z komórki legali-
zacji przedostają się do Lublina.

Sułkowice pod Krakowem

Front zbliża się do Sułkowic. Nocami pojawiają się partyzanci AK, o których
mówi się „Jedrusie”. W ciągu dnia patrolują Niemcy. Z za gór coraz bliżej sły-
chać ka-
nonadę artyleryjską. Cofają się oddziały frontowe. Sowieckie „kukuruźniki” rzucają
bomby. Jadwiga z synem chowają się w piwnicy, on tuli wysłużonego pluszowego mi-
sia, w którym ukryte są „skarby” (pierścionek z brylantem i jakieś inne drobiazgi).
Modlitwa. Młody niemiecki lejtnant jest zraniony odłamkiem, matka opatruje mu
głowę... Przechodzą tabory, z polowego szpitala ostry zapach chloroformu. Odeszli,
już są Sowieci. Jakiś żołdat „pożycza” budzik twierdząc że zaraz odda... Zmusza go
do tego oficer po skardze matki. Major Gruzin zamawia sobie u matki placek, zjada
jeszcze gorący i całą noc biega w ustronne miejsce.

Tak zapamiętał ten fragment przejścia frontu czteroletni chłopiec, którego ojciec
jest jeszcze daleko.

Źródła:

Stanisław Pempel – *ZWZ-AK we Lwowie*, B.Tomaszewski, J.Wegierski – *Lwowska
AK*,

Jerzy Węgierski – *Komendy Lwowskiego Obszaru i Okręgu Armii Krajowej*,

Wikipedia – *Akcja Burza we Lwowie, Armia Andersa, Bitwa pod Monte Cassino*,

Losy rodziny według archiwum Jadwigi Chwalibogowej, informacji uzyskanych od
Marii Chwalibóg (młodszej) oraz wspomnień autora.

Zdjęcia pochodzą z: Wikipedii oraz archiwum rodziny.

Spod Gorców w świat centusiów i makaroniarzy (Wśród centusiów – lata krakowskie, c.d.)

8. Warunki życia i kariery w socjalistycznej rzeczywistości

Student który otrzymywał stypendium, miał przyznany akademik wraz ze stołówką, ponadto czy to w studenckiej spółdzielni pracy „Żaczek”, czy też własnymi kanałami dorabiał parę groszy, miał sytuację materialną nieporównywalnie lepszą niż początkujący pracownik, który musiał ponosić koszty mieszkania i wyżywienia. Ponadto Kraków oferował szereg rozrywek i imprez kulturalnych. Życie na prowincji było nieporównywalnie bardziej szare. Z tych powodów wielu moich kolegów próbowało sobie przedłużyć życie studenckie podejmując studia na następnym kierunku. Było to dość skomplikowane bowiem po ukończeniu studiów otrzymywało się nakaz pracy.

Jako młody pracownik naukowy często odwiedzałem renomowane restauracje, były finansowo dla mnie dostępne. Jeśli była jakaś okazja udawaliśmy się do najbardziej cenionych restauracji krakowskich. Przez pewien okres stołowałem się w Warszawiance, restauracji która miała pewną klasę. W miarę lat, pomimo awansów, ilość niedostępnych finansowo restauracji czy hoteli wyraźnie rosła. Zmieniała się relacja cen, wiele rzeczy zaczynało drożeć. Kiedyś bywałem częstym gościem Wierzyńka, obecnie od lat nie przekraczam progu przybytku.

Będąc w Warszawie z prof. Janowskim zwykle sypialiśmy w Hotelu Saskim. Dla przedstawicieli rządu i Sejmu zawsze trzymano parę pokoi wolnych. Ponieważ kojarzono mnie z Janowskim, portier udostępniał mi pokój z puli poselskiej gdy byłem również sam. Po dłuższym pobycie za granicą, już jako docent znalazłem się w Warszawie bez zarezerwowanego hotelu. Spokojnie poszedłem do Hotelu Saskiego licząc, iż podobnie jak za dawnych czasów, dadzą mi jeden z pokoi rezerwowych. Wszedłem, przeglądałem cennik i wyszedłem nie pytając czy są wolne miejsca. Awansowałem, według ówczesnych kryteriów dorobiłem się na zagranicznym pobycie, ale ten hotel nie był już dla mnie w rozsądnym zasięgu finansowym.

Warto przypomnieć, iż uzyskanie pracy w dużych ośrodkach, w szczególności w Krakowie, było niezmiernie trudne. Były to miasta zamknięte, bez możliwości zameldowania, a to było wymagane przy staraniach o prace. Wszyscy moi koledzy którzy chcieli pozostać w średnim szkolnictwie krakowskim wstąpili do partii. Był to warunek konieczny, nie obejmował jednak pracowników nauki, czyli zatrudnienia na stanowisku asystenta. Co więcej, stanowiska w przemyśle i gospodarce obsadzone były z klucza partyjnego. Ci którzy mieli ambicje aktywnego działania, przynależność do partii traktowali często jako zło konieczne. Niewątpliwie był to pewien konformizm, społeczeństwo nie odbierało jednak tego tak drastycznie jak wynika to z dzisiejszych relacji. Młodzi karierowicze spod skrzydeł

IPN-u¹, którzy dzisiaj tak chętnie ferują wyroki w moich oczach nie różnią niczym od działaczy partii ery Bieruta, którzy również reprezentowali jedynie słuszną rację, wymuszając np. masowe przystępowanie do spółdzielni produkcyjnych.

Wiadomo, że procenty ludzi uczciwych jak też drani w organizacjach masowych są podobne. Przed tą zasadą nie jest w stanie bronić się nawet Kościół (vide afery które nim aktualnie wstrząsają). Istotnym jest jak działają wewnętrzne struktury kontroli i jakie cechy przeważają przy awansach. Pragnę to wyraźnie podkreślić gdyż dzisiaj na temat przynależności do partii krążą opinie mocno przesadzone. Oczywiście była grupa ludzi z przekonaniami lewicowymi, którzy ideologicznie odnajdowali się w tej organizacji. Podejrzewam, że część z nich z latami czuła się zawiedziona, inaczej to sobie wyobrażali. Oczywiście była też znaczna liczba tych, którzy braki wiedzy czy chęci do pracy starali się zasłonić legitymacją partyjną. Uzyskując prace na Uczelni od tej konieczności byliśmy zwolnieni. Większość partyjnych kolegów w Instytucie Matematyki to byli ci, którzy przenieśli się na Uczelnię ze szkoły średniej. Grupa tych którzy próbowali robić karierę naukową dzięki przynależności do partii nie była liczna i nie cieszyła się zbyt dobrą opinią. Władze dla członków partii starały się organizować kariery uproszczone (np. docenci marcowi²), środowisko naukowe broniło się jednak dość skutecznie.

Uczelnie były azylem gdzie można było uzyskać wszystkie stopnie naukowe nie będąc zaangażowanym politycznie. Przy awansach działalność społeczno-polityczna była również tutaj wymagana, ale istniały standardowe furtki. Najprostszą choć nie wystarczającą była przynależność do TPPR (Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej). Organizacja masowa (np. w mojej szkole średniej wpisywano wszystkich uczniów) i zupełnie bierna. Był to raczej kamuflaż mający pokazać iż nie jest się wrogiem systemu. Przynajmniej tak to rozumieliśmy. W pewnym okresie szefem TPPR w województwie krakowskim był mój sąsiad z Czerńca, Lubek Pawłowski. Wcześniej był pierwszym sekretarzem PZPR na WSR (Wyższej Szkole Rolniczej), co w owym czasie było funkcją bardzo znaczącą. Kiedy uzyskałem informacje iż moja dalsza kariera może być zahamowana, mam bowiem opinie jednostki społecznej, włączyłem się do działalności związkowej w ZNP (Związku Nauczycielstwa Polskiego), to właściwie wystarczyło. Przy kolejnych awansach rubrykę dotyczącą działalności społeczno-politycznej można już było wypełnić. Przy dobrej woli akceptowano też działalność w instytucjach sportowych. Pamiętam, że moi przyjaciele z AGH, którzy zadekowali się w Stronnictwie Demokratycznym prawie przekonali mnie abym dołączył do nich (*z partią będziesz miał spokój*)³. Wspomniałem o mojej intencji ówczesnemu przewodniczącemu SD w Krakowie (później wicepremierowi pierwszego niekomunistycznego rządu), kiedy razem wagonem sypialnym wracaliśmy z Warszawy do Krakowa. On

¹ Stosowne kartoteki zostały już dawno wyczyszczone, a nieistotne dane które pozostały służą tylko do rozgrywek politycznych.

² Niektórzy doktorzy piastujący stanowiska adiunktów na wyższych uczelniach po wydarzeniach Marca 1968 r. zostali przez władze mianowani docentami pomimo że nie posiadali stopnia doktora habilitowanego.

³ Oczywiście byliśmy pod obserwacją. Pamiętam, że kiedyś przy omawianiu trudności w załatwieniu jakiejś kwestii żartobliwie rzuciłem kolegom, wstąpilibyśmy do partii i mielibyśmy spokój. Nazajutrz zgłosił się do mnie znajomy członek partii stwierdzając: podobno chcesz do nas przystąpić. Rozmowa oczywiście nie dała żadnego rezultatu, nie miałem też żadnych przykrości z powodu odrzucenia propozycji, informacja dotarła jednak natychmiast, a była to nieliczna grupa kolegów.

zdecydowanie odradził mi. *Jeśli chcesz rzeczywiście znaczyć wstąpić do partii, to chyba jednak nie twój przypadek. Wygodniej ci będzie zostać bezpartyjnym.* Oczywiście będąc bezpartyjnym, nie można było pełnić większości odpowiedzialnych funkcji kierowniczych. Była to jednak – w moim odczuciu – niewygórowana cena za niezależność.

Obligowanie pracowników do często bezsensownych działań „społecznych” było nagminne. W skali masowej to częste wielogodzinne zebrania (popularne „nasiadówki”), na których obecność była obowiązkowa. Pochody pierwszomajowe które gromadziły olbrzymią ilość pracowników na miejscu zbiórki (wierzyliśmy, że notują nasze nieobecności), z których formułował się później całkiem skromny kondukt (osobiście nie udało mi się urwać zaledwie raz, jako początkującemu żeglarzowi wręczono mi insygnia klubu żeglarskiego i musiałem je po zakończonym pochodzie zdać). Do legendy urosły akcje typu sadzenie drzewek czy sprzątania terenu. Ponieważ zobowiązani do tych prac byli różnorodni specjaliści, bardzo trafnie ocenia sytuację zrodzony wtedy termin: „najdroższe drzewka na świecie”.

W ramach tych akcji na Uczelniach powołano tzw. Młodzieżowe Rady Wydziału. Młodzi pracownicy Wydziału byli zobowiązani do uczestnictwa w wielogodzinnych miesięcznych posiedzeniach. Przewodniczącym takiej rady na Wydziale Metalurgicznym AGH został dr Jan Janowski. Mnie powołano na stanowisko sekretarza. Na zakończenie obrad sporządzaliśmy wielostronicowe sprawozdania, który właściwe władze wydziału nigdy nie otwierały. Proponowałem, aby po kolejnych radach oddawać kopie z rady poprzedniej. Janowski obowiązki swoje traktował jednak serio, chociaż równie jak ja był świadomy iż wniosków naszych nikt nie czyta. Uczył się działania. Kiedy po latach został rektorem, ministrem szkolnictwa, a w końcu wicepremierem, rozumiałem iż nie ja, ale to On miał rację. Tak zdobywał szlify działacza, a była to pewno jedyna korzyść z paroletniej działalności owej rady. Ja również z tej działalności odniosłem indywidualną korzyść. Była to przyjaźń z Janowskim, która trwała pomimo Jego systematycznych awansów. Czasami musiałem jednak za nią płacić.

Kiedyś przypadkowo zaglądnąłem do Jego sekretariatu gdy pełnił funkcje prorektora. Gdy zauważyłem, że na przyjęcie oczekiwała dyrekcja mojego instytutu, chciałem się szybko wycofać. Niestety, sekretarka bezapelacyjnie wciągnęła mnie do gabinetu. Okazało się, że przed chwilą polecił jej znaleźć mnie w sprawie, która z naszym instytutem nie miała nic wspólnego. Kiedy wychodząc ze mną polecił oczekującym uzgodnić z sekretarką nowy termin audiencji, nie miałem wątpliwości iż panowie długo mi tego nie zapomną. Był to kolejny kamyk do moich stosunków w Instytucie Matematyki, gdzie moją niezależnością zarówno naukową jak i służbową, oraz poruszaniem się własnymi drózkami, wielu kolegów wyraźnie drażniłem.

Z Januszem (w gronie przyjaciół tak zwracaliśmy do prof. Jana Janowskiego) związanych mam sporo wspomnień. Wspomnę tylko niektóre. Późnym popołudniem spotkałem go na alejce przed biblioteką AGH. Następnego dnia były wybory na rektora AGH i Janusz był faworytem. Podeszedł do mnie mówiąc „*no to jutro mnie wybiorą*”. Dzień wcześniej uczestniczyłem w imieninach grupy pracowników AGH. Z dyskusji wynikało, że część Jego znajomych była raczej negatywnie ustosunkowana do zbyt szybkiego awansu kolegi i gotowa była głosować na kontrkandydata. W swojej

bolesnej szczerości, nie podając oczywiście źródła, ostrzegłem Go aby rozważył możliwość przegranej. *Niemożliwe, mam policzone głosy z zapasem*. Nie było wątpliwości, że jestem Jego zwolennikiem (nie byłem co prawda elektorem), uparłem się więc aby jednak taki scenariusz wziął pod uwagę. Rzeczywiście wybory przegrał, a los chciał iż dwa dni później spotkałem Go w tym samym miejscu. Porzucił na chwilę dostojne towarzystwo, podszedł aby mi podziękować i dorzucił. Kiedy już poszedłem spać, zacząłem zastanawiać się nad tym co powiedziałeś. Musiałeś coś wiedzieć. Dzięki temu byłem przygotowany psychicznie na przegraną. Nigdy nie zapytał skąd takie informacje miałem. Na szczęście w tym przypadku zasada, że „*posłańcom złych wieści ścina się głowę*”, nie została użyta.

Pewnego dnia zostałem wezwany do rektoratu. Kiedy się zameldowałem Janowski oświadczył, że Jego cierpliwość wyczerpała się i musi zmienić naszego dyrektora. Problem polegał na tym, że dyrektorem był mój dobry kolega, któremu poprzednio odmówiłem funkcji zastępcy ze względu na wyjazd zagraniczny. Kolega był sympatycznym i dobrym matematykiem, miał jednak niekiedy sposób reagowania, który człowieka czynu jakim był Janowski mógł wyprowadzić z równowagi. Ponadto dobrał sobie marny zespół. W jakimś sensie czułem się odpowiedzialny, nie włączyłem się w odpowiednim momencie do pracy i właściwie z konieczności musiał się oprzeć na ludziach, którzy funkcji takich nie powinni pełnić. Propozycji nie mogłem przyjąć. Odpowiedziałem, że właśnie chciałem go prosić o zgodę na następny wyjazd, bowiem muszę zakończyć rozpoczęte badania. Odpowiedział, że wyrazi zgodę jeśli pomogę mu rozwiązać problem dyrekcyj. Zakłopotany zaproponowałem aby spróbował wykorzystać docenta Bierskiego. Kiedy na drugi dzień przyszedłem do mojego instytutu panowała grobowa atmosfera. Urzędujący dyrektor został zawieszony, nowy został mianowany tego samego dnia. Oczywiście był to Bierski, a dla kompletu komizmu tej sytuacji również nowy dyrektor zaproponował mi funkcję swojego zastępcy, czego z oczywistych powodów nie mogłem zaakceptować. Pozostał mi rzeczywiście wyjazd. Na szczęście moi włoscy współpracownicy byli w stanie szybko zorganizować mój nieprzewidziany pobyt. Docent Bierski na stanowisku dyrektora, pomimo twardego charakteru, sprawdził się bardzo dobrze.

Jako przedstawiciel ZNP byłem w tym czasie członkiem kolegium. Skład był raczej marny i był to okres ciągłych konfliktów. Reprezentowałem mniejszość, poparcie znajdowałem jedynie u sekretarza partii (sic!). Była nim niezwykle uczciwa Marysia Szczepańska, miała jednak ograniczone pole manewru, pozostali towarzysze byli ustawieni do niej negatywnie⁴. Docent Bierski pomiędzy kontrowersyjnymi stanowiskami oscylował umiejętnie. Przykład. Jeden z wicedyrektorów wystąpił z wnioskiem o zwolnienie z pracy kolegi przebywającego w ramach Polservice'u w Afryce. Ponieważ poparł to długim wywodem ideologicznym większość wypowiedziała się za wnioskiem. W rzeczywistości chodziło o to, że w wymiarze krajowym kolega zarabiał zbyt dobrze. Zwracając uwagę, że z opłat jakie wspomniany delikwent wnosi do budżetu państwa pokrywane jest pięć naszych pensji, zaproponowałem – w uznaniu jego

⁴ Zwracam na to uwagę aby jeszcze raz podkreślić że podziały wbrew wymaganej obecnie „poprawności politycznej” nie przebiegały według linii partyjni i bezpartyjni, raczej uczciwi i uczciwi inaczej.

wkładu w budowę socjalistycznej ojczyzny – wystąpienie o złoty krzyż zasługi. Wniosek poparałem stosownymi wyliczeniami. Bierski sprytnie doprowadził do odrzucenia obu propozycji. Tak traciliśmy długie godziny na idiotyczne spory. Przy okazji służbowego wyjazdu, Bierski nie mając zaufania do swoich zastępców, pełnienie funkcji dyrektora zlecił mnie. Wbrew poprzednim ustaleniom kolegium podjąłem kilka kontrowersyjnych decyzji. Na przykład Janusz Śmiałek, dowiedziawszy się o mojej funkcji przyleciał do Krakowa z Maroka z podaniem o dalsze dwuletnie przedłużenie pobytu. Stosowne podanie podpisałem pomimo wcześniejszej odmowy. Byłem przekonany że Bierski po powrocie zrobi mi piekielną awanturę. Nie wspomniał ani słowa, a próby wyjaśnienia oponentów (raczej życzliwych przyjaciół) skąd wzięły się pewne decyzje pomijał spokojnym milczeniem.

Następne wspomnienie dotyczy okresu późniejszego. Stan wojenny. Janowski pełni funkcje przewodniczącego SD. Oczywiście ma też mandat poselski. Lucjan Sadow, profesor na Wydziale Metalurgii, przyjaciel Janowskiego (znacznie bliższy niż ja) zadzwonił do mnie abym wpadł do niego bo Janusz chciał z nami rozmawiać. Kiedy dojechałem Janusz już poleciał do Warszawy. Według relacji Lucjana na Sejmie miano rozstrzygać kontynuację delegalizacji Solidarności. Na Janusza były olbrzymie naciski aby SD poparło linie PZPR. Również znaczna część członków SD opowiadała się za dalszą współpracą z PZPR. Janusz miał inne preferencje. Kiedy zapytałem Lucjana co robi, zdecydowanie odpowiedział, że ulegnie, nie wytrzyma nacisków. Obaj przynajmniej niektóre źródła nacisku jakie posiadały władze znaliśmy. Okazało się, że prof. Janowski ostatecznie wypowiedział się jednak przeciw dalszej delegalizacji. W Jego układach wymagało to niezwyklej determinacji i odwagi. Decyzja ta doprowadziła go na fotel wicepremiera pierwszego wolnego po wojnie rządu PRL.

Aby zrozumieć metody postępowania władz w ustroju socjalizmu realnego⁵ wspomnę znane mi fakty z życiorysu Janusza. Dla mnie są one dowodem Jego zdecydowania i odwagi, którą umiał wykazać w stosownym momencie. Podejrzewam, że podobne problemy miało wielu działaczy zarówno rządowych jak i opozycji. I znów wystarczy wspomnieć problem „Bolka” w przypadku Wałęsy czy usługi wykonywane dla wywiadu przez pana Olechowskiego. Wałęsie wybujałe poczucie własnej dostojności uniemożliwiło wyjaśnienie sprawy, Olechowski wyznał prawdę i rzecz zamknął. Otóż Janusz w młodości próbował kariery koszykarza. Ponieważ w wyczynach sportowych nie osiągał zadawalających wyników zajął się sędziowaniem i szybko awansował do grona sędziów międzynarodowych. Z tej racji wyjeżdżał często za granicę. Kiedyś wracał wraz z zawodnikami. Służby graniczne łapały zawodników na przewożeniu złota. Powstała afera. Janusz złota nie wiozł, ale w rodzinie miał złotnika i według służb to on miał być organizatorem przemytu. W ostatecznym rozliczeniu sprawa została umorzona, w zamian Janusz zobowiązał się zająć stroną organizacyjną sekcji koszykówki milicyjnego klubu sportowego Wisła. Widać milicja miała już wtedy informacje o Jego zdolnościach organizacyjnych. Znając Janusza, wersja iż był zamieszany w handel złotem wydaje mi się nieprawdopodobna. Sprawy materialne nie miały dla Niego znaczenia. Interesowało

⁵ Bardzo prawdopodobnie i obecnych, wystarczy wspomnieć dzisiejszą gonitwę za „hakami” na adversarzy politycznych

Go działanie, a był w tym doskonały. Ponieważ ideologia partii była mu obca, aby móc działać zaangażował się w Stronnictwo Demokratyczne. Rozwiązanie takie wybierało w tym czasie wielu ludzi, którzy chcieli działać a nie chcieli być w PZPR.

Parę lat później przypadkowo spotkany na ulicy, a pochodzący z Łącka oficer krakowskiej milicji, z pewną satysfakcją udzielił mi następującej informacji: koniec z twoim przyjacielem, na skrzyżowaniu Alei z ulicą Kościuszkowską był wypadek, jest ofiara, *nasi zadbali o to, aby wina była pana J.* Natychmiast poszedłem do szpitala, gdzie Go zawieziono. Wiedział już, że „przypadkowy świadek” zeznał, iż to On złamał przepisy. W rzeczywistości zawiniły obie strony, przy czym Janusz w stopniu mniejszym. Był załamany. Dla pocieszenia przypomniałem mu radziecką zasadę „*do awansu nadają się ludzie, których w każdej chwili można wsadzić do paki. Być może będzie to twój przypadek*”. Istotnie, wypadek ten kariery Janusza nie wyhamował. Był jednak pewną trudnością. Na przykład przy podziale talonów na samochody⁶ (miał je z racji funkcji w SD) musiał uwzględniać potrzeby krakowskiej milicji. Mnie załatwił talon dwukrotnie ale korzystał z kanałów warszawskich. Jego pula krakowska nie pokrywała wszystkich „potrzeb”. Podejrzewam, że milicja krakowska wykorzystywała stworzone „haki” aby wywierać naciski, a wyswobodził się dopiero z biegiem lat. Prawdopodobnie próbę stworzenia „haka” w celu wykorzystania przy ewentualnym politycznym awansie, przeżyłem na własnej skórze (afery „Kacper” opisana poniżej). W mojej opinii były to standardy ówczesnej rzeczywistości. Trudno uwierzyć aby ktoś mógł wówczas działać nie będąc w jakiś sposób umocowany. Modne wciąż wyciąganie afer w rodzaju „Bolek” świadczy albo o braku zrozumienia ówczesnej rzeczywistości, albo o złej woli.

W związku z zajęciami w punktach konsultacyjnych polecano mi wypełniać ankietę o odznaczenia państwowe. Posłusznie wypełniałem i na tym się kończyło. Któregoś dnia zgodnie z umową przyniosłem do Janowskiego podanie o talon na samochód. Rzucił okiem na podanie i skomentował: *talony dostają zasłużeni, czemu nie wymieniles krzyży zasługi*. Nie mam. *Jak to nie masz, dostałeś już dwukrotnie*. Okazało się, że władze centralne odznaczenia przyznawały, uczelnia je dostawała ale na miejscu przypinano je do innych piersi. Takie były lokalne potrzeby. Janusz – niezbyt zdziwiony – zalecił mi prośbę przepisać z uwzględnieniem krzyża zasługi po czym wezwał sekretarkę i polecił jej dopisać mnie do listy osób, które w następnym tygodniu mieli w krakowskim magistracie odbierać medale. Tak – metodą odzysku – dorobiłem się pierwszego krzyża zasługi.

Dla kompletu opisu socjalistycznej rzeczywistości warto parę słów poświęcić przykładowi kariery związanej z pracą dla władzy. Moim zdaniem ludzie ci wybrali często niewdzięczny kawałek chleba. Oczywiście mieli pewne przywileje i możliwość nabycia dóbr niedostępnych dla zwykłych śmiertelników. Cena jednak była wysoka. Część społeczeństwa uważała ich za trędowatych (dla równowagi część łaśla się z oddaniem). Musieli jednak całkowicie podporządkować się władzy, ponadto wisiał nad nimi miecz Damoklesa narażenia się linii partyjnej. Zwykle towarzyszyła im obawa i niepewność. Jeśli porównamy to z dzisiejszymi dorobkiewiczami czy wódzami par-

⁶ W tym czasie aby zakupić samochód należało mieć stosowny przydział, tzw. talon.

tyjnymi, o ileż ich możliwości są większe, a życie wygodniejsze. Aktualna wolność często przekłada się na bezkarność. Wystarczy spojrzeć na procent wyroków skazujących w licznych aferach korupcyjno-przestępczych, a przecież rozwijająca się inicjatywa prywatna ma żywotną potrzebę opieki sił politycznych i pewno zdecydowana jest na ponoszenie związanych z tym kosztów.

Przyjrzyjmy się konkretnemu przypadkowi Tośka pochodzącemu z Łącka. Od razu wyznam, że miałem i mam dla niego pewną sympatie. Uważam go za ofiarę tamtejszej rzeczywistości, chociaż sam sobie swój los zafundował. W młodości był jednym z najbliższych przyjaciół mojego brata Jana (księdza). Ponoć wspólnie rozważali studia teologiczne, na których ostatecznie znalazł się brat. Tosiek ukończył Wyższą Szkołę Ekonomiczną w Krakowie. Miał najlepszy indeks jaki zdarzyło mi się widzieć w moim długim życiu nauczyciela akademickiego. Wszystkie oceny bardzo dobre z wyjątkiem trzech przedmiotów z których miał celująco. Zdolny i niezwykle pracowity. Po ukończeniu studiów proponowanej mu asystentury nie przyjął. Chciał zawrzeć związek małżeński, uczelnia nie zapewniała mieszkania. Mieszkanie dała milicja (znów drobiazg który zdecydował o losie człowieka). Według naszego wspólnego przyjaciela pułkownika wojska Jana Skalskiego nie zdawał sobie wówczas sprawy, że z milicji odwrotu nie ma. Kiedy w Krakowie nawiązałem z nim bliższy kontakt był kapitanem (dosłużył się stopnia pułkownika). Przez wiele lat organizowałem w Krakowie spotkania dawnych przyjaciół, Tośka i brata. Obserwowałem ich z zainteresowaniem dumając na ile sytuacja uległaby zmianie gdyby zamienić im mundury. Obaj byli przyzwyczajeni wypełniać zlecenia swoich przełożonych. Można było obserwować jak rozchodziły się ich drogi i jak coraz trudniej znajdowali wspólny język. Ostatnie spotkania to już była wyłącznie moja inicjatywa. Im nie wypadało odmówić, mnie interesowały zmiany jakie zachodzą w ludziach, jak warunki życia zmieniają sposób widzenia i odbioru rzeczywistości.

Z Tośkiem utrzymywałem stosunki towarzyskie przez cały czas. Państwo Skalscy, Tosiek z żoną oraz my spotykaliśmy się czasami na wspólnych kolacjach. W okresie stanu wojennego jak i w okresie początku zmian miałem wrażenie, że zarówno on jak i jego żona obawiają się o swoje życie, co wydawało mi się dość absurdałne. Jeszcze na parę miesięcy przed swoją śmiercią Tosiek wraz z żoną odwiedzili nas podczas naszego pobytu w Polsce. Milicja już nie istniała. Tosiek opowiadał mi, że próbuje sił w jakimś interesie, ale zapалу nie dostrzegłem. Nasiliły mu się wyraźnie nerwowe tiki. Niedługo później, dokładnie 1 maja, odebrał sobie życie. Czy była to data symboliczna, czy zwykły przypadek, nie wiem. Spotkałem się ze Skalskim aby zrozumieć motywy. Według jego wiedzy nie było na horyzoncie nic co groziłoby mu procesem czy specjalnym napiętnowaniem. Źle podobno znosił pretensje swoich byłych podwładnych, którzy mieli żal, że nie są dostatecznie bronieni. Widząc zmiany jakie zaszły w kraju pretensje raczej abstrakcyjne.

Tosiek ze swoją rodziną, szczególnie braćmi, stosunków bliższych nie utrzymywał. Mówił, że nie chciał im szkodzić. Dwaj z nich byli dyrektorami poważnych zakładów państwowych. Był całkowicie świadomy jak źle odbierany jest jego zawód. Kiedy powstało województwo nowosądeckie propozycji na komendanta milicji no-

wego województwa nie przyjął. Nie chciał pracować w rodzinnych stronach. Zdarzało się, że kiedy niespodziewanie wpadałem do niego (wówczas jeszcze nie było zwyczaju telefonicznego uzgadniania wizyty) w drzwiach informował mnie, że ma gości i byłoby lepiej aby nie wiedzieli, że się znamy. Sądzę, że chronił mnie przed możliwością posądzenia o współpracę z milicją, aczkolwiek nie mogę wykluczyć, że ochraniał swoich informatorów. Parokrotnie podkreślał, że bardzo sobie ceni możliwość naszych spotkań, podobno należałem do nielicznych znajomych (oprócz Skalskich), z którymi utrzymywał stosunki prywatne. Sprawy zawodowe jak również dyskusje polityczne na naszych spotkaniach były tematem tabu.

Z drugiej strony parę razy prosiłem go o załatwienie na pozór drobnych spraw, nigdy niczego mi nie załatwił. Kiedyś zatrzymano mi prawo jazdy. Poszedłem do Tośka. Zamiast coś zrobić, zaproponował mi jakąś legitymację. Gdyby w przyszłości zatrzymała mnie drogówka, legitymacja ta powinna wypaść a na pytanie co to jest miałem wrzasnąć na kontrolujących mnie policjantów, że to nie jest ich sprawa. Zbudzony Anioł Stróż zaczął dzwonić na alarm, legitymacja która umożliwia rzucanie mocnych słów na władze wydała mi się wysoce podejrzana. Podziękowałem zatem. O istnieniu SB jeszcze nie wiedziałem, zresztą w krakowskim spisie pracowników SB Tosiek nie figuruje. Nie wiem jaka więc mogła to być legitymacja.

A propos prawa jazdy. Wróciłem na AGH i markotny siedziałem w klubie pracowników. Nadszedł jeden z kolegów a poznawszy powód złego humoru zapytał czy mam śliwowiec. Miałem w biurku. Zabrał i za godzinę przyniósł mi prawo jazdy. Magister inżynier załatwił, major milicji nie umiał, nie chciał, bał się? Miałem wrażenie, że ciągle jest wystraszony. Niewątpliwie na temat zagrożeń jakie wisiały nad zwykłym obywatelem wiedział znacznie więcej niż ja.

Innym razem urząd zwlekał z wydaniem mi paszportu. Konferencja na której koniecznie chciałem być już się zaczynała. Miałem też wykupione bilety. Chodziło tylko o wydanie dokumentu. Proszony o pomoc Tosiek umówił mnie na drugi dzień z jakimś majorem. W międzyczasie dostarczono mi paszport. Nazajutrz miałem wyjazd, ale na umówione wieczorne spotkanie poszedłem. Facet chciał mnie zwerbować. Na zdecydowaną negatywną odpowiedź usłyszałem równie zdecydowane stwierdzenie, że nigdzie więcej nie wyjadę. Ponieważ samolot odlatywał o szóstej rano, byłem pewien, że nie zdąży wyjazdu zablokować. Przed spotkaniem oficer nawet nie zadał sobie trudu aby sprawdzić stan rzeczy. Ta i inne sytuacje w których miałem okazję uczestniczyć wyraźnie sugerowały, że poszczególne komórki milicji nie współpracowały. Mieli całkiem niezły bałagan. Milicjanci we wzajemnych stosunkach na ogół byli względem siebie nieufni. Często po prostu chodziło o to kto dostanie premie. W tym gronie sprawnie działały jedynie powiązania biznesowo-przestępcze, które zresztą przeniosły się do nowej rzeczywistości.

Zaskakującym było obserwowanie jak na przestrzeni lat zmieniała się mentalność Tośka, kiedyś kandydata na kleryka. Stan wojenny. Przy kawie Tosiek narzeka na trudny służby. W pewnym momencie opowiada o następującym zdarzeniu. Godzina policyjna, wraz z kolegą jest na służbie. Z bramy wytoczył się mocno nietrzeźwy obywatel. Ujrawszy milicjantów grzecznie powiedział dobry wieczór i wyraził współ-

czucie z konieczności ich przebywania na mrozie. *Wiesz, tak nasz zaskoczył, że żaden z nas nie przyłożył mu pałą.* Człowieku uwierzysz, dwóch pułkowników i żaden mu nie przyłożył. Człowiek po studiach o znacznym zacięciu intelektualnym bicie przypadkowego przechodnia uważał już za normalne. Szokujące wynaturzenie.

Żona Tośka w moim odczuciu była niezwykle miłym człowiekiem. Kiedy została dyrektorem szkoły otoczenie uznało, że awans załatwił jej mąż. Faktu, że była dobrą nauczycielką i solidnym pracownikiem nie brano pod uwagę. To również płacona cena.

W Łącku wybudowali sobie skromny dom, w którym żona Tośka zamieszkała po śmierci męża pochowanego na Łąckim cmentarzu. Ktorego roku grobu nie odnalazłem. Udało mi się dotrzeć do wdowy. Presja niechętnego jej łąckiego środowiska była tak duża, że nie tylko sama opuściła Łącko, ale przeniosła również grób męża. To też cena.

9. Wypady za żelazną kurtynę

W drugiej połowie lat sześćdziesiątych zaczęto nawiązywać stosunki i wymianę między instytucjami w różnych krajach. Pierwszych mój wypad za granicę już jako pracownika związany jest z brydżem. W tym czasie najsilniejszą drużyną brydżową w Polsce była Wisła Kraków, a znaczna część zawodników tej drużyny pracowała na AGH. W tych kręgach zrodził się pomysł turnieju uczelni Miskolca, Koszyc i Krakowa. Pierwszy zaplanowano w Miskolcu. Aby wyłonić reprezentację AGH zorganizowano turniej. Oczywiście jechać mieli zawodnicy Wisły pracujący na AGH. Turniej zorganizowano by uzasadnić finansowanie wyjazdu przez AGH. Ponieważ zawodników z klubu Wisła na AGH było pięciu, wymyślili turniej indywidualny, który miał wyłonić pięcioosobową reprezentację. Byli o parę klas lepsi, nie przewidzieli, że turniej tego typu może płać figle, zwłaszcza gdy zawodnicy mają zróżnicowany poziom. Przez przypadek w turnieju wystartowałem i zająłem pierwsze miejsce. Fuks. Organizatorom pozostało dołączyć mnie do drużyny jako gracza rezerwowego. Grać miały dwie pary (obie zgodnie z przewidywaniami złożone z zawodników Wisły. Do Miskolca dojechalismy wczesnym popołudniem. Z marszu zabrano nas na obiad. Okazało się, że bezpośrednio po obiedzie była pierwsza runda rozgrywek. Nie wiedzieliśmy o tym i jeden z naszych zawodników wyraźnie przebrał winą miarę. Aby nie oddać meczu walkowerem musiałem usiąść przy zielonym stoliku nie mając ustalonych z partnerem żadnych konwencji licytacyjnych. Nieporozumienia były nieuchronne. Gramy z drużyną z Koszyc. W pewnym momencie Czech otworzył dwa w kolor, mój partner wrzucił cztery bez atu. Kartę miałem dobrą, po denerwującym partnera wahaniu podniosłem na sześć bez atu. W rzeczywistości mój partner licytował zaporo, czego nie zrozumiałem. Czesi również nie zrozumieli, wyszli ze złym wistem i partner szlemika skontrowanego zrobił. Na drugim stoliku z tą samą kartą Czesi wyłożyli bez dwóch cztery bez atu. Historyczny zestaw błędów, który przyniósł nam sukces. Następnego dnia do gry przystąpił już wytrzeźwiał zawodnik. W ostatecznym rozliczeniu turniej wygraliśmy w dużej mierze dzięki mojej błędnej licytacji.

W znacznej mierze moja kariera naukowa stała się możliwa dzięki zarobkowo-turystycznym wyjazdom do Francji, gdzie sezonowo pracowałem przez sześć kolejnych

lat (1969–1974) w SPGO (Societe Parisienne de Gardiennage de l'Ouest). SPGO zostało założone w okresie wojny przez Pana Testarda do ochrony portów i statków przed rozpanoszoną w wojennej atmosferze złodziejstwem. W późniejszych latach SPGO objęło swoim zasięgiem północną część Francji, a zajmowało się ochroną różnorodnych obiektów (fabryki, hotele, drogie sklepy, kasyna gry, posiadłości prywatne). Na okres lipca i sierpnia do Deauville przenosiła się znaczna część paryskiego towarzystwa. Tutaj odbywały się ważne wyścigi konne, działało Cassino, pokoje oferowały wytworne hotele. Aby nie stracić klienteli na ten okres uruchomiły w Deuville działalność drogie firmowe paryskie sklepy (Aux Printemps), paryscy złotnicy (Van Cleef and Arpels), fryzjerzy (Claude Maxim). Przybywający tu politycy, przedsiębiorcy i gwiazdy świata artystycznego musiały mieć zapewnione usługi, do których byli przyzwyczajeni. Do ich ochrony na ten okres potrzebnych było dodatkowo około dwudziestu gardienów. Ze względu na starą przyjaźń z emigracją polską, państwo Testard chętnie zatrudniał Polaków, uznając ich za pracowników solidnych i odpowiedzialnych.

Dla nas mieszkańców bloku socjalistycznego praca w Deauville była niezwykle interesująca. Bezpośrednio mogliśmy oglądać, czasami nawet zamienić parę słów z celebrytami świata zachodniego, których rzadko można było oglądać na stronach naszych ubogich dzienników. Na przykład ze świata artystycznego parokrotnie spotkałem Brigitte Bardot, Omara Sharifa, Jane Fonde, Jean Gabina, Rogera Vadima, Yul Brynnera (właściwie Julija Borisewicza Briniera) i wiele innych osobistości. Klasa polityczna i biznesowa były równie bogato reprezentowane.

Pobyt ten pozwolił mi lepiej zrozumieć motywy niezadowolenia dolnych klas społecznych w ustroju kapitalistycznym. Żyjąc w socjalistycznym kraju, my nieakceptujący panującego systemu, społeczeństwo zachodnie wyobrażaliśmy sobie jako raj na ziemi, a działalność tamtejszych partii lewicujących za niezrozumiałe zwyrodnienia. Kiedy po raz pierwszy dostałem służbę w Cassino Barriere de Deauville byłem szczęśliwy. Ubrany w galowy mundur przechadzałem się po tarasie, aby wychodzący zaczerpnąć świeżego powietrza gracze czuli się bezpiecznie. W rzeczywistości nad bezpieczeństwem czuwali nie rzucający się w oczy cywilni agenci. Początkowo z zaparciem oglądałem z bliska znane osobistości. Pod dwóch tygodniach traktowania mnie jak przezroczysty mebel zaczynałem rozumieć lewicowo-buntownicze poglądy pracujących z nami studentów francuskich. Dla nich służba która wymagała kontaktów z klasami zamożnymi była katorgą. Równie nasze francuskie koleżanki snobistycznego Deauville nie cierpiały, o wiele bardziej odpowiadało im pobliskie Trouville – zgodnie z ich kryterium – miasteczko ludzi normalnych. Zacząłem poznawać drugie oblicze kapitalizmu. W momencie gdy zapewnione jest minimum egzystencjalne, stosunki społeczne i wzajemne relacje są równie ważne jak sytuacja materialna.

Znacznie przyjemniejsza była służba przy ochronie lokali na plaży, drogich butików, czy pomieszczeń przeznaczonych do obsługi wyścigów konnych. W szczególności stajnie były pilnowane całą dobę. Czasami zdarzały się wydarzenia dosyć ekstrawaganckie. Kiedyś do Deauville przyleciał Japończyk aby uczestniczyć w najważniejszym końcowym wyścigu tzw. Grand Prix de Deauville. Miał specjalny samolot, którym woził konia po ważniejszych wyścigach na świecie wygrywając sporo ważnych gonitw.

W Deauville na parę dni wynajął boks w stajniach oraz gardienów, którzy konia strzeżli 24 godziny na dobę. Dyżur taki pełniłem, a chociaż koń wyścigu nie wygrał, dostałem największy w swej gardienowskiej karierze napiwek. Natomiast wiadomo było, że nigdy napiwków nie daje Jean Gabin, którego konie były również pod moją ochroną. Sam aktor wielokrotnie przesiadywał na mojej służbowej ławeczce. Miał już problemy ze zdrowiem, w szczególności wyraźne problemy z oddychaniem.

Wokół wyścigów kręcili się różni ludzie. Z ciekawszych to tak zwany *chasseur des moustique*, czyli łowca komarów. Jego zadaniem było zadbanie o to, aby przed wyścigiem komary nie przeszkadzały koniowi w wypoczynku. Czasami naiwni gracze widząc mnie w mundurze starali się wydobyć informacje odnośnie przewidywanych wyników gonitwy. Wiedzy takiej, pomimo dobrych stosunków z dżokejami, nigdy nie posiadałem, co jednak nie przeszkadzało mi w konsumpcji oferowanych drinków.

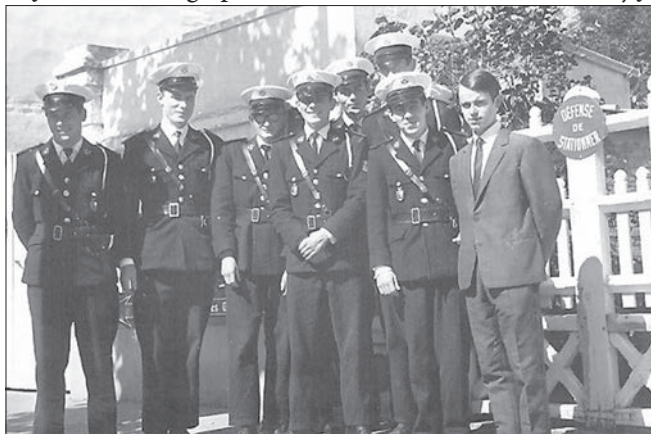
W ostatnich dwóch wyjazdach do Deauville towarzyszyła mi żona. Ja miałem kwaterę służbową w Deauville, ona mieszkała i pracowała jako pomoc domowa u znanego paryskiego fryzjera Maxima, który w okresie wakacyjnym za swoimi klientami przenosił działalność do Deauville. W pobliskim Blonville zakupił starą normandzką chatę. Przewijała się tam paryska cyganeria, wieczorami często odbywały się improwizowane występy artystyczne. Wiadomo, że poza nielicznymi celebrytami zwykle artyści z trudem wiążą koniec z końcem. Zdarzali się goście, którzy po opuszczeniu gościnnych progów dzielili się dobytkiem z gospodarzami. O zniknięcie dobra nigdy nie podejrzewano ani żony ani mnie (spędzałem tam czasami noc). Myślę, że było to wkalkulowane w rodzaj życia. Gospodarze traktowali żonę po przyjacielsku, ja uważałem, że była pracownikiem i taki układ powinien obowiązywać. Nawet na późniejszą korespondencję żony ze swoimi pracodawcami patrzyłem dość niechętnie. Łaskawiej nieco tolerowałem prezenty, które od nich dostawała żona (*centuś!*).

Niezwykłych wrażeń dostarczały mi poranne powroty od żony do Deauville gdzie pracowałem. Wyjeżdżałem rowerem jeszcze o zmroku. Polnymi drózkami ze wzgórz Blonville przedzierałem się do plaży, a następnie parę kilometrów pedałowalem plażą w kierunku Deauville. Po drodze łapał mnie wschód Słońca. Morze cofało się na kilkaset metrów. Po odpływie piasek był tak twardy, że nie było widać śladów nie tylko roweru ale również cwałujących rumaków, na których zamożni wczasowicze witali wschód Słońca.

Tutaj ciekawa obserwacja o ludzkich naturach. Ja, ubierając mundur gardiena wcielałem się w ciecia, zapomniałem o swojej pozycji i czułem się naturalnie. Niektórzy z moich towarzyszy w mundurze gardienienia czuli się obco, wyraźnie kolidował on na przykład z ich tytułem doktora. W późniejszym okresie równie naturalnie czułem się na ministerialnych salonach jak i w taborach cygańskich. Mam wrodzone cechy kameleona, które pozwalają mi nie tylko dostosować się do środowiska, ale właściwie zapomnieć, że jest to inna grupa społeczna. Co ciekawsze, środowiska te często traktowały mnie za swojego, zarówno te zamożne jak i te biedne. To szalenie ułatwiało mi życie.

Aby otrzymać paszport należało mieć potwierdzone w stosownych urzędach zaproszenie, w którym widniało wyraźne zobowiązanie, iż wszystkie wydatki wraz z ewentualnymi kosztami leczenia zostaną pokryte przez stronę zapraszającą. Dokumenty takie przygotowywały nam poznane w Jugosławii koleżanki z Francji (do mnie

dołączyło jeszcze dwóch kolegów z uczelni, Michał Malaga i Leszek Anczyk). Ponadto własnymi kanałami zaproszenia załatwiali sobie jeszcze dwaj koledzy, również asystenci, którzy w SPGO pracowali rok wcześniej i którzy właściwie wprowadzili nas do SPGO, Edek Tutaj i Franek Kajzar. Był to okres kiedy praca za granicą przez władze polskie uważana była za przestępstwo. W przypadku wykrycia ryzykowaliśmy miejscami pracy na uczelni. Cała nasza francuska ekipa zdobyła w życiu niezłe pozycje. Edek Tutaj, niezwykle uzdolniony matematyk, został profesorem na Uniwersytecie Jagiellońskim. Michał Malaga został cenionym ekspertem obliczeń numerycznych dla celów wiertniczych. Franek Kajzar (góral z okolic Wisły) świetnie zapowiadający się pracownik naukowy AGH, przeniósł się do założonego przez De Gaulle'a Centrum Badań jądrowych (Centre d'Etudes Nucleaire CEA) w Sacley pod Paryżem. Ze względu na charakter pracy nie uzyskał dalszych tytułów naukowych (wyjechał z Polski jako adiunkt), uważam jednak, że z naszej grupy jest tym, który osiągnął najwięcej. Dość wspomnieć, że podobno proponowano go do nagrody Nobla w zakresie fizyki. Propozycja nie przeszła, ale fakt ten



SPGO, drugi od lewej F. Kajzar

świadczy najlepiej o jego pozycji naukowej. Otrzymał natomiast wiele innych wyróżnień, między innymi prestiżową nagrodę europejską „Descartes’a”, a w Japonii tytuł „eminent scientist” połączony z nagrodą pieniężną. Aktualnie jako uznany ekspert opiekuje się organizacją finansowanemu przez Unie Europejską laboratorium fotoniki w Bukareszcie, dzieląc swój czas pomiędzy Rumunię a Francję. Ma propozycje organizacji podobnego laboratorium w Moskwie. Do współpracy z instytutem w Sacley jak również kierowanym przez siebie europejskich projektów wciągnął kilka polskich Instytutów. Ostatnio zorganizowano mu w Polsce konferencję z okazji siedemdziesięciolecia urodzin, niestety w tym czasie byłem za granicą. W tym roku świat fizyków będzie fetował go w Biarritz.

Patrząc na karierę Franka, swoją, jak również wielu znajomych wypada stwierdzić, że sytuacja powojenna stworzyła jedyną w historię okazję aby tak masowo młodzi ludzie z niskich warstw społecznych mogli się realizować i to nie tylko w krajach socjalizmu realnego. Niestety, wydaje się, że okres ten minął bezpowrotnie. Dzisiaj znów stanowiska obsadzone są na bazie poparcia, według klucza grup wpływu czy koneksji rodzinnych. Socjalizm realny trwał póki mógł konsumować dobra wyprodukowane przez poprzedni ustrój. Kiedy ich brakło sromotnie zbankrutował. W okresie jego triumfalnego podboju świata, państwa kapitalistyczne prześcigały się w przepisywaniu klasy robotniczej (świadczenia socjalne, emerytury). Kiedy padł, okazuje

się, że sytuacja w dawnym świecie wolnym też nie jest też najlepsza. W szczególności wydaje się, że państwa nie mogą utrzymać systemów emerytalnych. Oczywiście żaden rząd nie odważy się na przeprowadzenie stosownych reform. Pozostaje produkcja wirtualnego pieniądza (USA), albo drobne oszustwa w rodzaju reformy emerytalnej w Polsce⁷. Wydaje się, że w nowej rzeczywistości najlepiej prosperują oszuści. Co więcej, nawet firmy kiedyś uznawane za fundament solidności (np. banki) dzisiaj są największymi oszustami. Wyrozumiałym milczeniem pominiemy moralność polityków.

Sezon w Deauville trwał około pięciu tygodni. My spędzaliśmy we Francji co najmniej dwa miesiące. Pozostały okres czasu jak również znaczną część zarobionych dewiz przeznaczaliśmy na turystykę. Tutaj niezwykle przydatne były nasze koleżanki z Francji, które organizowały nam w kolejnych latach: mieszkania nawet na dłuższe okresy w centrum Paryża, tourne samochodowe wokół Francji, pobyt w Bretanii, pobyt na wyspach atlantyckich (Il de Re). Już podczas pierwszej wycieczki wokół Francji zwiedziliśmy: Mont-Saint-Michel, Saint-Malot, Rennes, La Roche Bernard, La Rochelle, Lourdes, przejechaliśmy wzdłuż Pireneje od Atlantyku do Morza Śródziemnego z wejściem na Pic du Midi. Nad Morzem Śródziemnym zwiedziliśmy Perpignan, Montpellier, rejon Camarque, Carcassonne, Marsylie, Saint-Tropez, Nicee, jaskinie w Lascaux. Zważywszy, że był to rok 1969, inne drogi i inne samochody, wycieczka dla nas mieszkańców bloku socjalistycznego wprost imponująca. Wyprawy w następnych latach były również nie mniej ciekawe.

Wracając do Polski w paryskich sklepikach można było zaopatrzyć się w ciuchy, które w kraju miały niezwykle popyt. Sweterek damski, który na Zachodzie kosztował stosunkowo niewiele, w kraju miał wartość mojej miesięcznej pensji. W handlu pośredniczyły komisje, które pobierały 20% wartości, zatem sprzedaż nie stanowiła problemu. Taka działalność handlowa stała się podstawowym źródłem mojego utrzymania jak również finansowania mojej działalności naukowej przez następne lata. Oczywiście należało zapoznać się z przepisami celnymi aby nie mieć kłopotów na przejściach granicznych. Jak już wspominałem celnicy dla drobnych handlowców na ogół bywali życzliwi. Pamiętam, że wylądowałem na Okęciu z deklaracją celną wypełnioną zgodnie z przepisami. Co prawda zawartość walizek jak zwykle przekraczała deklaracje, w zakresie jednak przyzwoitym. Celniczka zaczęła mi naliczać znaczną kwotę cła. Okazało się iż podczas mojego pobytu za granicą przepisy uległy zaostrzeniu. Ponieważ kwoty takiej nie posiadałem, celniczka pomogła wypełnić mi nową deklarację dostosowaną do posiadanej kwoty po odliczeniu kosztów biletu do Krakowa. Po ponownym wypełnieniu deklaracji uzmysłowiłem sobie, że zanim dojadę do domu, muszę coś zjeść. Celniczka cierpliwie dostarczyła mi kolejną nową deklarację, pozostawiając mi również kwotę na zjedzenie posiłku w barze.

Zdarzało się natomiast, że prawdziwy turysta wracający „bez zakupów” wzbudzał podejrzenia służb granicznych (*Po co on właściwie jeździ?*). Kiedyś pociągami

⁷ Trudno uwierzyć, aby reklamujący reformę nie mieli świadomości iż nowy system nie zapewni godnych emerytur. Stosowne firmy zobaczyły możliwość szybkiego zarobku. Aby rozwiązać problem i zmniejszyć obciążenie budżetu, władza cynicznie to zaakceptowała, przyznając przy tym niezwykle korzystne warunki dla firm ubezpieczających. Zwyczajny obywatel jak zwykle był ogłupiony i bezsilny.

dojechałem na konferencję w Bratysławie skąd zamierzałem kontynuować podróż do Włoch. Uczestniczący w konferencji matematycy z Florencji, zabrali moją walizkę do swojego samochodu. Mnie natomiast inni koledzy namówili na wspólny przejazd do Wiednia. Sami przylecieli do Wiednia samolotem, tam zostawili bagaż i wypożyczonym samochodem przyjechali na trzy dni do Bratysławy z minimalnym bagażem. Towarzystwo było rzeczywiście mieszane. Walter, obywatel Niemieckiej Republiki Federalnej, pracujący w USA, Shui Nee Chow, Chińczyk z amerykańskim paszportem, również pracujący w Stanach, Żyd (nazwiska nie pamiętam) z amerykańskim paszportem pracujący w Brazylii i w końcu mało wiarygodny Polak z ręcznikiem i szczoteczką do zębów (cały bagaż!) jadący ponoć do Włoch. Czescy celnicy oprócz rewizji osobistej i rozbiórki samochodu zadawali nam szereg podchwytliwych, często zabawnych pytań. Studiowali notatki konferencji, wertowali prace matematyczne. Podejrzliwie patrzyli na nas, gdy nie umieliśmy podać tożsamości ludzi ze zdjęć, nieznanych nam uczestników konferencji. Co gorsza były też zdjęcia z innych konferencji, które moim kolegom przywieźli ich znajomi. Początkowo rozrywkowa sytuacja, po paru godzinach stała się męcząca. Długo bezskutecznie prosiliśmy aby skontaktowali się z Uniwersytetem w Bratysławie, który może potwierdzić naszą wersję. Kiedy po 6-sciu godzinach opuściliśmy graniczne progi, moje plany podróżne zostały zdemonstrowane, a dalszy przejazd musiałem aranżować, ponosząc dodatkowe koszty.

Aby pozostać w kręgu naszych stron wspomnę doświadczenia w tej materii jednego z redaktorów Almanachu Łąckiego. Otóż wracał on ze swojej pierwszej wyprawy do Włoch. Dewizy były trudno dostępne. Po opłaceniu wstępów do licznych muzeów, środków nie wystarczyło mu na zakup nawet drobnych prezentów. Kraj był ciekawy, przedłużył więc maksymalnie pobyt. Do przemieszczania się korzystał czasem z autostopu, a za hotel niekiedy wystarczała mu ławka w parku. Jego bagaż składał się wyłącznie z plecaka wypełnionego zabrudzoną raczej solidnie w tych warunkach bielizną osobistą. Celniczka, przykrywając nos, starannie przeglądała zawartość. Oczywiście jej zainteresowanie nie dotyczyło stopnia zabrudzenia, ale odkrycia co tu jest przemycane. Charakterystyczne, ale pomimo parokrotnych rewizji osobistych brudnej bielizny nigdy mi nie przeglądano. Zawsze jednak wiozłem jakieś zakupy. To budziło zaufanie.

Myślę, że warto przypomnieć jak wyglądała owa żelazna kurtyna, która miała nas chronić przed wpływami Zachodu. W pamięci zbiorowej pozostał sławny mur berliński. Trzeba dodać, że również inne odcinki granicy z Zachodem miały imponujący wygląd. Na przykład granica pomiędzy Czechosłowacją a Austrią czy Niemiecką Republiką Federalną to był pas o szerokości kilkuset metrów z jednej i drugiej strony ograniczony wysokimi kolczastymi zasiekami. Oczywiście na pas graniczny wstępu nie było. Również Polskę od bratnich sąsiadów odgradzał zaorany teren, który początkowo bronowano dwa razy dziennie, ponadto w terenie zamieszkałym szczelnie ogrodzony.

Przekraczanie granicy z Czechosłowacją niemal zawsze dostarczało sporo wrażeń. Stan wojenny. Ze względu na mój plan badań naukowych jako pierwszy na AGH wystąpiłem o paszport. Błąd elementarny – *nie wychodź nigdy przed szereg*. Zezwolenie dostało już dziesiątki kolegów, ja byłem wciąż na czarnej liście. W końcu paszport uzyskałem. W międzyczasie zostałem zaproszony na konferencję w Czeskich Budzie-

jowicach. Widząc, że jest bezpośrednie połączenie kolejowe Czeskie Budziejowice – Wiedeń, postanowiłem oba wyjazdy połączyć. Po zakończeniu konferencji w Czeskich Budziejowicach wsiadłem do pociągu w kierunku Wiednia. Był to raczej nieuczyszczany trakt. Na granicy odwiedził mnie celnik czeski zadając szereg pytań co należy zabrać do Polski. Podobno wybierał się tam po raz pierwszy. Oczywiście moja nieufność do celników nie pozwoliła mi udzielić żadnej informacji. Granicę oprócz mnie przekraczał tylko starszy Austriak. Po odprawie celnej zamknięto nas w wagonie, który wolno potoczył się w kierunku Austrii. Po drugiej stronie austriackie służby granic starannie przeglądnęły mój nafaszerowany pieczętkami paszport po czym zamknęły mnie w izolowanym pomieszczeniu. Moje protesty nie dawały żadnego rezultatu. Najwięcej wątpliwości budziła niewykorzystana (ze względu na stan wojenny) wiza do NRF. Bez szklanki wody przetrzymano mnie w zamknięciu ponad siedem godzin, po czym w zamkniętym wagonie wagonu odesłano z powrotem w kierunku Czechosłowacji. Herbata i kanapka którymi poczęstował mnie będący jeszcze na służbie celnik czeski miały smak niezwykły. Uspłył też całkowicie moją tradycyjną niechęć do czeskich służb granicznych. Nie trzeba dorzucać, że udzieliłem mu też wszelkich porad jak może zmniejszyć koszt swojego pobytu na urlopowym wyjeździe do Polski.

Humorystyczny był też powrót w rodzinne pielesze. Żona siedziała w ogrodzie rodzinnego domu wraz z bratową, która zadała jej pytanie co robi mąż. Jej odpowiedź, że dokładnie teraz ma odczyt we Florencji przerwała stwierdzeniem iż niewątpliwie go przerwę aby ucałować żonę. Oczywiście żona potraktowała to jako kiepski żart. Nie był to żart, byłem już na ścieżce od szosy i za chwilę całowałem zaskoczoną żonę.

Z biegiem czasu przepisy uległy zmianie. Można było otwierać konta bankowe, a jego posiadacze mając stosowną kwotę dewiz mogli uzyskać paszport. Również służby zagraniczne sprawdzały przy wjeździe, czy turysta posiada środki na utrzymanie. Znajomi którzy bardziej zawodowo zajmowali się handlem jak też drobni rzemieślnicy wykorzystywali mnie wówczas jako kuriera handlowego. Dostarczone mi pieniądze wpłacałem do banku, a na tej podstawie dostawałem paszport. Żydzi którzy opuścili Polskę pootwierali na Zachodzie, między innymi w Londynie i Antwerpii, firmy wysyłkowe. Na trasie moich kolejnych wyjazdów na Zachód była już zwykle Antwerpia. Wpadałem do firmy wysyłkowej, przy kawie i miłej pogawędce zamawiałem towar, który właściciel wysyłał na wskazane adresy. Warto dodać, że towaru nigdy nie oglądałem, co więcej, niektórych artykułów choć sprowadziłem ich sporo (np. piecyków do ogrzewania domków letniskowych) nigdy nie widziałem. Nie zdarzyło się jednak, aby zamawiający zgłosili reklamacje. Obowiązywała jeszcze kupiecka solidność. Oczywiście był to handel na małą skalę, ale dola którą otrzymywałem wystarczała na w miarę dostatnie życie oraz dofinansowywanie wyjazdów naukowych. Ponieważ zamówienia te jednorazowo obejmowały np. 600 metrów laminatu (szyto z nich modne zimowe płaszcze) czy 1000 metrów krempliny, w jakimś stopniu przyczyniałem się do polepszenia wyglądu socjalistycznej szarości ulic Krakowa. Istotnym był fakt, że traciłem na to niewiele czasu i mogłem zajmować się nauką, bez konieczności dorabiania.

Przy wydawaniu paszportu Urząd Bezpieczeństwa często wzywał na rozmowy. W związku z wyjazdami do Francji wezwanie takie dostałem przy drugim wyjeździe.

Prowadzący sprawę oficer wypytywał mnie po co jadę, co tam robiłem, co zamierzam robić. Z literatury, w szczególności opozycji rosyjskiej wiedziałem już, że należy absolutnie unikać rozmów poważnych, a zwłaszcza o tematyce politycznej. Z przesłuchującym należy też unikać nawiązywania kontaktu przyjaznego. Uznałem, że najlepiej będzie zvekslować na bezpieczny temat *d... Maryny*. Wyznałem więc, że na studenckim wyjeździe do Jugosławii poznałem dziewczyny z Francji, one mnie zapraszają i utrzymują, a to wiadomo – trzeba odrobić. Podanie o paszport co prawda złożyłem ale nie wiem czy jechać. Nie są zbyt interesujące, nie wyrabiam się i chyba nie ma co się kompromitować. Wypada wyjaśnić iż prawdą było tylko poznanie, nasze stosunki były czysto koleżeńskie, interesowały nas warunki życia, zabytki, stosunki polityczne. Oficer tak sformułowany problem rozumiał, poczęstował mnie koniakiem, zrobił długi wykład jak można partnerkę oszukiwać. Już gdy wychodziłem serdecznie objął mnie ramieniem, zalecił codziennie pić śmietanę, jeść jajka i ser. Na końcu stwierdził: „*Jedźcie, jedźcie, a starajcie się bo honor ojczyzny reprezentujecie*”. Morał był taki iż byłem jedynym z naszej grupy, który każdego roku zgodę na wyjazd do Francji dostawał. Co więcej, w sprawie wyjazdów do Francji nie byłem już więcej wzywany. Pozostałym kolegom co drugi lub trzeci rok paszportu nie wydawano.

Pobyty we Francji zmobilizowały mnie do opanowania języka francuskiego tak abym mógł się w miarę swobodnie porozumiewać się. Po wojnie nauka języków w Polsce została zaniedbana, ich nauczanie nie było popularne. Podejrzewam, że w klasie rządzącej było silne lobby, któremu taki układ odpowiadał. Po ukończeniu studiów właściwie nie znałem żadnego języka i nie byłem w tej niewiedzy odosobniony. Kiedy pojawiła się możliwość wyjazdów, znający języki mieli pewnego rodzaju przepustkę w świat. Co więcej, dzięki wyjazdom do Francji nie tylko opanowałem język, ale nabrałem odwagi i samodzielności w poruszaniu się za granicą. Uwięzieni w kraju na ogół obawialiśmy się wyruszyć poza granice ojczyzny. Na domiar złego waluta polska nie przedstawiała żadnej wartości. Byliśmy więźniami rzeczywistymi i psychicznymi naszej rzeczywistości. Dzięki wyjazdom za granicę i nawiązanym kontaktom naukowym z matematykami zagranicznymi zdobyłem własną tematykę oraz dorobek naukowy, który umożliwił mi niezależne uzyskanie pozycji profesora zarówno we Włoszech jak i w Polsce. Nie bez cienia racji czasami wyznaje iż „*nie byłbym profesorem, gdybym nie był ciecieniem*”.

W Paryżu mieszkał już kolega ze studiów Henryk Bury. Pierwszy emigrant ze studenckiej paczki. Był on naszym cicerone po Paryżu. Przede wszystkim dostarczał nam informacji o działalności opozycji na emigracji oraz tamtejszych wydarzeniach kulturalnych. U niego po raz pierwszy słuchałem ballad Bułata Okudźawy, a było to przeżycie niezwykle. Zaopatrywał nas również w literaturę. Księgarnia polska na Saint Germain miała zwyczaj turystom polskim posiadającym ważny paszport darowywania trzech książek wydawanych na Zachodzie, o treści antykomunistycznej. Odwiedzający Paryż znajomi Burego książki z księgarni zabierali, a po przeczytaniu zostawiali w Paryżu, obawiając się problemów na granicy. Któregoś roku postanowiłem zbiór ten zabrać do Polski. Wiedziałem, że książki były zwykle konfiskowane na granicy, przewożący nie ponosili jednak konsekwencji. Po prostu mogli nie znać ich zawartości. Wiedziałem też, że posiadanie zakazanych książek nie było karane. Karane natomiast

było wypożyczanie. Książki zapakowałem do dużego pudła, na nich położyłem brudną bieliznę, na wierzch kilkanaście egzemplarzy *Lui*, kolorowego czasopisma, które w Polsce uchodziło za pornografię. Celnik polski po wejściu do wagonu natychmiast wskazał na pudło z literaturą. Z miejsca zarekwirował czasopisma. Na moje prośby, że jestem spóźniony do pracy, a szef to kawał s..., jedyna szansa to przekupienie go paroma egzemplarzami *Lui*, pozostawił mi trzy egzemplarze nie zaglądając pod bieliznę. Jednorazowo przewiozłem w ten sposób 27 pozycji, a z literaturą którą przemyciłem już wcześniej, stałem się posiadaczem całkiem sporej biblioteczki zakazanej literatury. Książki wypożyczałem jednak bardzo ostrożnie. Część wypożyczonych egzemplarzy nigdy nie powróciła do mnie. Swoją rolę przekazywania informacji niewątpliwie spełniły. Posiadanie dość pokaźnego księgozbioru umożliwiało wymianę literatury. Na przykład zdarzało mi się czytać książki ze zbiorów kardynała Kominka (między innymi pamiętniki Witosa zawierające wzmianki o mojej rodzinie) i vice versa, chociaż bezpośrednio nigdy z kardynałem osobistego kontaktu nie miałem. Jako przełożony brata dbał o jego rozwój i dostarczał mu literatury, a przy okazji korzystał z książek, które dostarczałem bratu. Ja zaś miałem okazję czytać pozycje, które On pożyczał bratu.

W latach sześćdziesiątych pojawiało się coraz więcej elementów, które miały przypominać normalność. W szczególności wzmocniły działalność nocne lokale. Ważniejsze były pod obserwacją milicji. Kiedyś miałem wątpliwą przyjemność poznać takiego wywiadowcę. Za państwowe pieniądze upijał się praktycznie co wieczór. Były one również dosyć drogie. Kiedy otworzono granice okazało się iż znacznie taniej i znacznie przyjemniej było wybrać się do nocnego lokalu w Budapeszcie. Doskonała kuchnia, dobre wina, cygańska muzyka. W stosunku do lokali polskich – szła. Tutaj kolejny absurd. Kuszетка krajowa kosztowała 90 złotych, natomiast kuszетка do Berlina czy Budapesztu kosztowała 60 złotych, wagon sypialny drugiej klasy 80 złotych. W ówczesnej relacji były to ceny przystępne. Niestety, trzeba było mieć zaproszenie z kraju, który chciało się odwiedzić oraz stracić sporo czasu na załatwienie niezbędnych formalności paszportowych. Parokrotnie jednak wsiadałem w piątek wieczorem w pociąg, w sobotę robiłem zakupy, które pokrywały całkowicie wypad, w sobotnią noc balowałem, następnie wypoczywałem w znajomej kwaterze, ponownie noc w pociągu, a w poniedziałek normalnie odbywałem zajęcia. Czasami udawało mi się pozostać trochę dłużej.

Informacji na temat moich zagranicznych wypadów, zresztą podobnie jak i na inne tematy (np. znajomych u których bywałem, spraw handlowych) otoczeniu nigdy nie udzielałem. To była podstawowa zasada, którą przestrzegałem ściśle. W jakimś stopniu była to chęć stworzenia wokół siebie otoczki tajemniczości, bardziej jednak nakaz poczucia bezpieczeństwa. W przypadku Węgier istotnym był nie tylko element handlu ale też fakt iż chętnych do towarzyszenia mi w tych wyjazdach było zbyt wielu. Wszystkich nie mogłem zabrać, a zawiedziona uczestniczka poprzedniego wypadu w rozgoryczeniu mogła się wygadać, a to mogło mieć przykre konsekwencje. Było lepiej, gdy o człowieku wiedziano mniej.

Zorientowałem się też szybko, że wielu moich znajomych którzy byli bliżej władzy, a zatem lepiej poinformowanych, rozmawia ze mną wierząc, że treść naszych roz-

mów pozostanie nieznana. Oni mieli potrzebę w miarę bezpiecznego „wygadania się”, ja zaspokojenia ciekawości odnośnie zasad życia różnych środowisk socjalistycznej rzeczywistości. Dotyczyło to szczególnie osób, które odsunięto od ich poprzednich stanowisk. Czuli się wyizolowani, zawiedzeni, szukali słuchaczy. To było środowisko, w którym głównie się obracałem i któremu zawdzięczam znaczną część mojej wiedzy o tamtych czasach.

Okazje przyglądnięcia się prawdziwemu przemytowi dał mi przypadkowy turystyczny wyjazd do ZSRR. Wakacje miałem spędzać z dziewczyną. Doszło jednak do nieporozumień, rozjuszony spacerując po Krakowie zaglądnąłem do Orbisu. Okazało się, że jest wolne miejsce na Krym. Wykupiłem tylko dla siebie. Parę dni później stałem na krakowskim lotnisku z natarczywym pytaniem, co ja właściwie robię wśród tych par marzących o słoneczno-morskich kąpielach. W pewnym momencie zobaczyłem dwie rozmawiające panie, jedyne osoby bez konkretnego przydziału. Włączyłem się do rozmowy. Również one mile powitały możliwość męskiej opieki. Młodsza z nich pokłóciła się ze swoim partnerem i podobnie jak ja postanowiła samotnie spędzić wakacje. Starsza była raczej nieskora do zwierzeń.

Pierwsze ciekawe zdarzenie dotyczące moich pań nastąpiło na Okęciu, gdzie przesiadaliśmy się z samolotu krakowskiego na samolot do Moskwy. W pewnym momencie – już po odprawie celnej – głośniki zaczęły kogoś wzywać, a trójka uzbrojonych żołnierzy wezwanej osobie wręczyły paczkę, podobno z lekarstwami dla szpitala w Moskwie. Była to jedna z owych pań. Po wylądowaniu w Moskwie powtórzyła się podobna historia. Moje zdziwienie nastąpiło dopiero w hotelu, gdy po przesyłkę zgłosił się typ który na pracownika szpitala zupełnie nie wyglądał. Kiedy wyluzowana kurierka zaprosiła mnie i pozostałą panią na dobrą kolację suto podlewaną koniakiem, sprawa była jasna.

To początek historii. Parę dni później – już w Picundzie – okazało się, że nawalił transport mojej znajomej, a powinna była dostać się do Suchumi a stamtąd do Tbilisi. Zaproponowała wspólny wyjazd naszej trójki. Z dużą nieodpowiedzialnością wyraziliśmy zgodę. Nasze dokumenty były w rękach przewodniczki, a paszport mieliśmy zbiorowy.

Do Suchumi dojechaliśmy autobusem. Tam podejmowali nas znajomi naszej organizatorki. Już po paru godzinach od młodej pracowniczki naukowej jakiegoś instytutu biologii otrzymałem propozycje matrymonialną. Po prostu za wynagrodzeniem chciała wydostać się z Rosji. Z możliwości zarobku nie skorzystałem, tłumacząc iż narzeczona nie wybaczyłaby takiej zdrady. Problem powstał przy zakupie biletów. Znajomym udało się zakupić jedno miejsce sypialne na pociąg późnym popołudniem, a dwa na następny odchodzący po paru godzinach. Oczywiście samotne miejsce przypadło mnie. Oprócz konduktora o bilet pytały mnie co jakiś czas kręcące się po pociągu różne typy. Podobnie jak inni pasażerowie, zbywałem ich podpatrzonym mruknięciem „*nu zaciem?*”, szczęśliwie na tym kończyło się, ale brak zezwolenia na podróż, brak jakiegokolwiek dokumentu, ciągłe pytania o bilet, powodowały coraz większe niepokój. Do Tbilisi dotarłem w późnych godzinach nocnych i zgodnie z umową miałem czekać na dworcu. Kiedy jednak przechodzący patrol zlustrował mnie po raz drugi czujnym

spojrzeniem, schowałem się w pobliskich krzakach gdzie, w towarzystwie na szczęście przyjacielsko nastrojonych czworonogów, dotrwałem do przyjazdu pozostałej części drużyny. Po ich przybyciu zajęli się nami kolejni znajomi naszej szefowej. Rzecz humorystyczna, goszczący nas Gruzin był pracownikiem nauki, kandydatem nauk w zakresie matematyki. Faktu iż również jestem z tej branży nie zdradziłem.

Gościnność gruzińska jest niezwykła. Obwieziono nas po ekskluzywnych restauracjach w okolicach stolicy. W programie pobytu były też zakupy handlowe naszej znajomej. Pojechaliśmy do peryferyjnej dzielnicy. Przed sfatygowanymi drewnianymi wrotami stał stolik przy, którym grano w karty. Kiedy podjechaliśmy stolik zwinęto, odsunięto deski i wjechaliśmy do ciemnej szopy. Drzwi zamknięto. Nasza handlowiec zniknęła, ja wraz z pozostałą towarzyską gruzińskiej awantury czekałem w samochodzie. Wróciła po dłuższej chwili. Podejrzewam, że kupowała brylanty lub biżuterię⁸. Oczywiście nie pytaliśmy, a ona też nie wyjaśniała, Na podróż powrotną zadbano już o bilety w tym samym pociągu, było więc przyjemniej. Niemilo było natomiast po powrocie do Picundy. Ponieważ grupa zaprzyjaźniła się z przypisaną nam przewodniczką, naszego zniknięcia nie zameldowała pierwszej nocy. Później była coraz bardziej wystraszona i informacji o zniknięciu części podopiecznych stosownym organom nie przekazywała, mimo iż nasza nieobecność przeciągnęła się do pięciu dni. Kiedy wróciliśmy płakała z radości. Mieliśmy szczęście, lecz pozostali uczestnicy – nie bez racji – uznali nas czyn za karygodny. Na czarnej liście pozostaliśmy do końca pobytu. W Warszawie panią handlowiec ponownie odebrało wojsko. Na lotnisku w Krakowie na drugą towarzyszkę podróży oczekiwał pan z olbrzymim bukietem kwiatów. Na mnie nie czekał nikt. Kilkanaście miesięcy później na balu AGH bodajże dziekan Różański przedstawił mnie honorowemu gościowi, z wykształcenia lekarzowi, który w randze pułkownika dowodził lecznictwem w jednostkach wojskowych Polski Południowej. U jego boku stała moja znajoma z wyprawy do Gruzji. Ich syn był moim studentem, stąd ten zaszczyt. Pani albo mnie nie poznała albo – podobnie jak ja – nie przyznała się iż mieliśmy już okazję zawrzeć znajomość.

W okresie socjalizmu realnego żelazna kurtyna odgradzała nas nie tylko od zachodniego kapitalizmu ale również niewygodnej dla rządzących prawdy dotyczącej bezpośrednio terenów polskich. Również tę kurtynę udawało się nam niekiedy przekraczać. Oto przykład. W latach sześćdziesiątych w Bieszczadach, dotąd uważanych za teren zbyt niebezpieczny i dziki, zaczęli pojawiać się turyści. Jadąc na taką wyprawę w pociągu do Komańczy poznaliśmy parę, która ze względów bezpieczeństwa proponowała nam wspólną wólcę. Trasa zaproponowana przez nowych towarzyszy obejmowała szczyt Chrieszczatnika oraz położoną u jego podnóża dawną miejscowość Rabe, gdzie rozbiliśmy biwak. Zdziaczałe ale wciąż pokryte owocami sady, łąny jagód, grzybne lasy, absolutna izolacja (podczas prawie dwutygodniowego pobytu nie spotkaliśmy nikogo) zachęcały do pozostania na miejscu. Aby przedłużyć pobyt należało odnowić zapasy. Panie pozostały na miejscu, ja z towarzyszem udałem się na

⁸ W tym okresie dla pracowników urzędów państwowych najbardziej pożądanym był wyjazd nie do krajów zachodnich lecz do Związku Radzieckiego. Bynajmniej nie ze względów ideologicznych. Były to wyjazdy finansowo najbardziej opłacalne. W ramach kontrabandy przywożono biżuterie, złoto, platynę, brylanty.

zakupy do raczej odległego sklepu. Wyprawa zajęła nam cały dzień. Podczas marszu zaczęliśmy rozmawiać (dotąd nasze dialogi ograniczały się do standartowych pozdrowień). Po powrocie urządziliśmy wspólne ognisko. Kiedy zmęczone panie udały się do namiotów, a my zaglądnęliśmy do drugiej butelki, mój towarzysz pękł. Otóż jako młody żołnierz w ramach akcji Wisła brał udział w pacyfikacji Rabe. Kobiety, dzieci i starców wywieziono, mężczyzn zlikwidowano. Był to jego pierwszy od owych zdarzeń pobyt w Bieszczadach, w miejscach przeżyć, z którymi wyraźnie nie mógł sobie poradzić. O ile pamiętam naszych nazwisk nie ujawniliśmy. Pamiętam tylko, że jako adiunkt w zakresie biologii pracował na uniwersytecie łódzkim. Wiadomość, że również my jako naród mamy swoje grzechy był dla mnie niemałym wstrząsem.

W latach siedemdziesiątych pojawiła się nowa możliwość wyjazdów za granicę. Państwo w poszukiwaniu drogocennych dewiz stworzyło przedsiębiorstwo Polservice, które wynajmowało polskich pracowników w strefach dolarowych, głównie w Afryce. Firmy realizowały duże inwestycje (np. jeden z moich szwagrów budował autostradę w Tunezji), lekarze pracowali w służbie zdrowia, nauczyciele akademicki prowadzili zajęcia na tamtejszych uniwersytetach. W przypadku nauczycieli akademickich Polservice pobierał opłatę rzędu 30% od wynagrodzenia brutto. Był to rozbój, ale zważywszy na ówczesne relacje dolar – złoty, również możliwość szybkiego dorobienia się. Dzięki moim warszawskim koneksjom byłem pierwszym na AGH, który dowiedział się o tej możliwości. Załatwiłem stosowne formalności i byłbym wyjechał do Zairu, gdyby nie pojawiła się opisana poprzednio propozycja stypendium do Włoch. Włochy finansowo były mniej opłacalne, ale dawały możliwość realizacji badań naukowych. Z podobnych powodów zrezygnowałem później z dalszych wyjazdów w ramach Polservice'u. Warto jednak przypomnieć pewne fakty dotyczące tych wyjazdów, oddają bowiem panujące stosunki. Otóż do Zairu nie pojechałem. Pojechał natomiast kolega inżynier z zaprzyjaźnionej katedry Mechaniki. Na miejscu okazało się, że przez dwa lata na uniwersytet w Kinszasie wpływała moja pensja. Wymieniony kolega czekał na swoje pobory ponad rok czasu. Kiedy bliżej poznałem afrykańskie stosunki śmiem uważać, że władze uczelni faktu iż nie dojechałem specjalnie nie zgłosiły, a najprawdopodobniej wynagrodzenie moje ulotniło się z uniwersyteckiej kasy.

Zupełnie skandaliczny był przypadek mojego serdecznego przyjaciela Andrzeja Fitzkego, który w Kinszasie spędził blisko 15 lat. W pewnym momencie zaczęły się opóźnienia w wypłacaniu pensji. Polservice w wypełnianiu warunków kontraktu nie pomógł, swojego procentu żądał jednak punktualnie. Andrzej przedłużał swój pobyt licząc na obietnicę, że zaległości zostaną mu wypłacone. W ostatecznym rozliczeniu nie wypłacono mu poborów za trzy lata. Polservice nie udzielił żadnej pomocy przy próbie odzyskania zaległości. Jest to jeden z wielu znanych mi negatywnych przykładów opieki służb dyplomatycznych nad polskimi obywatelami przebywającymi za granicą. Zwykle działalność ambasad czy konsulatów ograniczała się do wyłudzenia od ziomeków opłat finansowych. Obawiam się, że po przemianach sytuacja nie uległa istotnej poprawie. Placówki zagraniczne wciąż służą za miejsce atrakcyjnej zsyłki dla odsuniętych od władzy kolegów. Żenującym był widok pracowników ambasady polskiej w Rzymie z trudem dukających parę wyuczonych na pamięć zdań włoskich.

Muszę przyznać, że po zmianach w tej dziedzinie nastąpiła wyraźna poprawa. W ambasadach pojawili się ludzie mówiący płynnie językiem tubylców.

10. Zaułki socjalistycznej rzeczywistości

W okresie mojej młodości wiele podstawowych tematów było całkowicie pokrytych milczeniem, np. zsyłki na Sybir, stalinowski terror, wymordowanie przez Rosjan inteligencji polskiej w okresie wojny, problem żydowski, czy konflikty między organizacją partyzancką podległą rządowi londyńskiemu, a partyzantką organizowaną przez siły lewicy flirtujące już z władzą radziecką. Wystraszone społeczeństwo również milczało. Jeden z moich najbliższych przyjaciół krakowskich o fakcie, że Jego ojciec został zamordowany w Katyniu powiedział mi wiele lat później, kiedy odwiedziłem Go w Meksyku. Były to kwestie, których zupełnie nie znałem. Szybko też stały się jedną z podstawowych dziedzin moich zainteresowań. Wiadomości na ten temat zdobywałem często przypadkowo. Kiedy zacząłem wyjeżdżać do Francji zyskałem dostęp do ukazującej się na Zachodzie literatury na ten temat. Były to głównie pamiętniki więźniów radzieckiego systemu, opracowania dotyczące historii partii bolszewickiej czy też wydawnictwa typu paryska *Kultura*.

Pamiętam jedno z pierwszych naocznych źródeł. Poinformowano mnie iż jeden z moich studentów punktu konsultacyjnego w Nowej Hucie był długi okres więziony w łagrach syberyjskich. Informacji tej udzielił mi pracujący student równocześnie pełniący obowiązki sekretarza komórki partyjnej na Wydziale Walcowni Huty im. Lenina (obaj tam pracowali), z prośbą abym traktował byłego więźnia z pewnym wyrozumieniem (sic!). Było to niepotrzebne był bowiem studentem bardzo solidnym. Po upewnieniu się przed egzaminem iż historia zesłania jest prawdziwa, poprosiłem o indeks i stwierdziłem iż biorąc pod uwagę Jego przejścia i mój wiek, nie czuje się uprawnionym do zadawania pytań. Zgodnie z moim sumieniem oraz Jego postawą na zajęciach wpisałem mu najwyższą ocenę. W pierwszej chwili były więzień sądził iż jest to dalszy ciąg prześladowań i otrzymał ocenę negatywną. Kiedy wyjaśniliśmy sytuację, umówiliśmy się na spotkanie. Spotykaliśmy się zresztą parokrotnie. Pochodził z okolic Nowego Sącza, zatem ziomek. Jako akowiec, dowódca oddziału partyzanckiego, ujawnił się w ramach ogłoszonej amnestii. Złożył broń, wrócił do domu i tego samego wieczora został aresztowany. Kilka dni skuty przeleżał w jakiejś komórcie. Następnie wrzucono go do zamkniętego wagonu, do którego w drodze dorzucano dalszych więźniów. Z wagonu został wypuszczony już na Syberii. Wówczas też wręczono mu wyrok. Pracował w kopalni złota, brodząc w wodzie powyżej kolan. Opisywane przez Niego warunki życia i pracy budziły grozę. W pewnym momencie ważył 36 kilo przy wzroście ponad 1.8 metra. Większość Jego kolegów więziennych zmarła. On przeżył, bo w pewnym momencie został przeniesiony do kołchozu. Aby ratować zbiory kopalnie zobowiązano do wysłania ekipy żniwnej, a ta wybrała jednostki, które dla kopalni przestawały być wartościową siłą roboczą.

Równie ciekawy przypadek to parafianin brata z Lewina Kłodzkiego. W czasie wybuchu wojny służył w wojsku jako szeregowy. Dostał się do niewoli rosyjskiej

i został zesłany na Sybir. Udało mu się wydostać gdy tworzone armię polską. Wraz z Andersem przeszedł do Palestyny, zaliczył front włoski, a po zakończeniu wojny powrócił do Polski. Tutaj, pomimo iż poza odznaczeniami nie posiadał żadnego stopnia wojskowego ani też nie był związany z żadną organizacją, został ponownie aresztowany i zesłany na Sybir. Powrócił dopiero w latach pięćdziesiątych. Sprawami polityki nigdy nie był zainteresowany. Prosty, uczciwy człowiek, który na zdarzenia tak mieszające mu życie nie miał żadnego wpływu.

Wiele informacji na temat socjalistycznej rzeczywistości uzyskałem od pana Bogusława Małeckiego. Był studentem pierwszego kursu magisterskiego w Warszawie, pełniąc równocześnie funkcje Dyrektora Departamentu Pracy i Płacy w Ministerstwie Przemysłu Ciężkiego. Poprzednio był vice przewodniczącym Komitetu Pracy i Płacy. Jak sam opowiadał mi później w tym okresie naraził się i wstęp na wyższe stanowiska władzy miał zagroźony. Był człowiekiem zauroczonym organizacją pracy i prawami funkcjonowania społeczeństwa. To był Jego sens życia. Mieszkał skromnie w zwykłym bloku. Nie czuł potrzeby dorabiania się. Uważał, że finansowa pazerność przedstawicieli władzy może być zabójcza dla przyszłości budowanego ustroju. To oczywiście nie mogło się podobać.

Warto tu wspomnieć historie mojej przyjaźni z panem Bogusławem. Zwrócił moją uwagę już jako student, nie tyle za względu na swoje stanowisko, co niezwykle celne riposty. W pierwszym okresie gdy przyjeżdżaliśmy do Warszawy pociągiem, ministerstwo wysyłało po nas służbowy samochód. Ponieważ często był to kierowca pana Bogusława, pobyt w Warszawie rozpoczynaliśmy zatem kawą w Jego gabinecie. Znajomość nie przekraczała jednak ram oficjalnych. Już nieco później, matematyk krakowski dr Franciszek S. potrzebował nadwozia do Syrena, na rynku zupełnie niemożliwego do zdobycia. Franek wiedząc o moich zajęciach z warszawskimi urzędnikami jak również o moich kłopotach z pracą doktorską sprytnie podszedł mnie oświadczając, że rozumie w czym tkwi trudność pracy, wystarczy, że właściwie ustawimy zagadnienie. Licząc na pomoc, zacząłem rozglądać się za możliwością załatwienia sprawy. Tak poprzez prof. Janowskiego trafiłem do pana Bogusława, mojego byłego studenta. Pan Bogusław sprawę obiecał załatwić, a dla załatwienia formalności kolega pojechał do Warszawy na umówione spotkanie. Wrócił zachwycony. Na dworcu czekał na niego służbowy samochód z kierowcą, zawieziono go do ministerstwa, poczęstowano kawą, ustalono sposób przesyłki, odwieziono z powrotem na dworzec. Jego serdeczność skończyła się parę dni później⁹. Nie miał czasu na rozmowę. Kiedy dostałem telefon od pana Bogusława z zapytaniem czy przesyłka dotarła, sprawa była jasna. Załatwiającym wypadało przynajmniej osobiście podziękować.

⁹ Historia pana prof. S., zdolnego matematyka, zawiera całkiem humorystyczne momenty. Już po zmianach okazało się, że kartoteka koleżanki z Uczelni zawiera pokaźną ilość raportów współpracującego z SB agenta. Urzędujący rektor UJ, prof. Musiał, poinformował prasę, że konsekwencje służbowe zostaną wyciągnięte i pan profesor, który okazał się owym agentem, musi uczelnie opuścić. Zapomniał poinformować się na jakiej ustawie może oprzeć swoje ewentualne zarządzenie. Oczywiście do zwolnienia nie doszło. Kiedy dwa lata później Uniwersytet Jagielloński organizował olbrzymią międzynarodową konferencję, uznając jej naukową wartość, pan rektor szczerze ją dofinansował. Uwagi jego umknął drobny szczegół. Konferencja była poświęcona panu prof. S z okazji jego 70-tych urodzin. W czasie uroczystości panu profesorowi został wręczony medal „Zasłużony dla Krakowa”.

Zaopatrzony w parę butelek łąckiej śliwownicy wsiadłem w pociąg i pojechałem do Warszawy. W którymś momencie na pytanie czy nadwozie pasuje, w roztargnieniu odpowiedziałem, że nie wiem. Kiedy w końcu wyznałem, że kolega już mnie nie pozna, historia tak rozbawiła pana Bogusława, iż mimo zakupionego już biletu sypialnego na nocny pociąg do Krakowa, wylądowałem w Jego mieszkaniu i właściwie do rana słuchałem opowieści z Jego życia. Od tego czasu odwiedzałem Go systematycznie, często zamiast w hotelu spałem w Jego mieszkaniu. Stałem się stałym słuchaczem. Pan Bogusław został właściwie moim guru odnośnie wiedzy o otaczającej rzeczywistości. Oprócz opowieści dostarczał mi też literatury, która w normalnym obiegu nie była dostępna. Domeną Jego zainteresowań oprócz literatury ekonomiczno-politycznej był problem żydowski, wówczas zagadnienie tabu. Na ten temat posiadał rozległą wiedzę i bogatą literaturę.

Kiedyś gdy piliśmy kawę wpadli do Niego dwaj pułkownicy z UB. Nie pozwolił mi wyjść. Później wytłumaczył mi, że chciał abym zobaczył sposób rozumowania służb bezpieczeństwa. Okazało się iż władza przygotowuje kolejną podwyżkę, a panowie mieli za zadanie rozpoznać czy klasa robotnicza wytrzyma. Dyrektor Wydziału Pracy i Płacy wydawał się źródłem wiarygodnym. Pan Bogusław próbował ich przekonać, że kolejne podwyżki nieuchronnie wywołają rozruchy społeczne. Tak się też zresztą stało. Wtedy słyszałem po raz pierwszy o istnieniu zorganizowanej opozycji, jak też nazwiska Michnika i Kuronia. Panowie wyrazili opinie iż wymienionym nie można nic zrobić ze względu na ewentualne reperkusje w handlu zagranicznym. Na tym kierunku mieli ręce związane. Mogli im tylko utrudniać życie. Uderzać mogli tylko tych, którzy nawiązują z nimi kontakt, a nie mają opieki Gminy (Faktycznie w Krakowie zginął Pyjas, niewątpliwie bardziej aktywnemu z tej paczki Wildsteinowi włos z głowy nie spadł). Był to dla mnie sygnał alarmowy, nie mając odpowiedniej „*polis ubezpieczeniowej*” niebezpiecznie jest dołączać do grup opozycyjnych, których składu dokładnie nie znamy. Łatwo można zostać kozłem ofiarnym, rola ewentualnych bohaterów – jak pokazała zresztą historia – jest już zwykle zarezerwowana.

W okresie późniejszym sądzę, że w większości przypadków polisę taką wystawiało UB. Najbardziej rewolucyjnie występowali ludzie, którzy czuli się bezpiecznie, a lud oczywiście wybierał odważnych. Wielu z nich z czasem wyczuwając wiatr, zmieniło sztandar i przyczyniło się istotnie do zmian, które nastąpiły. Sam obserwowałem zaangażowanych działaczy Solidarności, o których miałem dość wiarygodne informacje o ich współpracy z urzędem bezpieczeństwa. Kiedy próbowałem ostrzec kolegów, usłyszałem stwierdzenia: *im nas więcej tym lepiej, posłuchaj teraz co mówią, z jaką odwagą, to najważniejsze*. Znów zdało egzamin stare prawo: „*gdy wieje wiatr historii najwyżej wylatuje śmiecie*”.

Pan Bogusław, jako dyrektor departamentu Pracy i Płacy, walcząc z zasadą „*czy się stoi czy się leży, dwa tysiące się należy*” próbował wprowadzić system wynagradzania powiązany z wydajnością pracy. Terenem eksperymentu była Stocznia Gdańska oraz Śląsk. W swoich próbach reformowania organizacji pracy napotykał opór zarówno ze strony aparatu partyjnego, jak i związków zawodowych. Zdecydowanie przeciwna była stocznia, więcej zrozumienia znalazł na Śląsku. Przy tej okazji po raz pierwszy słyszałem nazwisko Wałęsy. Pan Bogusław uważał go za niepoważnego warchoła. Parę lat

później nazwisko Wałęsy poznała nie tylko Polska, ale cały świat. O panu Mańkiewiczem zapomnieli wszyscy. Twardogłowa część partii uznała go za rewizjonistę i postarała się o wystawienie mu czerwonej kartki za próbę wprowadzania elementów kapitalistycznych. Klasa robotnicza uważała go za przedstawiciela nielubianego reżymu. Świat jest niezwykle mały. Parę lat później mój włoski przyjaciel prof. Gabriele Villari opowiadał mi, że będąc w Polsce z młodzieżową delegacją komunistycznej partii Włoch starli się z nieodpowiedzialnym nurtem polskich komunistów, którzy – o zgrozo – wynagrodzenie chcieli powiązać z wydajnością. Kapitałiści! Pomysł Pana Bogusława obarczony chyba był błędem pierworodnym – utopią. System organizacyjny był niewydolny. Pan Bogusław przy braku wyraźnego poparcia władz centralnych próbował go ratować wprowadzając powiązania między wydajnością w pracy a wynagrodzeniem. Zważywszy ogólny sposób zarządzania, próby takie z góry skazane były na niepowodzenie. System okazał się niereformowalny. Pokazały to również próby Gorbaczowa w Rosji.

Najciekawsze dla mnie wydarzenie związane z panem Bogusławem to następująca historia. Podczas mojej obecności zadzwonił do Niego Kaim, ówczesny minister MPC, który nie mógł dotrzeć do Warszawy, gdzie było zaplanowane zawarcie międzyresortowej umowy z jego udziałem. Poprosił pana Mańkiewicza aby go zastąpił, udzielając mu stosownych pełnomocnictw. Pan Bogusław bez namysłu zaproponował mi wspólny wyjazd. Gospodarzem spotkania był dyrektor Huty Warszawa, inż. Stanisław Detko, a osobistością najważniejszą na tym spotkaniu, pierwszy sekretarz Komitetu Warszawskiego, tow. Józef Kępa, który próbował wtedy odgrywać w partii kluczową rolę. Ministerstwo zdrowia reprezentował minister prof. Śliwiński. Byli jeszcze ministrowie dwóch innych resortów (nie pamiętam nazwisk) oraz dyrektorzy ważniejszych zakładów produkcyjnych podlegających MPC. Towarzysz Kępa wygłosił długie przemówienie zawierające głównie stek przekleństw i soczystych inwektyw pod adresem inteligencji, składanych na ręce pana ministra Śliwińskiego. Jeszcze dzisiaj nie mogę zrozumieć jaka siła wstrzymywała lekarza, profesora medycyny, od trzaśnięcia drzwiami i opuszczenia posiedzenia. Chyba nie zaszczyt bycia ministrem. Na Syberie wtedy już nie wysyłano, a zatem zagrożenia bezpośredniego nie było. Kiedy na zakończenie podpisywano umowę, pan Bogusław podsunął mi dokumenty szepcząc „nieczytelnie”. Tak więc mój gryzmoł figuruje na oficjalnym rządowym dokumencie epoki socjalizmu realnego. Pewno to głupie, ale ten podpis dostarczył mi sporo radości, a owo zdarzenie zaliczam wciąż do jednej z ciekawszych przygód.

Kiedy już jako mieszkaniec Włoch będąc w Warszawie miałem chwilę czasu, pan Bogusław podejmował mnie zawsze gościnnie. Jako emeryt z równym zaangażowaniem zorganizował spółkę lokatorską która przejęła w zarząd dawne lokale spółdzielcze. Niestety, w stosunku do Niego czuje znaczne wyrzuty sumienia. Kilkanaście lat temu Jego syn poinformował mnie iż tato jest chory i pragnąłby się ze mną spotkać. Ponieważ dojazdy z Włoch do Polski nie były tak dostępne jak obecnie, ponadto dosyć kosztowne, nie zmobilizowałem się. Pan Bogusław zmarł, a mnie pozostało poczucie niespełnionej powinności.

Istotnym elementem tworzenia nowego ustroju była odbudowa po zniszczeniach wojennych. Niewątpliwie był to czynnik integrujący. Część społeczeństwa uległa fe-

tyśzowi odbudowy, nieświadoma politycznych celów wielkiego brata dążącego do całkowitego podporządkowania sobie gospodarki naszego kraju. Kierunek rozwoju narzucił nam Związek Radziecki. Formalnie decyzje zostały podjęte w grudniu 1948 na Kongresie Zjednoczeniowym PPS i PPR w ramach tzw. planu sześcioletniego. Priorytetem planu było zwiększenie inwestycji i polityka intensywnej industrializacji kraju na wzór radziecki, w tym przede wszystkim rozwój przemysłu ciężkiego i metalowego. Stało się to ze szkodą dla rozwoju innych kierunków gospodarki¹⁰, w szczególności tych, w których mieliśmy już światową renomę, np. w produkcji małych samolotów (Biała Podlaska, Lublin, Warszawa). Sztandarową budową realizowaną w ramach planu sześcioletniego był kombinat metalurgiczny w Nowej Hucie. Decyzje o lokalizacji podjęto ze względów politycznych, wbrew rachunkowi ekonomicznemu. W okolicy Krakowa nie ma ani węgla, ani rudy, natomiast ukształtowanie terenu, tzw. niecka krakowska, uniemożliwia odpływ zanieczyszczonego powietrza. Decydemtom chodziło wyłącznie o to, aby „konserwatywnej” ludności Krakowa przeciwstawić „postępową” klasę robotniczą. Obłuda czy też głupota rządzących, a czasami zwykła niewiedza, osiągnęły niebotyczne rozmiary. Zanieczyszczające środowisko dymy hut nadworni poeci opiewali w swoich „dziełach” jako miarę i znak postępu.

Niektóre moje wspomnienia dotyczą takich właśnie kwestii związanych z hutą aluminium w Skawinie. Hutę tę wybudowano również w ramach planu sześcioletniego. W krótkim czasie stała się jednym z najniebezpieczniejszych źródeł zanieczyszczenia Krakowa. Wiedza o tym (wyłącznie drogą nieformalną) docierała do mieszkańców bardzo wolno. Na przykład wiadomo już było, że w okolicy Skawiny zanika hodowla bydła, które masowo łamie nogi. Wiadomo też było, że pracownicy huty dość łatwo mogą przejść na rentę czy wcześniejszą emeryturę, co dla niektórych stanowiło nawet zachętę do podjęcia pracy w tym zakładzie. Moja wiedza o hucie Skawina była na tym poziomie. Pewnego dnia mojego przyjaciela z AGH, prof. Stanisława Piechotę, odwiedził kolega ze studiów, pełniący funkcje bodajże dyrektora technicznego huty Skawina. Przy lampce koniaku opowiadał nam mocno przejęty iż władze w ramach oszczędności odmawiają mu funduszy na wymianę stropów, a minęło już osiem lat i przeżarte zadaszenie może się zawalić, produkcja zostanie przerwana za co on może wylądować w więzieniu. Zszokowany zapytałem: skoro zanieczyszczenia tak niszczą, żelbeton, co z ludźmi?. Odpowiedź zdumiewająca: „*z tym problemu nie ma, ludzie po paru latach odchodzą na rentę*”. Wrażenie pozostało mi do dzisiaj, chociaż z biegiem lat sytuacji takich poznałem więcej, w szczególności w Chinach¹¹.

¹⁰ Niestety historia się powtarza. Ostatnie transformacje również doprowadziły do zniszczenia niektórych prosperujących działów gospodarki, np. przemysłu włókienniczego, jedwabnictwa, hutnictwa, przeróbki metali kolorowych. Winy tym razem nie możemy zrzucić na wielkiego brata. Za marną miskę soczewicy czy też w wyniku zwykłej nieodpowiedzialności oddaliśmy nasze dobra narodowe obcej konkurencji, która często po prostu zlikwidowała produkcje (vide Milanówek).

¹¹ W kraju tym nie istnieją przepisy odnośnie ochrony środowiska i zdrowia mieszkańców. Ponad 400 milionów pije wodę niezdatną do picia. Istnieją tereny skażone gdzie ponad 90% mieszkańców (łącznie z dziećmi) posiada chorobę nowotworową. Wiadomości na ten temat zaczynają pojawiać się również w prasie polskiej. Z informacji które uzyskałem podczas pobytu w Chinach wydaje się iż sytuacja jest znacznie gorsza niż nieliczne informacje które przenikają do środków masowego przekazu.

Następny fakt dotyczy również tej huty. Wspominany już prof. Różański zaprosił mnie do restauracji. Oprócz nas byli jeszcze dwaj jego koledzy, pełniący dość znaczące funkcje w Warszawie. Okazało się iż jeden z nich ma problemy z synem. Aby odizolować go od wpływu środowiska, przeniósł go na studia do Krakowa. Chodziło teraz o to, aby pod pretekstem korepetycji zorganizować dyskretną obserwację. Według Różańskiego ja – zawsze ciągnący do miejsc gdzie coś się dzieje i jest wesoło – byłem dobrym kandydatem do tej roli. Po omówieniu sprawy rozmowa zeszła na inne tory. W pewnym momencie Różański popatrzył na kolegów i rzekł: *brakuje tylko xx* (nie pamiętam nazwiska), *który z nas wtedy mógł podejrzewać jaki syf robimy w Krakowie*. Otóż była to czwórka, która zaprojektowała i pilnowała budowy huty Skawina. Żaden z nich nie miał najmniejszego pojęcia o szkodach jakie ich dzieło wyrządzi w Krakowie¹².

Po zrobieniu habilitacji zacząłem się zastanawiać nad zmianą uczelni. Część kolegów z Instytutu czuła się zagrożona moją nową pozycją. Ochoty na toczenie walk nie miałem. Ponadto miałem nierozwiązaną sytuację mieszkaniową, a w gospodarce komunalnej nastąpiła całkowita zapaść. Z drugiej strony, aby zachęcić samodzielnych pracowników do podjęcia u nich pracy, nowopowstałe uczelnie często proponowały



Młodzi małżonkowie

zdecydowanie lepsze warunki, z zasady zapewniały też mieszkanie. Z wizyt jakie odbyłem poszukując nowego miejsca pracy w pamięci pozostały mi Kielce. Sytuacja była nietypowa bowiem pojechałem w towarzystwie krakowskiego profesora (pana Pizonia), którego werbowano do władz rektorskich, stąd oprawa wizyty wyjątkowa.

W programie oprócz rozmów z władzami uczelni było spotkanie z wojewodą jak również sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego PZPR. To drugie spotkanie mocno utrwaliło się w mojej pamięci. Wprowadzono nas do sali konferencyjnej. Wokół olbrzymiego stołu oszalały osobnik, który stek przekleństw przerywał wykrzyknikiem: „*zgniotę jak wszy!*”, co

¹² Aby nie wszystko było w pesymistycznym nastroju, podajmy przykład pozytywny. Wszyscy wiemy o radioaktywnej chmurze po katastrofie w Czernobylu. Niewielu z nas wie iż znacznie groźniejsza chmura radioaktywna krążyła wcześniej w wyniku eksperymentów Rosjan i Amerykanów z bronią atomową. Kiedy zorientowano się w zagrożeniu, pomimo stanu zimnej wojny strony potrafiły się dogadać, próbne wybuchy – przynajmniej na masową skalę – przerwano i być może dzięki temu dzisiaj żyjemy. Opinia publiczna właściwie nigdy nie została poinformowana. Istotną rolę w tej i wielu innych akcjach odgrywała malownicza mała miejscowość Erice na Sycylii. Prof. Zichichi, przyjaciel Andreottiego, organizował tam coroczne spotkania liderów polityki i nauki. Erice odwiedzali – choć jeszcze w różnych terminach – zarówno prezydenci Stanów Zjednoczonych jak i sekretarze komunistycznej partii ZSRR (np. Breżniew). Również te wizyty nie były upubliczniane. Swoją pozytywną rolę spełniły. Czasami ludzkość potrafi być rozsądna.

zażarcie i ze znanstwem demonstrował na owym stole. (Jego fachowość mogłem docenić bowiem wszy z okresu wojennego i wczesno powojennego pamiętam). Na nasze przyjście, pomimo kilkakrotnych nawoływań, nie zwracał uwagi. To właśnie był pierwszy sekretarz. Później dowiedzieliśmy się, że w zakładach kieleckich rozpoczęły się „przerwy w pracy” (tak nazywano wówczas strajki) i najważniejszy na tym terenie przedstawiciel władzy ludowej pokazywał co z protestującym narodem czynić należy. Oczywiście na wszystkich spotkaniach traktowano nas jak zaufanych towarzyszy.

Zabawna sytuacja była też następnego ranka. Schodzimy wolno hotelowymi schodami. Na piątym piętrze towarzyszący mi kolega zadaje pytanie: „*panie docencie, jest pan partyjny?*”. Długi namysł, dwa piętra niżej odpowiadam: „*Niestety nie i nie widzę tu mojej przyszłości. Pan jako partyjny ma lepiej*”. Tym razem jego długie milczenie i dopiero na parterze odpowiedź: „*Nie wiem czy to pan nie ma lepiej*”. Ostatecznie ja wylądowałem we Włoszech, on w następnej kadencji na stanowisku prorektora uczelni kieleckiej.

Pozostałem w Krakowie. Należało rozwiązać problem mieszkaniowy. Jak zrodził się ten problem? Otóż jeszcze jako kawaler uzyskałem mieszkanie spółdzielcze M2, co oznaczało pokój z kuchnią. Przytulne lokum na 10-tym piętrze dla młodego małżeństwa (zob. zdjęcie) było przytulnym gniazdkiem. Kiedy jednak rodzina się powiększyła (kolejne zdjęcia) stało się niezwykle ciasno. W budownictwie mieszkaniowym



Rodzina rozwojowa

nastąpiła całkowita zapaść i możliwość uzyskania większego mieszkania nieprzewidzianie się przeciągała. Z ratunkiem pospieszyli teściowie i zamieszkaliśmy razem z nimi w ich gospodarstwie w Sułkowicach (gmina Iwanowice) pod Krakowem. Miejsce piękne, rzeka, las, odizolowany wolno stojący dom. Dla dzieci był to raj (dotąd dla nich dzieciństwo i ojczyzna to dom dziad-

ków), niestety dojazdy do pracy, zwłaszcza zimową porą, były kłopotliwe.

Po długim oczekiwaniu otrzymałem przysługujące mi metrażowo mieszkanie w Bieżanowie. Aby móc uzyskać klucze musiałem wpłacić 6-ście miesięczny czynsz wynikły z opóźnienia realizacji budowy. Wcześniejszego oglądnięcia lokalu spółdzielnie nie umożliwiała. Wykonawstwo bloku było tak fatalne, że po długim wahaniu zrezygnowaliśmy z zamieszkania. Spółdzielnia nie była w stanie usunąć usterek, a blok ten niedługo później zdobył sławę jako największy bubel budownictwa krakowskiego.

Kiedy zrezygnowałem, zarządzający mieszkaniami uzyskali mieszkanie poza oficjalną listą. Nietrudno było im zamienić go na mieszkanie dobre, które już miało stosowną wartość. Rachunek się zgadzał. Na długiej liście oczekujących zawsze znaleźli się zrozpaczeni gotowi zaakceptować nawet takie mieszkanie. Należało teraz zlikwi-

dować moje istnienie i tak się stało. Moja dokumentacja zaginęła. Nie byłem w stanie zdobyć żadnej informacji. Kiedy sytuacja wydawała się już beznadziejna, udałem się po pomoc do Janowskiego. W krótkim czasie umówił mnie na spotkanie bodajże z prezesem Krakowskiej Zjednoczonej Spółdzielczości (coś w tym rodzaju). Przyjął mnie całkiem młody człowiek. Kiedy zreferowałem swoją sytuację, złożył mi gratulacje z okazji rozwoju rodziny i córek. Jego kpiący ton jak też znajomość faktów dotyczących mojej osoby wyraźnie mnie zaskoczyły. Nie poznałem, ale okazało się, że był to student, którego parę lat wcześniej definitywnie oblałem. Prowadził wówczas świetny kabaret studencki, nauką nie zajmował się wcale. Okazało się, że byłem jedynym wykładowcą, który zaglądał na występy jego kabaretu i jedynym, którego nie udało mu się pokonać bez nauczenia się przedmiotu. Kiedy już przypomniał mi te fakty z miną humorysty dorzucił, że dzięki mnie dziś jest na tym stanowisku (po wyrzuceniu z AGH zmobilizował się do pracy i ukończył Wyższą Szkołę Ekonomiczną). Widząc, że sprawa jest przegrana, również ja poddałem się wisielczemu humorowi. Pomiędzy żartami dopytałem się jaka w tym momencie jest najlepsza realizowana lokalizacja w Krakowie. Kiedy pokazał mi stosowny projekt i sadystycznie zapytał gdzie chciałbym mieć mieszkanie, wybrałem (przy jego pomocy): blok, piętro, klatkę schodową i numer mieszkania. Po powrocie do domu nie miałem siły przyznać się żonie do niemiłej przygody. Przykrą sytuację trawiłem w sobie aż do momentu uzyskania przydziału na tak wybrane mieszkanie. Mieszkamy w nim do chwili obecnej.

11. Drogowskazy i autorytety. Rzeczywistość alternatywna

W naszej kulturze pierwszym autorytetem w dziele kształtowania się młodego człowieka są rodzice. Chociaż z moimi rodzicami – w efekcie dzieciństwa spędzonego poza rodzinnym domem – nigdy nie nawiązałem bliskiego kontaktu, niewątpliwie Oni byli moim pierwszym układem odniesienia i drogowskazem. Oboje głęboko religijni, absolutnie przestrzegali zasad narzucanych przez Kościół. Zasady te wyssałem z mlekiem matki, utrwaliłem przykładem wychowującej mnie cioci i długo były (mam nadzieję przynajmniej czasami jeszcze są) podstawą mojego postępowania. Niestety, przy moim żywym temperamencie, tendencji do ukrywania uczuć i raczej niewyparzonego języku, wyglądało to zgoła inaczej. Myślę, że prawdy tej Mama nie poznała nigdy, a może zmartwień i parę zmarszczek miałyby mniej.

Z rodziny bliższy stosunek miałem tylko przez pewien okres z bratem Janem. Ja byłem studentem, później początkującym pracownikiem nauki, On początkującym księdzem. Co więcej, pracował na terenie decyzji wrocławskiej, który władza traktowała jako poligon doświadczalny w walce z kościołem. Nie uporządkowane prawa własności, jak również obsada niektórych pracowników kurii wrocławskiej (ksiądz Lagosz, biskup Latusek) z namaszczenia państwa, stwarzały ku temu dogodne warunki. Warto przypomnieć też, że księży z Polski centralnej z reguły spoglądał na kościół Ziemi Odzyskanych z ogromną nieufnością. Na ich usprawiedliwienie należy dorzucić, że na terenach tych lądowali często księża, którzy w macierzystych diecezjach mieli problemy. Sytuacja była więc trudna. Tutaj należy się pokłon duchownym pracującym



Od lewej: Marcin, Maria, Natalia

na Ziemiach Odzyskanych, którzy przetrzymali ten trudny okres i byli jednym z istotniejszych spoiw różnorodnej, często trudnej, ludności napływowej. W tym okresie często odwiedzałem brata spędzając u niego niemal wszystkie wolne chwile. Po powrocie do Krakowa moim kolegom zdawałem relacje z „linii frontu” w walce z panującym reżymem. Niewątpliwie brat na tej linii wówczas był.

Z biegiem czasu również w moim życiu pojawiły się istotne dla mnie problemy np. pracy, mieszkania, wyboru wartości i sposobu zachowań w panującej rzeczywistości. Dwa lub trzy razy wybrałem się do brata aby pomówić o moich sprawach. Zajęty jednak swoją działalnością nie miał ani siły ani ochoty aby mnie wysłuchać. Tak więc decyzje dotyczące mojej przyszłości dalej musiałem podejmować sam. Z drugiej strony stabilizująca się sytuacja kościoła Ziemi Zachodnich zmniejszała moje zainteresowanie tym terenem. Było to już normalne życie Kościoła i normalne lokalne problemy. Powoli nasze drogi rozeszły się. Do brata pozostał mi szacunek jako do wyjątkowo uczciwego księdza, chociaż na wiele spraw mieliśmy już inne poglądy i inną skalę ważności. Z perspektywy czasu uważam, że było to kolejny zbieg okoliczności, który umożliwił mi większy stopień swobody przy wybieraniu własnej drogi życiowej.

Brat po uspokojeniu nastrojów w zbuntowanej Czeremnej (w tym celu został przeniesiony z Lewina Kłodzkiego) odmówił kardynałowi Kominkowi objęcia kolejnej trudnej i dużej parafii w Wałbrzychu. O wyborze zdecydował fakt iż Mama chciała mieszkać w przypominającej wioskę Kudowie. Tutaj mogła hodować krowy, a zatem kontynuować życie, do którego przywykła. Kardynał to zrozumiał, tą decyzją jednak Jan ustawił sobie dalszą drogę życiową. Wybrał spokojną pracę oraz kontynuację swojego hobby – pszczelarstwa. Wybór w znacznej mierze podyktowany szlachetnymi pobudkami (Mama), ale też chęcią uniknięcia szarpania się z problemami młodych wikarych, natrętnie nasuwał mi parabolę o zakopanych talentach¹³. Właściwie nie mieliśmy już żadnego wpływu na nasze wzajemne decyzje. Nieśmiało kiedyś próbowałem bratu zasugerować aby odremontował rozległą plebanie w Kudowie – Czeremnej, a uzyskane pomieszczenia przeznaczył na powstający wtedy ruch oazowy. Byłaby to moim zdaniem działalność pożyteczna oraz sensowne wykorzystanie olbrzymich zabudowań. Ponadto działalność ta zapewniała środki na dalsze remonty, a ponadto włączała go w nurt aktywnych członków Kościoła. Jan miał już jednak inne pomysły na duszpa-

¹³ Mam tu swój wkład odpowiedzialności, bowiem z mojej inicjatywy Mama zamieszkała u brata. Wyrosłe wątpliwości spowodowały iż była to moja ostatnia rodzinna akcja.

sterstwo. Był coraz bliżej idei „movimento pauperistico”, czyli duszpasterstwa wymagającego minimalnych kosztów finansowych (podobne idee kierowały ruchem księży robotników we Francji, czy też teologią wyzwolenia w Ameryce Południowej¹⁴).

Przypomnijmy, że ruch duszpasterstwa ubogiego zapoczątkował Franciszek z Asyżu, ale pod koniec życia opuścił zbyt już rozwinięte zgromadzenie, które stworzył i dokończył żywota jako eremita (1226 roku). Został świętym, ale naśladowcy go współbracia Jacopora da Tori (franciszkanin od 1278 roku, więziony przez długie lata aż do 1303 roku) oraz Fra Dolcino (również uwięziony i skazany) nie znaleźli zrozumienia we władzach kościelnych.

Jan również naraził się swoim zwierzchnikom, w moim odczuciu chodziło jednak bardziej o sprawy logistyczne. Malownicze i dyskretne położenie plebanii Kudowy – Cermnej, niewykorzystana rozległa zabudowa plebanii o bardzo ciekawej architekturze, przylegające doń znaczne tereny należące do kościoła, zwróciły uwagę jednego z nowych, prężnie rozwijających się ruchów w Kościele. Jego przedstawiciele dotarli pewno do władza diecezji, a ten dość bezmyślnie, pasywnego już w sensie działalności gospodarczej, choć niewątpliwie zasłużonego proboszcza przeniósł bez rozsądnego wyjaśnienia na emeryturę, wywołując poczucie krzywdy. Sytuacja niepotrzebna, każda ze stron miała swoje racjonalne argumenty i sprawa mogła być rozwiązana spokojnie. Nowy proboszcz Cermnej otrzymał znaczną pomoc finansową na remonty i rozbudowę. Aktualnie plebania w Kudowie-Cermnej to bogaty i piękny kompleks, wierni mogą mieć powód do dumy, że ich obiekt parafialny prezentuje się świetnie¹⁵. Pytanie, na ile rzeczywiście to służy parafii. Nawet zatrudnieni w nim pracownicy nie pochodzą z Cermnej. Miejsce zostało wykorzystane sprytnie i racjonalnie, a zgodnie z „duchem czasu” przeważał element biznesu.

W niezwykle ciekawej książce „Życie nie starzeje się” wydanej w 2005 roku pan Bronisław Kamiński pisząc o bracie podaje bardzo trafną ocenę jego działalności, wyciągając wniosek, z którym muszę jednak polemizować. Otóż stwierdza On, że obecne czasy wymagają od proboszczów specjalnych zdolności menadżerskich. W mojej opinii dobry proboszcz zawsze musiał być również dobrym gospodarzem, jednakże menadżerska działalność nie może przysłonić podstawowej działalności kapłana – służbie ludowi, służbie Kościołowi w zakresie posług wiernym i rozwijaniu Jego ideologii. Być może dzisiaj bardziej niż w okresie poprzednim potrzebny jest wspomniany ruch kościoła skromnego. Dali temu wyraz kardynałowie wybierając na papieża Franciszka. Wybór ten rodzi nadzieje, że również tutaj nastąpi zmiana. Osobiście uważam, że Kościół nie może działać bez bazy finansowej, nie należy jednak tego mylić z prywatną pazoernością Jego przedstawicieli, co niestety ostatnio dość często obserwujemy.

Wracając do brata, mieszkańcy Kudowy docenili jego wkład dla rozwoju tamtejszego terenu. W 1999 roku – w chwili odejścia na emeryturę – został honorowym obywatelem Kudowy, a w 2012 roku człowiekiem roku okręgu Kudowa, pomimo iż od paru lat jest na emeryturze.

¹⁴ Ten ostatni ruch, podobnie jak włoski „catolicesimo per comunismo” zawierał elementy politycznego małżeństwa Kościoła z komunizmem, co Janowi zawsze było bardzo obce.

¹⁵ Plebania jest w pewnym sensie wizytówką parafii i winna być schłodnym obiektem.

Z braku właściwego układu odniesienia, moim autorytetem został osobnik, którego zwykle miałem okazję oglądać przy goleniu. Nastąpiło tu dość dziwne zjawisko. Z biegiem lat ubywało mi włosów, siwiała broda, a ów typ miał ciągle bujną czuprynę, pogodny wyraz twarzy, w uśmiechu zdrowe zęby. Tajemnice w końcu zrozumiałem. Autorytet coraz mniej przypominał mnie, coraz bardziej żonę. Jeśli udało mi się mimo tego w miarę przyzwoicie przejść przez życie, zawdzięczam to faktowi, że wartości moralne pod wpływem, których kształtował się mój światopogląd – podobnie zresztą jak większości moich rodaków (w tym żony) – są wartościami sformułowanymi przez Kościół. Bez tych wartości wali się nasz system wychowawczy, co chyba wszyscy aktualnie obserwujemy¹⁶. Troska o te wartości rodzi mój ostry krytycyzm do wielu poczynąń licznych przedstawicieli dzisiejszego Kościoła, a w szczególności Jego hierarchii. Dlatego też jestem przekonany, że temu argumentowi warto poświęcić nieco czasu chociaż jestem świadom, że z obserwacjami tutaj sformułowanymi nie zgodzi się zapewne znaczna część Czytelników.

Nie ulega raczej wątpliwości iż w okresie realnego socjalizmu Kościół stanowił istotne oparcie dla narodu. Polska była jedynym krajem bloku socjalistycznego w którym Kościół pozostał liczącą się siłą polityczną. Sądzę, że istotną rolę odegrały, tu dwa elementy: tradycyjne przywiązanie Polaków do Kościoła wynikłe z faktu, że w naszych burzliwych dziejach zwykle był nosicielem idei narodowych¹⁷ oraz postać Wyszyńskiego – Prymasa Tysiąclecia. Wyszyński znalazł właściwą metodę postępowania z reżymem. Znów odwołam się do sytuacji w diecezji wrocławskiej. Ze względu na wspomniane nieuregulowane prawa własności, będąc u brata spałem na łóżku, siedziałem na fotelu i oglądałem telewizję, wszystko z pieczętkami komornika. Ponadto brat otrzymywał wezwania do płacenia podatków w kwocie znacznie przewyższającej jego dochody. Oczywiście nie płacił. Nie zdarzyło się jednak aby zabrakło mi łóżka do spania. Opieczętowanego dobytku komornicy nie rekwirowali. Sytuacja jednak denerwująca i tamtejsi księża mieli ogromny żal do swoich przełożonych, w szczególności do Prymasa, iż tak podstawowe sprawy nie zostają uregulowane. W rozmowach z pracownikami wydziału czwartego (powołanego w 1962 roku, do walki z kościołem) chcieliby móc powołać się na obowiązujące ich przepisy. Nic takiego nie mieli. Miewali natomiast w parafiach wizyty pań, które systematycznie zdawały swoim przełożonym relacje z postępowania księży. Otóż Prymas obowiązek walki z władzą rozrzucił na cały kler. Księża musieli indywidualnie prowadzić grę z władzą cywilną. Z zarządzeniem władz kościelnych władza mogła wygrać. Wygrana z konkretnym proboszczem czy biskupem (np. biskupem Kaczmarkiem, ordynariuszem diecezji kieleckiej) była tylko zwycięstwem lokalnym. Musiał jednak Prymas mieć organ, który zda mu relacje z tego co rzeczywiście dzieje się w terenie. Wykształcone, głęboko wierzące samotne kobiety, zorganizowane w szóstki, doskonale

¹⁶ Niewątpliwie wartościowe elementy wychowawcze mogą też wносить ruchy laickie, dalekie od religijności. Nie ulega jednak wątpliwości, że za obecną demoralizację, agresję i brutalność młodego pokolenia w dużej mierze odpowiadają środki masowego przekazu pozostające pod wpływami różnych wyznawców współczesnej laicyzacji propagowanej pod hasłem „poprawności politycznej”. Skutecznie niszczy się stare wartości w zamian nie dając nowych.

¹⁷ Hierarchów Kościoła którzy w burzliwych momentach nie szli z narodem, pobożny lud nie wahał się lokować na latarniach.

te role spełniły. Nietrudno domyślać się, że księży owej „policji Prymasa” szczerze nienawidzili¹⁸. Z tego zresztą powodu od Prymasa odsunęło się nawet paru Jego bliskich znajomych. Czas pokazał, że było to pociągnięcie genialne. Ciekawe, ale kiedy ostatnio pytałem brata o ten okres, a zwłaszcza o pretensje księży do ówczesnego zwierzchnika, zupełnie ich nie pamiętał. Sądzę, że był szczery. Były to bowiem odczucia chwilowe, które pamięć zupełnie wyeliminowała, zwłaszcza gdy okazało się, że były to pociągnięcia skuteczne. Prymas używał wielu dostępnych sobie środków.

Inny przykład. Późny wieczór, jesteśmy w Pieszcach na imieninach księdza Mrówki (pochodzącego również z Łącka), przewodniczącego Księży Patriotów. Nagle łomotanie do drzwi. Ze stołu znika butelka koniaku, a w drzwiach miast spodziewanych przedstawicieli UB specjalny posłaniec z życzeniami dla solenizanta od Księdza Prymasa. Kilkanaście miesięcy później, kiedy zmienił się klimat polityczny, ksiądz Mrówka znalazł się na indeksie. Inne już były możliwości i potrzeby, tę kartę można było zaniechać. Skuteczne rządzenie często wymaga elastyczności i pewnej bezwzględności.

Drastycznie malejący autorytet Kościoła po uzyskaniu wolności niektórych zaskakuje. W mojej opinii jest to naturalna konsekwencja sytuacji z okresu socjalizmu realnego oraz poziomu aktualnego kierownictwie Kościoła. W okresie socjalizmu realnego Kościół reprezentował opozycję wobec nielubianej władzy i z tej racji cieszył się sympatią znacznej części społeczeństwa. Jej uzyskanie nie wymagało żadnego wysiłku intelektualnego. Wystarczyło, że istniał. Na dodatek miał wspaniałych przywódców (Wyszyński, Wojtyła), podczas gdy obecni sterujący Kościołem nierzadko budzą uczucie zażenowania. W minionym okresie Kościół w kręgach władzy, pomimo oficjalnie prowadzonej z nim walki, zawsze posiadał zwolenników. Tezę tę postaram się uzasadnić na bazie moich postrzeżeń dotyczących życia kościoła na szczeblach podstawowych, do których miałem dostęp. Spotkałem się z tym na przykład załatwiając materiały budowlane na remonty, które realizował brat. Załatwiający dostojnik informował zaufanego dysponenta iż to jest materiał na remont kościoła i trzeba załatwić. Nigdy nie oczekiwano ode mnie rewanżu. Wystarczała świadomość, że robią to dla Kościoła. Często natomiast korzyści starali się uzyskiwać pośrednicy, pewnie stali uczestnicy niedzielnych mszy. Pamiętam na przykład, że załatwiając blachę, należało mieć podania podstawionych gospodarzy. Poinformowany kierownik składu we Wrocławiu, aby podania te zrealizować, zażądał dostawy powiększonej dwukrotnie. On również miał pilne potrzeby. Całkiem humorystyczny moment związany był z materiałami na ogrzewanie centralne kościoła w Cermnej. Z prośbą o załatwienie materiałów zwróciłem się do naczelnika Romana Wersołowskiego w Ministerstwie Przemysłu Ciężkiego. Znajomy mój tak bardzo przejął się sprawą, że załatwił wybrakowane rury, które służyły do produkcji luf karabinowych. Podobno miał to być materiał niezwykle trwały. Dostawa dotarła do Wrocławia. Cena rur przewyższała możliwości finansowe parafii. Brat z zakupu musiał zrezygnować. Oczywiście później załatwiłem rury standardowe.

¹⁸ Pamiętam, że w Kudowej pojawienie się na kazaniu wykształconej samotnej kobiety budziło alarm, może to przedstawicielka cywilnego zakonu Prymasa. Kiedy czasami słyszymy dzisiaj nieodpowiedzialne bajdurzenia księży, marzy się taka kontrola i rygorystyczny zwierzchnik.

Można wnosić, że podobne reguły działały w większości parafii. Księża we władzach znajdowali życzliwych im ludzi. Po zmianach ustrojowych istniejące kontakty zostały wzmocnione. Tym razem cywile potrzebowali poparcia księży aby utrzymać się u władzy. Również opozycjoniści nagminnie powoływali się na Kościół. Wystarczy wspomnieć sejmowe przemówienia wielu ówczesnych parlamentarzystów. Z drugiej strony dawni komuniści zebrani w SLD, świadomi krzywd i szkód materialnych jakie w okresie powojennym doznał Kościół, powołali Komisję Majątkową, która miała zadbać o naprawienie krzywd. Komisja ta działała w chaosie, bez kontroli, niekiedy przyznawała więcej niż poszkodowani żądali, co oczywiście zwiększało apetyty. Co gorsza, w paru przypadkach przedstawiciele Kościoła skorzystali z usług dawnych gorliwych ubeków, a uzyskane dobra odsprzedawali wskazanym kontrahentom. Zнали się z czasów poprzednich.

Niestety w Kościele zabrakło odpowiedniej osoby, który zawołałby głosem wielkim: nie idziemy na tego typu układy, nie odbieramy budynków służącym użytkowi publicznemu (na przykład tych w których są zlokalizowane szpitale czy szkoły), utrzymujemy dystans do rozgrywek politycznych. Brakło zmysłu politycznego i energii kardynała Wyszyńskiego oraz kontroli Jego „policji”. Nie można wyrządzonych krzywd naprawiać kosztem krzywd nowych. Niewątpliwie słuszne odszkodowania dla Kościoła można było rozłożyć w czasie i realizować tak, aby nie stwarzały trudności w funkcjonowaniu usług społecznych, czy rodziły nowych pokrzywdzonych (np. problem wybudowanego przez nowohucki kombinat osiedla w Luboczy na ziemi siostr Norbetanek).

Są też aspekty poważniejsze. Grup mogących zgłaszać roszczenia materialne jest wiele: wysiedleni po wojnie Niemcy, rodziny wymordowanych Żydów, inne wyznania. Światowa akcja obciążająca Polaków za współudział w mordowaniu Żydów (zob. polskie obozy zagłady, nagłośnianie wypadków typu Jedwabne) robiona jest w konkretnym celu. Niemcy szkody wypłacili, z Polski jeszcze można coś uzyskać. Precedens odszkodowań został stworzony. Odpowiedzialnej wizji politycznej nie miały ani nowe władze, ani ludzie Kościoła. Co więcej, zmieniające się władze nie potrafiły nawet zredukować przywilejów emerytalnych reprezentantów starego reżymu. Powszechne jest uczucie oszukania. O odszkodowania zaczynają się ubiegać więzieni przez reżym bohaterowie nowych czasów. Wszystko płaci rabowany podatnik. Wciąż aktualne są słowa Sienkiewicza włożone w usta Bogusława Radziwiłła iż Rzeczypospolita Polska to kawał czerwonego sukna, który z pomocą jej obywateli rozdzierają różni spryciarze.

Kościół nie powinien dopuścić do tego aby symbol krzyża był używany w rozróżkach politycznych. Jego przedstawiciele winni byli zachować umiar w wypowiedziach czy powielaniu niepotwierdzonych teorii spiskowych (Kościół jest zbiorem ludzi o różnych sympatiach politycznych, wszyscy powinni się tu czuć dobrze). Błędy popełnione pozostaną w pamięci, zwłaszcza tych którzy chcą w Kościół uderzać. No cóż, po Wyszyńskim i Wojtyłe mamy pokolenie Michalika, Kowalczyka, Paetza czy Głodzia. Limit wielkich chwilowo został wyczerpany. Gorzej, mentalność znacznej części kleru zatrzymała się na etapie, w którym utraciliśmy wolność. Świat się zmienił, księża tych zmian często nie są w stanie dostrzec. Na domiar złego pojawiło się pokolenie młodych księży, którzy mają wszystkie wynaturzenia ich cywilnych rówie-

śników, a w szczególności konsumpcyjny stosunek do życia. Procesy biegną zwykle sinusoidalnie. Po burzy która huczy obecnie nad Kościołem, będziemy – w co mocno wierze – świadkami odbudowy Jego autorytetu. Wcześniej jednak musi uwolnić się od nieprawidłowości. To nasz wspólny interes. Kościół w naszej cywilizacji reprezentuje zbyt ważne wartości abyśmy bezkarnie mogli pozwolić sobie na ich utratę.

Chociaż autorytet to sprawa poważna, zakończmy te rozważania lżejszym akcentem. Podczas pobytu we Florencji wpadłem do Polski, interesy wymagały wyjazdu do Gdańska. Żartując zapytałem czteroletniej córki czy ze mną pojedzie. Kiedy wychodziłem na nocny pociąg opatulone zimowym płaszczkiem dziecko stało pod drzwiami. Musiałem je zabrać. W Gdańsku miałem chwilę wolnego czasu, postanowiłem odwiedzić pracującego na Politechnice profesora Bessalę. Profesora nie było. Sekretarka słysząc Florencja, pomyliła mnie niewątpliwie z inną osobą prosząc abym zamieścił wpis w księdze pamiątkowej osobistości wybitnych, które odwiedziły ich uczelnię. Próba wyjaśnienia nie dawała rezultatu. W pewnym momencie zostałem przywołany do porządku przez córkę „*tatusiu, brzydko odmawiać*”. Zamieściłem więc wpis pocieszając się, że wymuszone kłamstwo podniesie mój autorytet u dziecka. Może warto¹⁹. Istotnie, po wyjściu córka stwierdziła ponownie „*to tatuś jest wybitny*”. Ano, potwierdziłem ochoczo. Dziecko dumało dalej i w końcu podsumowało „*tatusiu, wybitny to znaczy taki co to ciągle go nie ma, a jak już jest to zawsze się spóźnia*”. Tak podsumowana wybitność pomogła mi pogodzić się z faktem iż cechy tej nie udało mi się osiągnąć.

12. Pułapki

Wielu z nas w warunkach socjalizmu realnego żyło pół legalnie. Oficjalnie władza walczyła z Kościołem, a większość społeczeństwa, w tym również część aparatu partyjnego, nie opuszczała niedzielnych mszy. Pensje były niskie, a ludzie często wydawali więcej niż zarabiali. Gdzie tkwi tajemnica. Otóż istniała szara strefa usług i produkcji. Kwitł nielegalny handel, w szczególności produkcji żywnościowej towarów reglamentowanych, na przykład mięsa (w pewnym okresie ubój własny był zakazany), towarów wyprawdzanych nielegalnie z zakładów produkcyjnych czy też pochodzących z przemytu. Część pracowników państwowych wynosiła dobra ze swoich zakładów pracy (byliby raczej zdumieni gdyby nazwać to złodziejstwem). Pamiętam, że kiedy pomagałem pod blokiem naprawiać samochód swojemu koledze, podszedł sąsiad i nawiązała się rozmowa. Kiedy dowiedział się, że pracujemy na uczelni, spojrzał na nas z politowaniem stwierdzając „*no to macie do d..., co wy z tamtąd możecie wynieść*”. Sam pracował w Zakładach Naprawczych w Nowej Hucie i jak stwierdził „*też nie mam wspaniale, ale zawsze trochę narzędzi da się opylić i do końca miesiąca można dociągnąć*”. Kiedy zacząłem dłuższe staże we Włoszech ze zdumieniem zauważyłem, że pomimo wysokiej przestępczości w tym kraju, typowo Włoch był uczciwszy od typowego Polaka. Wytłumaczyłem to sobie faktem, że na pewien rodzaj okradania

¹⁹ Z wszystkich pań mojej rodziny bezwarunkowy autorytet miałem tylko u Nuki – owczarka niemieckiego (wilczura) rodzaju żeńskiego.

państwa w Polsce socjalistycznej istniało przyzwolenie społeczne²⁰. To nas demoralizowało. Dobrze określa to popularna charakterystyka Polaka epoki socjalizmu realnego: „co innego myśli, co innego mówi, a co innego robi”.

Dość poważnych rozważań. Opiszmy raczej parę zdarzeń, które dobrze oddają warunki ówczesnego życia i możliwości wpadek. Mój przyjaciel Tomasz, również pracownik naukowy AGH, aby podreperować nasz budżet namówił mnie na handlową wyprawę do Jugosławii po złote łańcuszki. Załatwił stosowne zaproszenia i zezwolenia. Aby udać się po bilety umówiliśmy się w klubie AGH. Kiedy czekałem na niego, do klubu wszedł znajomy towarzysz partyjny i mimochodem rzucił do mnie uwagę „słyszałem, że wybierasz się do Jugosławii”. Niestety, mój przyjaciel nie należał do dyskretnych. Kiedy po chwili nadszedł, decyzje już podjąłem i oświadczyłem, że z wyjazdu muszę zrezygnować. Kolega pojechał. Po powrocie próbowałem dowiedzieć się jak poszedł mu interes, nie uzyskałem jednak żadnej informacji. Kilkanaście miesięcy później dotarła do mnie wiadomość, że mój przyjaciel, człowiek z kręgów kardynała Wojtyły (Kardynał dawał mu ślub, chrzczył dzieci), zdecydowany antykomunista, szeptuje grupie ORMO w podkrakowskim Zabierzowie. Można domyślać się, że stosowne służby czekały na przejściu granicznym, a kiedy okazało się, że jako wywiadowca nie przedstawia wartości, wykorzystano go aby swoim doktoratem podnosił znaczenie wiejskiej placówki ORMO. Myślę, że był to też jeden z powodów, dla których niedługo później wyprowadził się z Krakowa. Ja mogłem tylko składać dzięki mojemu Aniołowi Stróżowi, który w odpowiednim momencie podsunął mi słuszną decyzję. Pomimo zmiany miejscowości w dalszym ciągu utrzymywaliśmy kontakt, a wymienione domysły podniosły tylko moją sympatię dla niego. Umiał z trudnej sytuacji wybrnąć kosztem swojego autorytetu nie robiąc nikomu krzywdy.

Kontakty na granicy z pracownikami UB nie ominęły mnie również. Przebywałem na rocznym pobycie jako visiting profesor w Uniwersytecie we Florencji. Rodzina była w Krakowie. Systematycznie starałem się ją odwiedzać, przy okazji dowożąc zaopatrzenie. Były już loty na linii Kraków – Rzym, zatem połączenie wygodne. Z Krakowa za granice samoloty wylatywały tylko w niektóre dni tygodnia i to nieliczne (dwa lub trzy). Służby graniczne, aby uzasadnić swoją obecność, a pewno i zwalczyć nudę, odprawy robiły bardzo starannie. Kiedy stałem w długiej kolejce podszedł do mnie cywilny osobnik a otrzymawszy potwierdzenie iż noszę moje nazwisko, zabrał mnie do osobnego pomieszczenia. Dokładna kontrola wykazała, że mam zbyt dużo dóbr. Część spisu była całkiem humorystyczna, przekroczyłem np. limit długopisów, kawy, kakao oraz innych deficytowych produktów. Było to zaopatrzenie dla rodziny oraz nieco prezentów. Sklepy w kraju były wówczas zupełnie puste. Z rzeczy rzeczywiście handlowych kontrolujący znalazł tylko korale. Miałem również nieoprawione kamee, na których wartości nie poznał się. W przypadku jednak zarekwirowania bagażu, sprawa mogła się wydać. Chociaż nie wyglądało to groźnie, pan sporządził rygorystyczny protokół i zapowiedział sprawę sądową, problemy w pracy, możliwość zwolnienia. Więcej było straszenia, nie ulegało jednak wątpliwo-

²⁰ W wolnej Polsce zniknęło przyzwolenie na okradanie, zrodziła się natomiast możliwość rabunku państwa.

ści, ze odbiorą mi paszport i dalszego pobytu za granicą nie będę mógł kontynuować. Powiedziałem więc, że świadomy jestem nieprzyjemności, które może mi stworzyć, ale chyba sam widzi, że nie jestem przestępcą, nie prowadzę handlu hurtowego, widać że jest to zaopatrzenie dla rodziny. Moglibyśmy się zatem jakoś dogadać. Reakcja była błyskawiczna „zgoda, za godzinę jestem u pana”. Wyprowadził mnie służbowym przejściem. Już w taksówce skontrolowałem swoje dokumenty aby upewnić się, że nigdzie nie figurował mój adres. Było jasne, że czekał na mnie dobrze poinformowany ubek.

Przyjechałem do domu, powiedziałem żonie, że za chwile odwiedzi nas pracownik UB. Przygotowałem też dość pokaźną kwotę oraz butelkę koniaku. Za parę minut dzwonek i mój kontroler. Butelkę wypróżnił do dna. Pieniądze schował, zażądał też kamei (nie wiedział co to jest, chciał widocznie skontrolować). Bez przerwy opowiadał negatywne dowcipy na temat kościoła i księży. Próbowiałem zrozumieć z jakiego powodu na mnie czekał, dlatego też szczerze uzupełniałem mu kieliszek. Bezskutecznie. O północy zdenerwowana żona wyrzuciła go z domu. Przyznam, że mi zaimponowała. Ja się bałem. Stwierdził, że interesów robić nie umiem. On mnie nauczył. Według niego należało sprowadzać różane różańce. Dał mi też telefon pod hasłem „Kacper”. Miałem go informować o przylotach, a on obiecał przeprowadzić mnie służbowym przejściem bez żadnej odprawy, a następnie pomóc w sprzedaży towaru. To jednak niczego nie wyjaśniało. Oczywiście nigdy nie zadzwoniłem. Bojąc się spotkać go na lotnisku, wracając do Włoch pojechałem nocnym pociągiem do Warszawy, tam wsiadłem w samolot, który w drodze do Rzymu miał międzylądowanie w Krakowie. Aby zdążyć na wylatujący rano samolot z Warszawy do Rzymu, tłukłem się pociągiem całą noc. Również następne podróże odbywałem via Warszawa z międzylądowaniem w Krakowie. Jest to miara lęku jakie służby bezpieczeństwa budziły, przynajmniej u mnie. Z perspektywy czasu jestem przekonany, że była to ostrożność zbędna. Służby bezpieczeństwa nie były tak doskonale zorganizowane.

Prawdopodobne wyjaśnienie zagadki odgadłem znacznie później. Otóż mój przyjaciel Piotr Rusek wciągnął mnie do PZKS (Polski Związek Katolicko Społeczny). Organizacja ta miała nawet swoich posłów, a szefował jej poseł Zabłocki. Pierwsze podejrzane zdarzenie związane z tą organizacją miało miejsce w początkowym okresie stanu wojennego. Pan Zabłocki w bogatym pałacyku pod Warszawą (własność firmy PZKS-u Libella) zorganizował spotkanie aktywu. Z Krakowa wytypowano Pana Gędlka (narodowca, partyzanta, długoletniego więźnia okresu powojennego) oraz mnie. Otrzymaliśmy glejt na przejazd, wówczas gdy nawet towarzysze partyjni mieli problemy z przemieszczaniem się (sic!). Byliśmy właściwie sami w zwykle przepełnionych pociągach. Samo spotkanie było interesujące, dyskusja ciekawa, orientacja polityczna związku wyraźnie ukierunkowana na tradycje narodowościowe i kontynuowanie idei Dmowskiego. Bogactwo pomieszczeń, zaopatrzenie stołu oraz zezwolenie na to spotkanie w okresie ostrego stanu wojennego trąciło jednak kolaboracją z rządem, co wzbudziło mój niepokój. Była to moja pierwsza podróż w stanie wojennym. Na ulicach nocną porą zarówno w Krakowie jak i w Warszawie poza licznymi patrolami nie spotkaliśmy nikogo. Miłe i ciekawe było natomiast bliższe poznanie pana Gędlka, który okazał się osobą interesującą, a ponadto dobrym znajomym cioci i teściów (po

przemianach przez parę lat szefował ruchowi narodowemu w Krakowie). Pan Gędłek również przekonywał mnie abym dał sobie spokój z działalnością polityczną a kontynuował pracę naukową. Tak też zrobiłem, ale formalnie członkiem PZKS jeszcze jakiś czas byłem. Parę miesięcy po moim spotkaniu z Kacprem, we wszystkich wojewódzkich organach PZKS wymieniono władze. Niewątpliwie był w tym pazurek służb bezpieczeństwa, które szukały przywódców bardziej spinegliwych, najlepiej umoczonych w jakieś afery. W Krakowie szefem PZKS-u w miejsce starego narodowca pana Żychowicza, został mój rówieśnik dr Artur, również pracujący na AGH. Zawsze kuśilo mnie aby zapytać na czym go przyskrzyniono, jednak jakoś tego pytania nie mogłem wydusić. Mogło być kłopotliwe. Podejrzewam, że zmianą władz PZKS-u w Krakowie z ramienia służb bezpieczeństwa opiekował się pan Kacper. Być może była to dla mnie okazja „zaistnienia w polityce”. Skłócony wewnętrznie związek nie odegrał jednak w dalszych przemianach żadnej roli. Ta, w gruncie rzeczy nieistotna afera, dobrze pokazuje powiązania sił politycznych z milicyjnymi oraz ich metody działania. Można wnosić, że podobnie Urząd Bezpieczeństwa działał w innych strukturach opozycji.

Inny, chociaż również pouczający przykład działalności struktur reżymowych, to przykład związany z wielokrotnie wspominanym tutaj panem Bierskim. Był człowiekiem poważnym, twardym, cieszącym się ogólnym szacunkiem. Działalności politycznej zdecydowanie unikał. Postawiony po raz pierwszy wniosek o profesurę upadł w Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej. Na fali zmian spowodowanych powstaniem Solidarności wypłynął w kręgu pracowników Instytutu Matematyki ponownie pomysł aby wystąpić o jego profesurę. Zainteresowani koledzy zwrócili się do mnie (był to jeden z powodów, dla których przedłużyłem przynależność do ZNP). Jako przewodniczący oddziałowego ZNP przy poparciu pozostałych organizacji (nowopowstałej Solidarności i jeszcze istniejącej PZPR) przekonałem rektora Neya (późniejszego ministra oraz członka Biura Politycznego) aby inicjatywę poparł. Przeprowadziłem też rozmowy z członkami Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej (prof. Olechem, prof. Lasotą, prof. Ciesielskim). Sprawa została załatwiona pozytywnie po czym nominacja zniknęła. Po kilku miesiącach obiecano prof. Bierskiemu dać nominację pod warunkiem, że zostanie przewodniczącym uczelnianego Związku Nauczycielstwa Polskiego (związek zajął wówczas pozycje prorządowe). Bierki który w politykę nie angażował się, propozycję przyjął. W momencie wybuchu stanu wojennego w siedzibie Solidarności na liście pracowników AGH, którzy mieli być zlikwidowane przez opozycję, Bierski znalazł się na jednym z pierwszych miejsc. Listy te były sporządzone przez służby bezpieczeństwa, a chodziło o to aby były na niej też osoby cieszące się zaufaniem środowiska, nie prowadzące działalności politycznej. Listy takie zostały „odnalezione” w momencie wybuchu stanu wojennego w wielu zakładach. Prowokacja była zbyt gruboskórna, dlatego też reżym wycofał się z niej natychmiast.

Wypada rozważenia te zakończyć elementem bardziej rozrywkowym. Pierwsze dni stany wojennego. Jestem u sąsiada i przyjaciela Romana Ciury, pełniącego wówczas funkcje dyrektora Izby Skarbowej w Krakowie. Z wizytą do Romana wpadł zdruzgotany przedstawiciel znanej krakowskiej rodziny, mocno zaangażowany w działalność opozycyjną, prof. Vetulani. Rozpacz jego brała się stąd iż nie został zakwalifikowany

do internowania. Kiedy niepokieszony wyszedł, długo i z ogromnym zdziwieniem spoglądaliśmy na siebie z Romkiem. Za kilka dni Roman poprzez swoich kolegów (prawników związanych z policją) dowiedział się powodu. Otóż listę sporządzał oficer, były student Profesora. Wspominał go tak dobrze, że wykreślił jego nazwisko. Czas pokazał, że nasze zdumienie było nieuzasadnione. Jak świadczy niedawne oświadczenie przywódcy jednej z najważniejszych obecnie partii w uczuciach tych nie był odosobniony. Pobyt w więzieniu w późniejszych rozgrywkach był argumentem bardzo wartościowym, a wdzięczny student oddał panu profesorowi niedźwiedź przysługę.

13. Nienaukowa strona naukowych wyjazdów

Międzynarodowy Kongres Matematyków (*International Congress of Mathematicians*) – to największa na świecie konferencja poświęcona matematyce organizowana co cztery lata przez Międzynarodową Unię Matematyczną. Podczas ceremonii otwarcia wręczane są Medale Fields²¹. W 1978 roku kongres odbywał się w Helsinkach. Ponieważ Polska ubiegała się o organizację następnego kongresu postanowiono do Helsinek wysłać wyjątkowo dużą reprezentację. Aby wyjazd zorganizować atrakcyjnie i w dostępnych kosztach ekonomicznych Polskie Towarzystwo Matematyczne wynajęło statek Mazowsze, który normalnie wykorzystywany był na rejsy turystyczne do krajów skandynawskich, na Wyspy Kanaryjskie czy też w rejon Morza Śródziemnego. Wśród uczestników znalazłem się również ja. Na statku dostałem groźnego zakażenia. Młody lekarz pokładowy wystraszony, że nie przeżyje, wiele czasu spędzał w mojej kabinie. Zabawiając mnie rozmową uronił kilka ciekawych informacji. Na przykład, za uzyskanie możliwości pracy na tym rejsie zapłacił swoje trzykrotne wynagrodzenie. Tajemnica ceny wynikała z faktu, że najpierw zawijaliśmy do portu w Helsinkach, później do ZSRR. W normalnych rejsach najpierw odwiedzano ZSRR, później kraje skandynawskie. Na tamte rejsy etat lekarza dostawało się bez opłaty. Informacja ta zaintrygowała mnie bardzo. Kiedy dobiliśmy do portu w Helsinkach, na molo czekał samochód, którym jeszcze przed odprawą celno-paszportową zabrano mnie do lekarza. Dbający o mój stan zdrowia lekarz dopilnował aby przeniesiono mnie na noszach, pomimo moich zdecydowanych protestów. Kiedy wizytowany lekarz stwierdził, że niebezpieczeństwo minęło, lekarz pokładowy z samochodem zniknął zanim wyszedłem z gabinetu. Zostałem bez dokumentów i pieniędzy w peryferyjnej dzielnicy Helsinek. Spacer powrotny zajął mi parę godzin. Zagadki gdzie i co pan doktor wyniósł ze statku nie rozwiązałem.

Na otwarciu konferencji podszedł do mnie prof. Olech i poprosił abym na cały okres pobytu w Helsinkach pozostał do jego dyspozycji. Z Warszawy przyleciał samo-

²¹ Zajęty wdrażaniem swoich wynalazków (między innymi dynamitu) i robieniem pieniędzy szwedzki naukowiec Artur Nobel nie upilnował kandydatki na żonę, która wdała się w romans z matematykiem. Rozgoryczony postanowił społeczność z której wywodził się uwodźciel ukarać. Ufundował więc nagrodę która wykluczyła matematyków. Ci ostatni, nie mający zazwyczaj wielkiego wzięcia u dam, doceniając sukces swego kolegi, nakładem kanadyjskiego matematyka J.C. Fieldsa w 1932 roku ustanowili nagrodę Medal Fields, która w ich dziedzinie ma zastępować Nobla. Zważywszy, że sukcesy u dam zdarzają się raczej w młodym wieku, dorzucili warunek iż nagrodę tę można otrzymać przed 40 rokiem życia.

lotem. Jako wiceprzewodniczący Międzynarodowej Unii Matematycznej i organizator następnego kongresu był człowiekiem rozrywany. Interesanci proponowali mu wspólne wyjście do restauracji aby w przytulnej atmosferze załatwić swoje interesy, zasugerować na przykład kandydatów na wykłady plenarne następnego zjazdu, czy też sekcje, które powinno się zorganizować na następnej konferencji. W ówczesnym układzie cen Jego dyrektorska (polska) pensja mogła pokryć co najwyżej jedno wyjście do restauracji. Zwyczaj zachodni jak również honor wymagał aby za siebie płacić. Profesor rozwiązał to w ten sposób iż twierdził, że jest już umówiony. Tym szczęśliwcem byłem ciągle ja. Razem szliśmy na nasz statek gdzie Profesor spożywał posiłki. Oczywiście w messie Profesor zasiadał w towarzystwie generalicji, ja wśród pospólstwa. W pierwszych dniach na kongresie zrobiło się wokół mnie ciasno. Któż to jest ta ważna postać?. Próbowano zagadywać do mnie wiele osób. Szybko jednak powiało chłodem i niechętnymi spojrzzeniami. Dla ludzi Zachodu nie było wątpliwości, że jestem agentem służb wysłanym aby Profesora pilnować.

Przed opuszczeniem Helsinek wraz z kolegą zaglądnęliśmy do tamtejszego dużego magazynu. Przy sąsiedniej kasie nasz lekarz pokładowy zakupił kilkaset plastikowych reklamówek. Płacącemu już w kasie Zdziskowi (późniejszemu profesorowi AGH) szepnąłem aby za resztę dewiz nabył reklamówki. Usłuchał. Podobnie zrobiłem ja. Po wyjściu ze sklepu Zdzisek zapytał po co kupiliśmy te torby. Zgodnie z prawdą odpowiedziałem, że nie wiem ale nasz lekarz kupował. Zdziska argument przekonał. Sądził, że jest to towar do Polski. Kiedy w Rydze wyszliśmy na ląd po paru krokach podszedł do nas ciemnowłosy typ z zapytaniem czy mamy dla niego towar. Okazało się, że bierze też wspomniane reklamówki i płaci dolarami. Był to facet umówiony z naszą załogą. Po towar przyleciał z Gruzji. Na naszych torbach uzyskaliśmy przeliczenie 43 (za jeden dolar wydany w Helsinkach otrzymaliśmy 43 dolary). Był to najwyższy zarobek jaki udało mi się uzyskać w mojej karierze handlowca. Znajomy uczestnik na „papierowych wiatrówkach” (nie wiem jak wyglądały) uzyskał przelicznik 57.

I znów Włochy. Florencja. Przyjaciel Giulio Pianigiani po uzyskaniu tytułu profesora przeniósł się z Florencji do Udine gdzie został dyrektorem. Ponieważ mieliśmy wspólnie z nim oraz De Blasim rozpoczęte badania, próbował nas namówić abyśmy przyjechali do niego. Byliśmy jednak pochłonięci inną tematyką i nie chcieliśmy odrywać się od naszych studiów. W końcu przekonał nas dodatkowym argumentem. W Udine odbywała się konferencja Fizyki Matematycznej, która zgromadziła śmietankę naukową tej branży, w szczególności było czterech laureatów nagrody Nobla z fizyki oraz pięciu posiadaczy Medal Fields. Nie była to nasza dziedzina ale okazja zobaczenia tyłu sław przeważała.

Na miejscu okazało się, że na konferencji byli też matematycy z Wrocławia. Oczywiście nie znaleźliśmy się. Inna branża. Ja nie figurowałem w spisie uczestników. Zaintrygowani zaczęli zadawać mi elementarne pytania z matematyki. Egzamin ten trochę mnie rozłościł, bardziej rozbawił, udzielałem więc odpowiedzi w stylu „o co pan pyta, aha, o wiecie – rozumiecie, to bardzo ważne pojęcie. Na nim bazują fundamentalne wyniki”, a widząc ich podejrzliwe miny bredziłem jeszcze z większym zapałem. Wiedziałem, że wielu wrocławskich matematyków było mocno zaangażowanych w działal-

ność opozycyjną. Kiedy już nabrali pewności kim jestem, jeden z nich przestał się mną interesować, natomiast drugi koniecznie chciał mnie przekonać, że jest tu wyłącznie ze względów naukowych. Był namolny. Zagadywał mnie sam. W końcu zdenerwował mnie do tego stopnia, że zacząłem formalne przesłuchanie. Kiedy zmęczyłem się, polecałem mu przyjść następnego dnia. Przychodził. Jako policjant nie wykazałem się talentem, bowiem żadnej istotnej informacji nie uzyskałem. Warto dodać, że tematyki naukowej, która miała być zasadniczym podmiotem tego wyjazdu zupełnie nie poruszyliśmy.

Po powrocie do Polski miałem odczyt na seminarium Olecha w Akademii Nauk w Warszawie. W trakcie seminarium wszedł jeden ze pracowników PAN-u i poprosił aby po zakończonym wykładzie przyjść do gabinetu znanego profesora. Ponieważ była to opcja wrogo nastawiona do Olecha, sprawa wydała mi się dziwna. W gabinecie czekało mnie czterech uznanych autorytetów z matematyki. Okazało się, że maltretowany w Udine kolega po powrocie z Włoch był tak rozstrojony nerwowo, że wyładował w szpitalu. Był to największy ochrzan jaki w życiu dostałem. Na usprawiedliwienie nawet nie rzekłem, iż z własnej nieprzymuszonej woli przychodzili do mnie. Agentów wrocławscy koledzy stworzyli sami. Ja zaakceptowałem tylko proponowane zasady gry. Tu należy dorzucić, że pomimo stałych kontaktów z przedstawicielami władzy, o ile mi wiadomo, koledzy nigdy nie podejrzewali mnie o współpracę. Przypisywano mi raczej działalność opozycyjną, co było również przesadą. Z opozycją miałem raczej stały kontakt, jednakże systematycznie zaangażowanym działaczem nie zostałem. Nie wiem czy to efekt owego wydarzenia, ale jako matematyk we Wrocławiu nigdy nie byłem. Nie poproszono mnie też nigdy o żadną opinię czy recenzję, chociaż moja specjalność jest tam dość mocno reprezentowana.

Opisywany pobyt w Udine dostarczył jeszcze jednej zabawnej sytuacji. Otóż wśród uczestników konferencji była dorodna przedstawicielka Afryki, wciąż obracająca się w towarzystwie wielkich nazwisk. Moi koledzy, jak przystało na prawdziwych Włochów, nie omieszkali to komentować: „patrz niby noblista a babę podrywa”. Postanowiłem zrobić im kawał. Kiedy koledzy wybrali już restaurację na wieczorne spotkanie, przypomniałem sobie, że jestem zajęty. Portiera hotelu w którym mieszkała Afrykanka poprosił aby zorganizował mi z nią spotkanie. Gdy pani zeszła zaproponowałem wyjście na kolację tłumacząc, że interesuje mnie stan matematyki w Afryce. Niby przypadkiem chciałem zawędrować do restauracji gdzie ucztowali koledzy (Polak potrafi!). Odpowiedź zupełnie mnie zamurowała. Pani podziękowała i wyjaśniła, że ma dobrego męża zatem wyjść ze mną nie może. Podrywać przecież nie zamierzałem. Aby wybrnąć z głupiej sytuacji chwilę posiedzieliśmy przy herbacie w hotelowej kawiarni rozmawiając o edukacyjnych systemach w krajach Afrykańskich. Pamiętam, że myśląc o moich przyjaciółach pożerających smakołyki kuchni Friuli, podminowany głodem, bardzo negatywnie wypowiadałem się na temat reformy matematyki wprowadzonej w Polsce na wzór francuski (główna odpowiedzialna prof. Zofia Krygowska). Podstawową ideą tej reformy było zwiększenie zawartości abstrakcyjnej. Okazało się, że podobne reformy przeprowadzono w afrykańskiej strefie francuskojęzycznej. Owocem tej reformy w Polsce – w mojej opinii – było późniejsze wyrugowanie matematyki jako przedmiotu maturalnego. Program był zbyt

stresujący. Konsekwencje odczuwamy do chwili obecnej. Kiedy nazajutrz w przerwie coffee break czarna piękność podeszła aby się ze mną przywitać, moim włoskim kolegom wyraźnie opadły szczęki, a mnie niezadowolenie z powodu nieudanego wieczoru minęło. Dla tego momentu warto było znieść głód.

Niedługo później dostałem oficjalną informację o powołaniu do zespołu doradców przy Afrykańskim Towarzystwie Matematycznym. Było to dla mnie zupełnie niezrozumiałe. Jako matematyk liczącej się pozycji na forum światowym jeszcze nie miałem. Zupełnie nie skojarzyłem to z pobytem w Udine, tym bardziej, że uczestnikiem konferencji nie byłem, moje dane nie figurowały nigdzie. Kiedy zostałem zaproszony na posiedzenie towarzystwa, przy załatwianiu paszportu indagującemu mnie oficerowi nie potrafiłem rozsądnie wytłumaczyć skąd wziąłem się w tej instytucji (posiedzenie było w Ghanie). Oficer podsumował, że nasz kraj interesów tam nie ma i paszportu nie dostałem. Kiedy za kolejnym razem udało mi się w końcu uzyskać paszport, w wyniku przewrotu wojskowego na Wybrzeżu Kości Słoniowej (tym razem posiedzenie było w tym kraju) spotkanie zostało odwołane. W efekcie na żadne posiedzenie nie dotarłem. Kiedy już zakończył się mój mandat, na jednej z konferencji spotkałem ową panią. Okazało się, że pełniła poprzednio funkcję przewodniczącej Afrykańskiego Towarzystwa Matematycznego i ona wysunęła moją kandydaturę. Rozmawialiśmy krótko, nie zdążyłem zaspokoić ciekawości skąd wzięła moje dane. Nie wiem też czy „ekspertem do spraw Afryki” zostałem w wyniku ratującej sytuacji rozmowie o systemie edukacji, czy też błędnie zrozumianej propozycji. Więcej już nie spotkaliśmy się. Afrykę odwiedziłem później parokrotnie ale już jako przedstawiciel Włoch.

Bułgaria, Warna na Morzem Czarnym. Znajomy prof. Drumi Bajnow zorganizował konferencje z równań różniczkowych. Dotarłem późnym wieczorem w przeddzień otwarcia obrad. Chwilę po przyjeździe Drumi pojawił się w moim pokoju z propozycją abym rano wygłosił wykład inauguracyjny. Pomysł zwariowany. Uczestników było ponad trzy setki, co najmniej połowa posiadająca w tematyce konferencji znacznie bogatszą wiedzę niż ja. Okazało się iż nie dotarł ze Stanów Zjednoczonych prof. James Yorke, który ten wykład miał wygłosić. Ja pracowałem w podobnej problematyce. Drobiazg, prof. Yorke był uznanym autorytetem, ja całkowicie nieznanym. Stanowczo odmówiłem. Drumi rzucił wówczas ciężki argument „dostaniesz gażę Yorkea”. W żartach zaproponowałem „łącznie ze zwrotem kosztów podróży ze Stanów”. Kiedy Drumi potwierdził, załamałem się. Decyzje podjął siedzący we mnie centus krakowski. Cała noc przesiedziałem dumając co powiedzieć. Skandalu nie było. Uzyskaną tak niespodziewanie kwotę w całości przeznaczyłem na dalsze wyjazdy. Tutaj należy wyjaśnić, że na konferencje naukowe jeździłem już systematycznie. Mniej więcej jedną trzecią wyjazdów pokrywały mi instytucje, w jednej trzeciej miałem dofinansowanie częściowe, np. pokrywano mi bilety, jednak znaczną część wyjazdów finansowałem sobie w całości sam. Ratowałem się handlem. Ze względów formalnych musiałem mieć zaproszenie zawierające oświadczenia, że koszty wyjazdu pokrywa instytucja zapraszająca. Był to niezbędny warunek otrzymania paszportu. Miałem już łańcuszek wtajemniczonych zagranicznych przyjaciół, którzy stosownie sformułowane zaproszenia przysyłały mi. Rzecz nie była bagatelna. W przypadku zdarzeń losowych np.

choroby, mogli być zmuszeni do pokrycia wynikłych stąd kosztów. Wysyłając zaproszenia wykazywali dużo zaufania do mnie.

Trudno nie porównać to z dzisiejszymi adeptami nauki. Byliby chyba szczerze zdumieni gdyby udział w konferencji naukowej zaproponować im na własny koszt. Tak było nie tylko u nas. Część moich pobytów we Włoszech całkowicie pokrył ze swojej kieszeni prof. De Blasi. W późniejszych latach z racji pracy w komisji zatwierdzającej tytuł profesora przy ministerstwie szkolnictwa wyższego we Włoszech (odpowiednik polskiej Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej) dotarłem do mojej dokumentacji, ze zdumieniem odkryłem, że większość moich krótkich pobytów w tym kraju (średnio dwa w roku) były w całości pokrywane prywatnie przez moich włoskich współpracowników. Nigdy mi o tym nie mówili. Nie zdradziłem się też, że informacje tę zdobyłem. Byliśmy jeszcze pokoleniem, które badania naukowe traktowało jako powołanie.

14. Zawsze są dwa wyjścia

W początkach zmian ustrojowych uczestniczyłem z zapałem. Współuczestniczyłem w organizowaniu Solidarności na Uczelni. Z kolei należało zorganizować komórkę Solidarności w Instytucie. Byłem jednym z organizatorów zebrania, na którym mieliśmy podjąć stosowne decyzje. W przeddzień spotkania dostałem wiadomość, że Szczawy gdzie budowałem dom: zamiast na parceli wykiprowano mi dwa samochody piasku i żwiru na ruchliwą szosę Zabrzeż – Kraków. Milicja ogrodziła wysypisko i rozpoczęła poszukiwania odpowiedzialnego. Natychmiast pojechałem na budowę. Niestety miejscowe spychy były zajęte gdzie indziej. Materiał musieliśmy przerzucić łopatami. Zajęło to nam znaczną część nocy. Na zebranie nie dojechałem. Koledzy odebrali to jako tchórzostwo i zdradę. Ponieważ budowę domu trzymałem w tajemnicy, właściwej przyczyny nie mogłem podać. Świeżo wybrany przewodniczący naszego oddziału dr A. Malcharek co prawda nazajutrz przyniósł mi do wypełnienia ankietę ale równocześnie proponował abym pozostał chwilowo szefem ZNP i w ramach tej funkcji wraz z nim oraz sekretarzem POP PZPR, mgr Marią Szczepańską (członkiem Solidarności) pomógł w załatwieniu dość istotnych spraw dla Instytutu Matematyki. Chodziło o to aby były reprezentowane wszystkie ówczesne organizacje. W tym składzie byliśmy zgraną paczką. Tak więc do organizowanego w dużej mierze przeze mnie związku Solidarność w pierwszej chwili nie przystąpiłem.

Oczywiście moja postawa wywołała u niewtajemniczonych kolegów pewne zaskoczenie i oburzenie. Pretensje kolegów, a zwłaszcza fakt, że do zorganizowanego oddziału Solidarności wstąpili oprócz zaangażowanych ideologicznie pracowników właściwie wszyscy polityczni karierowicze o mętnej przeszłości, wyraźnie wyhamowały mój zapał. Z częścią tego towarzystwa nie chciałem mieć nic wspólnego. W gorących dyskusjach jakie prowadziliśmy przeważała opinia, że liczy się ilość uczestników, ona może wymusić zmiany. Być może zwolennicy tej teorii mieli rację, ja jednak jej nie zaakceptowałem i ponownie zacząłem wycofywać się na pozycję obserwatora. Myślę, że podobny mechanizm doprowadził do tego co dziś umownie nazywamy efektem „okrągłego stołu” (tzn. wejściem szeregu przedstawicieli starego reżymu w struktury

nowego porządku). Wyznam, że zmian które miały nastąpić, nie przewidzieliśmy. Co więcej, w obawie, że Solidarność lokalnie może zostać opanowana przez polityczne męty uważałem początkowo, że być może warto zachować również stary związek jako ewentualną przeciwwagę. Życie tych hipotez nie potwierdziło.

Wiele faktów utwierdzało mnie natomiast o słuszności podjętej decyzji wycofania się z lokalnej działalności. Drobne przykłady. Po zakończonym strajku okupacyjnym, pracownik Instytutu, który według mojej wiedzy niewątpliwie związany był ze służbami, twardogłowy działacz partyjny, jako jedyny został przez milicję ukarany mandatem. Widok kolegów składających się na pokrycie tego mandatu zdegrustował mnie całkowicie. Naiwność porażająca. Wiedziałem już, że kiedy zaczęły się rozruchy, jeden z bardziej wartościowych obrazów swojej kolekcji ukrył u swojego doktoranta. Wcześniej miałem informacje, że posiada obrazy pochodzące z rabunku likwidowanych po wojnie działaczy AK (w rodzinie miał prokuratora zajmującego się walką z Polską Podziemną). Wszystko to układało się w logiczną całość. Na tym etapie w Solidarności byli przeróżni ludzie. Tenże kolega, przez lata zwalczający wszelkie przejawy religijności, na prowadzone przez siebie seminaria wprowadził czytanie Pisma Świętego. To cudowne nawrócenie wzbudzało zachwyt niektórych pracowników. Osobiście mam duże trudności uwierzenia w takie przeobrażenia, zwłaszcza gdy pokrywają się z koniunkturą polityczną. Koledzy akceptowali taką sytuację kierując się zasadą, że wszystko jest dobre jeśli prowadzi do celu. Mnie to nie odpowiadało. Nie długo później ze związku ZNP również uciekłem, zbyt wyraźnie wypowiadał się za starym reżymem. Ponownie wybrałem swoją indywidualną drogę niezależnego obserwatora.

Wspólne akcje byłych zwolenników i przeciwników ustroju, chociaż rokujące większe nadzieje sukcesu, wyraźnie mnie odpychały. Zamiast angażować się w dalszą działalność społeczno-polityczną postanowiłem kontynuować badania naukowe za granicą. Na szczęście miałem taką alternatywę. Przed uzyskaniem paszportu poproszono mnie na rozmowę. Prowadzący sprawę oficer, absolwent Wydziału Wiertniczego AGH, miał do mnie sporo zastrzeżeń o działalność wywrotową oraz organizowanie Solidarności. Stwierdziłem spokojnie, że ma złe informacje, bowiem w żadnych strukturach nie działałem, w szczególności nie jestem członkiem Solidarności. Zaskoczyłem go. Poprosiłem aby zweryfikował swoje informacje. Kiedy spotkalismy się za tydzień przyznał, że był źle poinformowany. Wykazałem zrozumienie: „*naturalne, że ludzie próbują ich struktury wykorzystać do rozegrania swoich prywatnych interesów*”. To go rozbroiło, zobaczył też pewno możliwość kontaktu. Wyciągnął dwie opasłe teczki mówiąc, że są to raporty na mój temat i dodał „*nawet pan nie zgadnie jak bliskie otoczenie to pisze*”. Trzymając się zasady, że z ubekiem nie należy wchodzić w zbyt bliskie kontakty, nie wykazałem chęci poznania autora (autorów?) meldunków i nie znam go do dzisiaj. Paszport dostałem i wyjechałem na rok czasu do Florencji. Tak więc piasek i żwir wysypany na szosę w Szczawie wpłynął na moje decyzje i dalsze losy. Zaskakujące są związki przyczynowe w życiu.

Rok czasu spędziłem we Florencji jako visiting profesor. Naukowo był to okres bardzo owocny, wyrabiałem sobie pozycję w świecie matematyków włoskich. Z tego okresu pochodzi też opisana powyżej afera Kacper. Podczas mojej nieobecności zli-

kwidowano zakład, którego byłem kierownikiem. Niewątpliwie znajdująca się przy władzy opcja wiedziała, że parokrotnie proponowano mi funkcje kierownicze, jak też pracę w innych ośrodkach. Liczyła pewno, że stworzone trudności zmobilizują mnie do zmiany miejsca pracy i w ten sposób pozbędą się niewygodnego konkurenta.

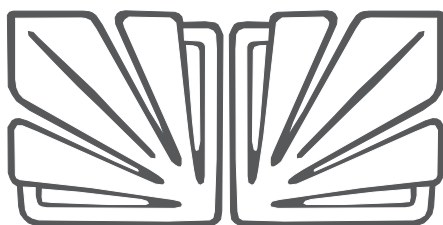
Po powrocie do kraju, z poczuciu obowiązku wobec członków zespołu, wybrałem się na rozmowę do urzędującego rektora AGH, aby wstrzymać wprowadzane zmiany. Rektor, prof. Antoni Kleczkowski, był człowiekiem porządnym ale w moim przypadku dał się nabrać argumentacji popartej gestami religijności byłych komunistów. Kiedy zorientowałem się, że Jego Magnificencja ma już opinie wyrobioną i wyraźnie nikłą wolę percepcji moich argumentów, zaakceptowałem jego oryginalną propozycję abym wszystkie swoje żale przelał na papier. Uprzejmie dopytałem się czy ręcznie, a jeśli drukiem to jaką czcionką, czy ważniejsze fakty podkreślić tłustym drukiem, w ilu egzemplarzach i jakiego formatu najlepiej przygotować stosowne pismo. Zadowolony, że udało mu się spławić interesanta, zachęcał mnie do obszernego opisu. Miałem wrażenie, że zupełnie nie chwyta mojego drwiącego humoru. Obaj byliśmy mocno zszokowani. Ja iż nie rozumie moich wyraźnych kpin, on, że tak naiwny człowiek został samodzielnym pracownikiem nauki. Mnie humor sytuacyjny zawsze bawił.

Oczywiście żadnych pism nie złożyłem. Znacznie gorsze wrażenie zrobiła jednak na mnie późniejsza rozmowa z panem rektorem (po około dwóch latach). Byłem już profesorem tytularnym we Włoszech. JM próbowała mnie nakłonić do powrotu, obiecując oddać mi we władanie Instytut Matematyki po uprzedniej reorganizacji według moich pomysłów i potrzeb, formułując przy tym mało realne obietnice. Argumentacja, że jestem jedyną gwarancją wyprowadzenia matematyki AGH na poziom światowy upewniła mnie, że należy pozostać we Włoszech²². Po prostu takiego potencjału nie posiadałem, a reorganizacje ad hoc zwykle powiększają tylko bałagan. Ponadto jako indywidualista nie miałem swojego zespołu ludzi, byłbym więc z góry skazany na niepowodzenie. We Włoszech byłem natomiast członkiem małego ale dobrze pracującego zespołu. To dawało większą możliwość naukowego sukcesu.

Chwilowo działałem na uczelni jako niezrzeszony pracownik bez określonego statusu i sprecyzowanych obowiązków. Jeden z dyrektorów Instytutu Matematyki w chwili szczerości był uprzejmy wyjaśnić mi, że muszę wstąpić do któregoś zakładu, bowiem negatywna opinia kierownika zakładu pozwoli podjąć względem mnie stosowne kroki. Oczywiście nie miałem zamiaru ułatwiać mu życia i pomimo, że parę życzliwych mi osób zapraszało mnie do swoich zespołów, trwałem na swoim indywidualnym stanowisku. Decyzja okazała się słuszna. Mój spokój i brak reakcji spowodował w końcu moich przełożonych do nerwowego zaatakowania mnie na szerszym forum co uświadomiło władzom rektorskim, że poparte przez nich decyzje nie były najśluszniesze. Prorektor prof. Stanisław Gorczyca poprosił mnie na rozmowę. Ja nie

²² Na usprawiedliwienie rektora należy wyjaśnić, że jego reakcja była wynikiem interwencji prof. Łojasiewicza (znanego matematyka), który będąc we Włoszech na posiedzeniu Akademii Papieskiej dowiedział się o mojej nominacji na profesora we Włoszech i próbował spowodować mój powrót do kraju. Niestety panowie użyli argumentów mocno przesadzonych, które mnie zachęciły do pozostania za granicą. Wiązanym ze mną nadziejom nie byłbym w stanie sprostać.

wyrażałem już żadnych opinii i skarg, natomiast on miał zdecydowanie negatywne zdanie o moich przełożonych, co pozwolił sobie zresztą wyrażać całkiem nieparlamentarnie. Na pretensje czemu wcześniej nie wyjaśniłem sytuacji, odwołałem się do rozmowy z rektorem naczelnym, a wyjaśnienie iż nie byłem w stanie dobrać właściwej tłustości druku, wprowadził rektora Gorczyce w wyraźne zakłopotanie. Stwierdziłem jednak, że żale i interwencja w obecnym stanie nie mają sensu, zwłaszcza, że stanowisko dyirekcji Instytutu Matematyki jest jednolite, a stosowne decyzje przez władze Uczelni zostały już podjęte. Lepszym rozwiązaniem wydawał się kolejny wyjazd za granicę. Problem polegał na tym, że wróciłem z rocznego stażu i zgodnie z obowiązującymi przepisami powinienem następne pięć lat pracować w kraju. Rektor Gorczyca obiecał rozpoznać sytuację. W następnym tygodniu pojechał do Ministerstwa i załatwił mi zezwolenie na ponowny wyjazd. Profesor Arrigo Cellina, który był dyrektorem studiów doktoranckich w Trieście, od paru lat zapraszał mnie do kierowanej przez siebie placówki. Potwierdził, że zaproszenie jest wciąż aktualne. I tak za zgodą władz opuściłem ojczyznę. Nie sądziłem wówczas, że mój pobyt za granicą przeciągnie się tak długo.



Wkład profesora Juliana Dybca w rozwój nauki i kultury (cz. 1)

Dzień 28 czerwca 2013 r. zapisany został w życiorysie profesora Juliana Dybca jako dzień szczególny. O godz. 17-tej w Librarii Collegium Maius¹ odbyło się uroczyste spotkanie z profesorem, połączone z wręczeniem Księgi Pamiątkowej. Ta doniosła uroczystość zgromadziła wielu znakomitych gości reprezentujących środowiska naukowe historyków, pedagogów, bibliologów i archiwistów z całego kraju. Ujmującą w treści laudację wygłosił prof. dr hab. Andrzej Banach, w której przedstawił Jego biografię i sylwetkę naukową podkreślając: „Profesor Julian Dybiec należy dzisiaj do grona wybitnych badaczy dziejów nauki i instytucji naukowych, kultury umysłowej w Polsce od schyłku XVIII stulecia do XX w., a także dziejów edukacji i historii regionalnej”². W dalszej części przemówienia przedstawiona została droga naukowa profesora poczynając od edukacji w Szkole Podstawowej w Łącku³, sądeckiej szkole średniej⁴, i w latach 1958–1963 na studiach na Wydziale Filozoficzno-Historycznym UJ w Krakowie. Pracę magisterską napisał pod kierunkiem profesora Henryka Barycza⁵, polihistora, znawcy dziejów kultury, nauki i oświaty, któremu również zawdzięcza znakomite przygotowanie do warsztatu naukowego. W roku 1964 dzięki życzliwości i poparciu prof. Henryka Barycza został zatrudniony w Archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego, a w roku następnym uzyskał zgodę władz uniwersyteckich na przeniesienie do Katedry Historii Oświaty i Nauki w charakterze asystenta, gdzie funkcję kierowniczą pełnił wówczas prof. Henryk Barycz. Odtąd całe dalsze życie prof. Juliana Dybca związane było z tym ośrodkiem, gdzie przeszedł wszystkie szczeble kariery naukowej od asystenta do profesora.

W dalszej części przemówienia prof. Banach podkreślił, że [...] „opublikowany drukiem dorobek naukowy prof. Juliana Dybca jest bardzo okazały i zróżnic-

¹ Collegium Maius – najstarszy budynek uniwersytecki w Polsce, którego zabytkowe wnętrza muzealne pełnią także funkcje reprezentacyjne. W murach Collegium odbywają się m. in. najważniejsze konferencje naukowe, posiedzenia Senatu UJ, przyjmowani są tu także wybitnymi goście, uczeni i politycy z całego świata.

² A. Banach, *Sylwetka naukowa profesora Juliana Dybca*, [w:] VIRTUTI ET INGENIO, Księga Pamiątkowa dedykowana profesorowi Julianowi Dybcowi, Kraków 2013, s. 9.

³ Lekcje historii w Szkole Podstawowej w Łącku w latach 1951–1954, prowadziła nauczycielka Jadwiga (Pasiud) Biernacka, która po latach wspominała o szerokich zainteresowaniach historycznych Julka Dybca, podkreślając zarazem, że ten niezwykle uczeń mobilizował ją do pogłębiania wiedzy, wykraczając zadawanymi pytaniami daleko poza program wytyczony w czasach stalinizmu przez władze oświatowe. (Wiadomość uzyskana przez autorkę od p. J. Biernackiej podczas rozmowy w 2006 r.) Tradycje propagowania wiedzy i czytelnictwa w rodzinie Dybców sięgają dwudziestolecia międzywojennego. Stryj profesora, Stanisław Dybiec, był niezmordowanym działaczem Towarzystwa Szkoły Ludowej – organizacji której zadaniem było m.in. szerzenie oświaty i kultury. Zob. F. Ćwikowski, *Z działalności TSL w Łącku „Głos Podhala”*, 1931, nr 32, s. 3.

⁴ W latach 1954–1958 uczęszczał J. Dybiec do Technikum Ekonomicznego w Nowym Sączu, gdzie lekcje historii prowadziła znakomita nauczycielka Eleonora Zdzańska, absolwentka Uniwersytetu Lwowskiego, uczennica prof. Stanisława Łempickiego.

⁵ Prof. Henryk Barycz, (1901–1994), Starosądeczanin, profesor UJ, wybitny historyk i archiwista, członek wielu organizacji naukowych m. in. PAU i PAN. Autor ponad 650 prac naukowych.

wany tematycznie. Obejmuje 261 pozycji bibliograficznych wśród których jest aż 9 obszernych monografii, wydawnictwa źródłowe, artykuły i rozprawy naukowe drukowane w krajowych i zagranicznych czasopismach naukowych, obszerne rozdziały jego pióra w monografiach Starego i Nowego Sącza, a także drukowane głosy z dyskusji na licznych konferencjach naukowych”⁶. Przedstawiając kolejne zasługi profesora Juliana Dybca oprócz pracy naukowej i dydaktycznej omówiony został także jego udział w pracach wielu towarzystw i rad naukowych m. in. członkostwo w Komitecie Nauki i Techniki PAN w Warszawie, w Polskim Towarzystwie Historycznym, w Komisji Historycznej PAN, w Komisji Nauk Pedagogicznych PAN, w Komisji Historii Nauki Polskiej PAU, w Radzie Naukowej Instytutu Historii Nauki PAN w Warszawie.

W dalszej części uroczystości listy gratulacyjne odczytali: prof. Jan Święch – dziekan Wydziału Historycznego UJ, a w imieniu dyrekcji Instytutu Historii dr hab. Stanisław Pijaj. W imieniu uczniów (studentów i doktorantów) za trud włożony przez profesora wyrazy podziękowania przekazała pracownica Instytutu Historii – Zakład Archiwistyki, Dydaktyki i Metod Kwantytatywnych – dr Maria Stinia.

Kulminacyjnym punktem uroczystości było wręczenie profesorowi Księgi Pamiątkowej zatytułowanej VIRTUTI ET INGENIO. To znakomite dzieło powstało pod redakcją prof. Andrzeja Banacha, gdzie zostały opublikowane prace naukowe ponad 40 autorów – pracowników naukowych z różnych uczelni w kraju. Zróżnicowany zakres tematyczny publikacji doskonale odzwierciedla rozległe spektrum zainteresowań naukowych profesora. Należy jeszcze nadmienić, że w Księdze zamieszczono także bibliografię prac drukowanych profesora, oraz wykaz prac magisterskich i doktorskich napisanych pod jego kierunkiem. Na zakończenie spotkania profesor Julian Dybiec podziękował władzom UJ za gratulacje i życzenia oraz pracownikom Zakładu Historii Oświaty i Kultury za zorganizowanie uroczystości. Podzielił się także swoimi refleksjami na temat idei Uniwersytetu w przeszłości i obecnie, przy czym kilka zdań poświęcił także wychowaniu młodzieży w dobie globalizacji.

Wokół problemów nauki i kultury polskiej

Temat pracy magisterskiej Juliana Dybca (historia XIX w.) związany był z działalnością uniwersytecką filozofa, historyka i psychologa – Michała Wiszniewskiego⁷. Wspomina po latach: [...] „W Wiszniewskim ugrzęzłem na wiele lat. Przedrzeć musiałem się przez tysiące stron wykładów rękopiśmiennych i notatek. One doprowadziły mnie do wniosków, które zaprzeczyły pierwotnej wizji profesora, ale zgodził się z moją”⁸. Recenzentem pracy był doc. Leszek Hajdukiewicz, nauczyciel

⁶ A. Banach, *Sylwetka naukowa...* s. 10.

⁷ Michał Wiszniewski – (1794–1865), uczeń gimnazjum krzemienieckiego, prof. UJ, autor opublikowanej w latach 1840–1857 dziesięciotomowej *Historii literatury polskiej*. Zasłynął w świecie nauki m. in. jako autor pionierskiej pracy psychologicznej pt. *Charaktery rozumów ludzkich*, w XIX w. ukazały się cztery wydania tej książki (1837, 1842, 1876, 1884).

⁸ J. Dybiec, *Z Łącka w świat*, „Almanach Łącki”, 2010, nr 12, s. 76.

akademicki, historyk oświaty i kultury epoki nowożytnej, późniejszy kierownik Archiwum UJ.

Pierwsza obszerna publikacja Juliana Dybca, stanowiąca część pracy magisterskiej, zatytułowana *„Michał Wiszniewski jako profesor historii powszechnej w Uniwersytecie Jagiellońskim”*, ukazała się w roku 1964 na łamach czasopisma naukowego, co wskazuje o ważności poruszonego problemu i solidności badawczej autora. Píše tam m. in. [...] „W gronie profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego sylwetka profesora historii powszechnej wyróżniała się wieloma cechami dodatnimi, a przede wszystkim szerokimi zainteresowaniami. Świadczą o tym zarówno materiały pozostawione przez Wiszniewskiego, jak i wypowiedzi postronnych obserwatorów. [...] Niemniej osobowość Wiszniewskiego jako profesora historii powszechnej była pełna kontrastów. Polegały one m. in. na wielkiej rozbieżności, jaka istniała pomiędzy jego dążeniami i usiłowaniami, a konkretną działalnością”⁹. W roku 1964, dzięki poparciu prof. Henryka Barycza, zatrudniony został Julian Dybiec w Archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego. W roku następnym uzyskał zgodę władz uniwersyteckich na przeniesienie do Katedry Historii Oświaty i Nauki, w charakterze asystenta, co umożliwiło mu dalsze kontynuowanie pracy badawczej nad życiem i działalnością naukową Michała Wiszniewskiego.

Julian Dybiec w latach 1965–1968 przeprowadził bardzo rozległą kwerendę źródłową w archiwach i bibliotekach w Krakowie, Kórniku, Warszawie, Wrocławiu i Lublinie, sprowadził także fotokopie z archiwów zagranicznych¹⁰. Zebrane materiały pozwoliły mu na wszechstronne zbadanie i opisanie życia i twórczości naukowej Michała Wiszniewskiego. Obszerna praca o objętości 380 stron przyczyniła się do uzyskania stopnia doktora i otworzyła mu drogę do dalszej pracy naukowo – dydaktycznej. W roku 1970 ukazało się wydanie książkowe publikacji zatytułowanej *Michał Wiszniewski życie i twórczość*.

Oceniając owe dzieło początkujący historyk nauki napisał: [...] „Pod względem konstrukcyjnym układ monografii jest przejrzysty i pozwala bez trudu uchwycić zasadnicze etapy zarysowujące się w życiu Wiszniewskiego, rozegrane między Krzemieńcem, Krakowem i Genuą: zaistniałe wśród układów określonych środowisk, wśród prądów epoki, w rzeczywistości bytowania polskich intelektualistów działających w pierwszej połowie XIX w. [...] Załączone do monografii zestawienie prac M. Wiszniewskiego wraz z wykazem źródeł i opracowań – zarówno spoczywających w rękopisach jak i drukowanych (ss. 330-351), świadczy o szeroko rozbudowanym warsztacie badawczym autora”¹¹.

W roku 1967 ukazała się książka zatytułowana *Poglądy filozoficzno-społeczne Michała Wiszniewskiego*, której autorem był absolwent Filozofii Chrześcijańskiej KUL – Józef Bańka. Po przeczytaniu owej publikacji Julian Dybiec wysunął wiele

⁹ J. Dybiec, *Michał Wiszniewski jako profesor historii powszechnej w Uniwersytecie Jagiellońskim*, „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki”, 1964, nr 2, s. 223. (Warszawa PAN).

¹⁰ A. Banach, *Sylwetka naukowa...* s. 10 -11.

¹¹ R. Ergetowski, Julian Dybiec: *Michał Wiszniewski. Życie i Twórczość*, „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki”, 1971, nr 1, s. 168, 172.

zastrzeżeń odnośnie tego dzieła, polemizując z autorem na łamach czasopisma naukowego¹².

W latach następnych Julian Dybiec rozpoczął wnikliwe kwerendy w archiwach i bibliotekach, analizując m. in. sprawozdania sejmowe, sprawozdania szkolne, rękopisy, pamiętniki, czasopisma pedagogiczne i książki, dotyczące nauki i oświaty w Galicji. Pisze w autobiografii: [...] „Wiele lat poświęciłem na badania mechanizmu, który pozwolił przetrwać polskości w XIX w. Pierwotnie miały objąć całą Polskę, potem skoncentrowałem się na Galicji, nie bez sugestii osób ideologicznie nie lubiących szerszych syntez”¹³. W roku 1979 nakładem Uniwersytetu Jagiellońskiego ukazała się książka Juliana Dybca zatytułowana *Finansowanie nauki i oświaty w Galicji 1860–1918*. Praca stała się podstawą do jego habilitacji na Uniwersytecie Jagiellońskim. [...] „W oparciu o wszechstronną analizę krajowych budżetów i centralnych środków finansowych płynących z Wiednia, prof. Dybiec obalił panującą w dotychczasowej historiografii tezę o wyjątkowym skąpstwie rządu centralnego w Wiedniu, jeśli chodzi o nakłady na oświatę i naukę w Galicji”¹⁴.

Po ukazaniu się książki jeden z recenzentów napisał: [...] „Praca składa się z trzech rozdziałów, wstępu i zakończenia. Omawia w niej Autor kolejno: finansowanie nauki i oświaty z budżetu krajowego i państwowego, polski mecenat naukowy i oświatowy, i w ostatnim trzecim rozdziale – konkursy naukowe”¹⁵. Sporo miejsca zajmują także analizy wydatków poświęcone m. in. szkołom ludowym, zawodowym, średnim i wyższym, umieszczone na końcu książki w postaci tabel – które stanowią obliczenia własne autora. Na uwagę zasługuje także przedstawione zagadnienie dotyczące opracowania i wydawania podręczników dla poszczególnych szkół, oraz wydawanie czasopism pedagogicznych dla nauczycieli. Książka o objętości 220 stron wydana została w nakładzie 150 egzemplarzy, tzw. małą poligrafią.

Zebrany obszerny materiał niewykorzystany w pełni w poprzedniej książce, a pozostający w ścisłym związku z tematem nauki i oświaty w Galicji, opublikowany został w następnej pozycji książkowej p.t. *Mecenat naukowy i oświatowy w Galicji 1860–1918*. 220 stronicowa praca składa się z czterech rozdziałów tematycznych, obejmujących opiekę nad szkolnictwem, stypendia, mecenat wydawniczy i biblioteczny. Obydwie publikacje zostały wysoko ocenione przez historyków oświaty. [...] „Książki J. Dybca są ważnym wydarzeniem w dziejach polskiego piśmiennictwa historyczno – oświatowego, i historyczno-naukowego. Dzięki szczegółowej kwerendzie źródłowej warstwa informacyjna prac jest bardzo bogata, a podstawowe ich tezy dobrze udokumen-

¹² Zob. J. Dybiec, *Józef Bańka: Poglądy filozoficzno-społeczne Michała Wiszniewskiego*, rec. „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki”, 1969, nr 3, s. 558-562; J. Dybiec, *Jeszcze w sprawie książki Józefa Bańki o Michale Wiszniewskim*, odpowiedź recenzenta autorowi książki, „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki”, 1970, nr 4, s. 805-807. W roku 1976 w serii Biblioteka Klasyków Filozofii ukazało się nowe wydanie książki Michała Wiszniewskiego, pt. *Bacona metoda tłumaczenia natury i inne pisma filozoficzne*, do której wstęp napisał Władysław Tatarkiewicz, a posłowie (działalność i twórczość filozoficzna s. 719-753) i przypisy zrobione zostały przez Juliana Dybca.

¹³ J. Dybiec, *Z Łącka w świat...* s. 82.

¹⁴ A. Banach, *Sylwetka naukowa...* s. 11.

¹⁵ W. Łazuga, *Julian Dybiec. Finansowanie nauki i oświaty w Galicji 1860–1918*, „Studia Historica Slavo-Germanica”, 1982, t. 11, s. 160. (Czasopismo naukowe wychodzące w Poznaniu od 1972 r.)

towne. Liczne obliczenia i w ogóle wszystkie ujęcia statystyczne świetnie ilustrują społeczny wysiłek i dokonania Polaków w Galicji na niwie oświatowej i naukowej. Wysiłek ten i osiągnięcia były po większej części zapomniane lub zupełnie nieznane. Dzięki więc badaniom J. Dybca zostały udostępnione współczesnemu czytelnikowi jako ważny przyczynek wzbogacania jego wiedzy o pracy pokoleń na rzecz kultury narodowej”¹⁶.

Należy jeszcze podkreślić, że obydwa wyżej opisane dzieła dotyczące nauki i oświaty w Galicji przyczyniły się w dużej mierze do obalenia panującego przez lata stereotypu „**że w Galicji była tylko ciemnota i nędza**”. Banał ten ugruntowany został w społeczeństwie na początku XX w. do którego przyczyniła się zapewne także wydana we Lwowie w 1904 r. książka Stefana Zaleskiego (Światłomira), zatytułowana – *Ciemnota w Galicji w świetle cyfr i faktów 1772–1902. Czarna księga szkolnictwa galicyjskiego*. Julian Dybiec obalając to stwierdzenie wskazał także w swoich pracach m. in. na wielkie zaangażowanie Sejmu Krajowego w rozwój polskiej oświaty i kultury, poprzez powołanie do życia w 1867 r. Rady Szkolnej Krajowej – instytucji nadzorującej szkolnictwo, opracowaniu i ogłoszeniu szeregu ustaw umożliwiających m. in. zakładanie organizacji naukowych i oświatowych, które przez swoją działalność umacniały patriotyzm, pogłębiając zarazem uczucia narodowe Polaków pod zaborem austriackim.

Przedstawiony w czwartym rozdziale książki *Mecenat naukowy i oświatowy w Galicji* – temat dotyczący mecenatu bibliotecznego, pozwala czytelnikowi dostrzec, że ówczesne biblioteki (naukowe, uczelniane, szkolne i powszechne) oprócz subwencji z funduszu krajowego, zasilane były także dość powszechnie w zbiory książkowe darowane przez właścicieli ziemskich, nauczycieli, bibliofilów, działaczy oświatowych, społecznych oraz przedstawicieli wielkich rodów magnackich.

Wydane książki Juliana Dybca otworzyły mu drogę do dalszej kariery naukowej. W 1993 r. ukazała się następna książka docenta Juliana Dybca zatytułowana *Polska Akademia Umiejętności 1872–1952*. Wydana została z okazji 120. rocznicy rozpoczęcia działalności tej ważnej placówki naukowej, zarówno w okresie zaborów jak i po odzyskaniu niepodległości. Książka ta i obszerne trzy rozdziały napisane w monografii Nowego Sącza na podstawie badań archiwalnych stały się podstawą do uzyskania tytułu profesora nauk humanistycznych¹⁷.

Najobszerniejszą książką prof. Juliana Dybca liczącą 760 stron, jest ogłoszona drukiem w 2000 r. praca p.t. *Uniwersytet Jagielloński 1918–1939*. Píše w autobiografii m. in. [...] „Przed przystąpieniem do pisania dzieła przeanalizowałem dotychczasowe dzieła o UJ Kazimierza Morawskiego, Henryka Barycza, Mirosławy Chamcówny i zbiorowe wydanie historii w związku z jubileuszem 1964 r. Zapoznałem się z wieloma zagranicznymi książkami zarówno tymi XIX i XX wiecznymi jak też najnowszymi. To pozwoliło mi wypracować najbardziej wszechstronną i nowoczesną koncepcję książki”¹⁸. Zebranie i przeanalizowanie olbrzymiej ilości dokumentów archiwalnych,

¹⁶ Cz. Majorek, *Dwie książki Juliana Dybca*, „Przegląd Humanistyczny”, 1982, t. 10, s. 154.

¹⁷ Nominacja profesorska wręczona została przez prezydenta Lecha Wałęsę w Belwederze w 1995 r.

¹⁸ J. Dybiec, *Z Łącka w świat...* s. 82.

drukowanych oraz rozproszonej literatury, zabrało profesorowi kilkanaście lat wyteżonej pracy. [...] „Autor dziejów najstarszego polskiego uniwersytetu przedstawił jego historię z lat 1918–1939 *sine ira et studio*”¹⁹.

Po ukazaniu się owej monumentalnej pracy w czasopismach polskich i zagranicznych ukazało się wiele recenzji. W jednym z kwartalników naukowych czytamy: [...] „Odrodzenie państwa polskiego postawiło uniwersytet przed wielkimi wyzwaniami. Przeprowadzona przez autora analiza dokumentuje zmagania uczelni z nową sytuacją. UJ stracił pozycję niemal jedyne go źródła kultury i nauki na ziemiach polskich. Jednocześnie pozostał liderem, wzorcem dla nowo powstałych placówek. Nie tylko kształcił przyszłych pracowników naukowych dla Wilna, Warszawy, Poznania, ale oferował również etos metody badawczej. Zadaniem uczelni krakowskiej było wypracowanie nowego modelu wszechnicy – odpowiedniego w nowej sytuacji dziejowej – oraz przekazywanie osiągnięć. Stanowiło to ambitny cel, często wymuszało bolesną konfrontację z rzeczywistością”²⁰.

Książka podzielona została na osiem rozdziałów z których każdy tworzy wyodrębnioną całość. Poszczególne dyscypliny omawiane są w licznych podrozdziałach. Główne rozdziały dotyczą m.in. podstaw materialnych uczelni, struktury i funkcjonowania, młodzieży, zespołu nauczającego i pracowniczego, organizacji nauczania, kierunków rozwoju badań naukowych oraz udziału uczelni w światowym życiu intelektualnym. Publikacja prof. Juliana Dybca jest pierwszą książką poświęconą działalności Uniwersytetu Jagiellońskiego w okresie międzywojennym. Wzbogacona jest także 59. ilustracjami oraz licznymi tabelami statystycznymi i wykazami kadr akademickich w poszczególnych latach. Warto przypomnieć, że wśród ilustracji jest wiele dotąd niepublikowanych i nieznanych. Jedną z nich jest np. zdjęcie Josepha Goebbelsa z delegacją niemiecką w czerwcu 1934 r. w Collegium Maius. Być może, że poznana wówczas rola Uniwersytetu w życiu narodu polskiego i jego stanowisko w sprawach państwowych sprawiło, że w 1939 r. Niemcy uwięzili profesorów tej uczelni i postanowili ją zniszczyć.

Następna książka prof. Juliana Dybca dotyczy szerokiego przekroju dziejowego, poświęcił ją autor pamięci swoich rodziców – Anny i Józefa. Jest to publikacja która wymagała także wiele kwerend i analiz różnorodnych materiałów, co pozwoliło mu wypracować klarowne spojrzenie na temat zachowania Polskości w okresie rozbiorów. Rozbudowany tytuł *Nie tylko szablą, nauka i kultura polska w walce o utrzymanie tożsamości narodowej 1795–1818*, informuje w sposób dosadny o treści. Publikacja o zawartości 350 stron sfinansowana została przez Uniwersytet Jagielloński i ukazała się w 2004 r.

Profesor zaznaczył we wstępie, iż pod wpływem powstań narodowych, wytworzyło się wśród Polaków przekonanie, że to właśnie dzięki tym zrywom zawdzięczamy ciągłość narodową. Według profesora Dybca tradycja walki zbrojnej marginalizuje

¹⁹ A. Banach, *Sylwetka naukowa...* s. 12.

²⁰ E. Tylińska, *Julian Dybiec: Uniwersytet Jagielloński 1918–1939*, „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki”, 2001, nr 2, s. 185.

doniosłość pracy organicznej, jak i ogromną rolę nauki i kultury w walce o przetrwanie narodu, gdy tymczasem to właśnie nauka i kultura umacniała świadomość narodową, utwierdzała poczucie odrębności etnicznej, a te z kolei nie pozwoliły zapomnieć o niepodległości i dążeniu do jej odzyskania poprzez powstania. Na potwierdzenie tej tezy zostały przytoczone słowa wybitnego historyka, profesora Uniwersytetu Lwowskiego, Oswalda Belzera z 1903 r., które w sposób dobitny wyraziły przekonanie, że dla narodów nie posiadających własnego państwa kultura duchowa jest w daleko wyższym stopniu kwestią bytu, aniżeli dla innych, gdyż z braku zewnętrznych form i ram ich działalności, jest ona głównym świadectwem ich życia, jest życiem samym i – bytem. W tym samym kontekście została przytoczona również doniosła wypowiedź filozofa (mesjanisty) i działacza narodowego – Karola Libelta, 1872 r., w której tenże wymienił sześć warunków niezbędnych do utrzymania bytu narodowego. Godna polecenia książka profesora Dybca składa się z dziewięciu rozdziałów, z których każdy przedstawia różnorodność zagadnień związanych z życiem narodu polskiego pod jarzmem zaborców.

Rozdział pierwszy poświęcony jest zachowaniu języka narodowego, gdzie omówione zostały zagadnienia dotyczące walki o zachowanie mowy polskiej, którą polityka rusyfikacyjna i germanizacyjna unicestwiała. W rozdziale drugim przedstawia autor formy katalogowania polskiego dorobku piśmiennego. Przywołuje i omawia dorobek m. in. XIX wiecznych historyków literatury: Feliksa Bentkowskiego, Michała Wiszniewskiego i Karola Estreichera. Rozdział trzeci i czwarty dotyczy gromadzenia i ratowania przed zatraceniem polskiego dziedzictwa kulturowego poprzez niezmordowaną działalność m. in. Tadeusza Czackiego, Tytusa Działyńskiego, czy też Edwarda Raczyńskiego. W rozdziale następnym poddana została analizie praca dziejopisów, gdzie profesor podkreśla, że to właśnie historycy poprzez swoje dzieła tworzyli wiedzę o przeszłości kraju, przyczyniając się tym samym do stworzenia niezbędnych warunków dla rozwoju świadomości narodowej. W rozdziale szóstym scharakteryzował profesor dokumentowanie zwyczajów narodowych, gdzie tradycja społeczna zawarta w wierzeniach, pieśniach i obrzędach stanowiła o tożsamości narodowej. Rozdział siódmy przybliża zagadnienie tworzenia biografistyki narodowej. Autor zwraca przy tym uwagę, że tworzenie się panteonu narodowego nie obyło się bez wielkich napięć, kontrowersji i konfrontacji z przedstawicielami nauki obcej. Rozdział następny przybliża różnorakie prace uczonych, przy pomocy których starano się likwidować rozrywające społeczeństwo podziały polityczne i administracyjne, podtrzymując w narodzie poczucie jedności historycznej oraz geograficznej.

W rozdziale ostatnim profesor Dybiec podkreśla: „Historia państw europejskich dowodzi, że nic tak nie zespala z państwem i nie identyfikuje z ideologiami tworzonymi przez nie jak edukacja. Edukacja prowadzona od najwcześniejszego okresu dzieciństwa wszczepia idee i uczucia, wyrabia przywiązanie do określonej tradycji narodowej i państwowej”²¹. W okresie niewoli oświata była głównym narzędziem germanizacji społeczeństwa. Poruszając ten problem, przedstawił profesor sposób wydo-

²¹ J. Dybiec, *Nie tylko szablą, nauka i kultura polska w walce o utrzymanie tożsamości narodowej 1795–1918*, s. 283.

bywania się edukacji polskiej spod dominacji zaborców. Książka prof. Juliana Dybca daje szeroki obraz nauki i kultury w okresie ponad stuletniego okresu niewoli. Praca nad nią wymagała przeanalizowania ogromnego materiału historycznego. Publikację wzbogacają zacytowane wypowiedzi wybitnych twórców nauki i kultury, ubarwiają wiersze znanych poetów, m. in. Kazimierza Brodzińskiego i Wincentego Pola. Książka wzbudziła wielkie zainteresowanie wśród historyków, ponieważ przyczyniła się w znacznej mierze do wypełnienia istniejącej luki w badaniach nad rolą polskiej nauki i kultury w okresie niewoli. Może także służyć jako fachowy przykład innym badaczom, którzy zechcą dalej zgłębiać to zagadnienie.

Ukoronowaniem twórczości naukowej profesora Juliana Dybca stała się wydana w 2011 r. książka zatytułowana *Polska w orbicie wielkich idei. Polskie przekłady obcojęzycznego piśmiennictwa 1795–1918*, tom 1. Publikacja licząca 412 stron, wydana została w twardej oprawie przez Instytut Historii Nauki PAN. Obszerne dzieło porusza jeden z najistotniejszych problemów kultury polskiej w jej najtrudniejszym okresie niewoli narodowej. Omawia ważne zagadnienie dotyczące tożsamości narodowej, której istotną cechą było i jest otwarcie na prądy naukowe i idee europejskie. Owe nurty filozoficzne, literackie, religijne, i społeczne niosły polskie przekłady obcojęzycznego piśmiennictwa w latach 1795–1918, które zostały przedstawione w książce. Podstawę analizy tworzy opracowany po raz pierwszy zestaw tłumaczeń ponad 10 000 tytułów różnorodnych tematycznie publikacji książkowych. Pozwoliło to profesorowi na nakreślenie szerokiej panoramy percepcji w Polsce dzieł z zakresu nauk: matematyczno-fizycznych, przyrodniczych, nauk o Ziemi, nauk rolniczych, medycznych, technicznych oraz z dziedziny filozofii i humanistyki. Umożliwiło także na syntetyzujące nakreślenie oddziaływania światowej literatury pięknej w jej kategoriach narodowych m. in. angielskiej, francuskiej, niemieckojęzycznej, rosyjskiej i skandynawskiej. Autor zobrazował także bogactwo dziedziny religijnej udostępnionej Polakom.

Jest to pierwsza tego typu książka w naszym piśmiennictwie, która dowodzi, że epoka zaborów była nie tylko okresem walk i powstań, i nie była czasem dla nauki straconym, lecz dobą wytężonej pracy. Dzięki temu umożliwiono nam poznanie najwybitniejsze dzieła książkowe światowej nauki, literatury, myśli religijnej przetłumaczonej na język polski. Wśród nich są wielkie dzieła i utwory m. in. Aleksandra Humboldta, Karola Darwina, Wilhelma Wundta, Gustawa Le Bon, Zygmunta Freuda, Emanuela Kanta, Wiktora Hugo, Fiodora Dostojewskiego, Alfonsa Liguoriego. Przedstawieni zostali przez prof. Dybca również tłumacze ich dzieł, łącznie z omówieniem jakości przekładów.

Zaprezentowane publikacje książkowe prof. Juliana Dybca wybitnie dowodzą, że Jego wkład w rozwój polskiej nauki jest znaczący. W swojej pracy badawczej podjął się tematów trudnych wymagających „mrówczej pracy”, słabo dotąd rozeznaczonych i opracowanych. O wysokiej wartości naukowej publikacji świadczy także fakt, iż wydane zostały pod patronatem instytucji o najwyższej randze naukowej w kraju.

Ciąg dalszy w następnym numerze.



*Gratulacje i życzenia od
prof. F. Ziejki*



*Prof. A. Banach wręcza
prof. J. Dybcowi Księgę
Pamiątkową*



*Uczestnicy uroczystości
w Collegium Maius*

Fot. Jerzy Sawicz

JULIAN DYBIEC

MICHAŁ WISZNIEWSKI
ŻYCIE I TWÓRCZOŚĆ

WROCŁAW — WARSZAWA — KRAKÓW
ZAKŁAD NARODOWY IMIENIA OSSOLIŃSKICH
WYDAWNICTWO POLSKIEJ AKADEMII NAUK
1970

UNIwersytet Jagielloński

ROZPRAWY HABILITACYJNE Nr 25

JULIAN DYBIEC

FINANSOWANIE
NAUKI I OŚWIATY W GALICJI
1860—1918



NAKŁADEM UNIwersytetu Jagiellońskiego

Polska Akademia Nauk
Wydział I Nauk Społecznych

Julian Dybiec

Mecenat
naukowy i oświatowy
w Galicji
1860–1918

Wrocław · Warszawa · Kraków · Gdańsk · Łódź
Zakład Narodowy im. Ossolińskich
Wydawnictwo Polskiej Akademii Nauk
1981

JULIAN DYBIEC

UNIwersytet Jagielloński
1918–1939



NAKŁADEM POLSKIEJ AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI
KRAKÓW 2000

JULIAN DYBIEC

NIE TYLKO SZABLĄ

NAUKA I KULTURA POLSKA W WALCE O UTRZYMANIE
TOŻSAMOŚCI NARODOWEJ
1795–1918

KRAKÓW 2004

INSTYTUT HISTORII NAUKI
im. L. i A. Birkenmajerów
POLSKIEJ AKADEMII NAUK

JULIAN DYBIEC

POLSKA W ORBICIE WIELKICH IDEI POLSKIE PRZEKŁADY OBCOJĘZycznego PIŚMIENNICTWA 1795-1918

TOM I

Warszawa 2011

VIRTUTI ET INGENIO



KSIĘGA PAMIĄTKOWA
DEDYKOWANA PROFESOROWI
JULIANOWI DYBCOWI

KRAKÓW 2013

Małe Łącko – 10 lat po jubileuszu

„Aby tradycję uczynić własną i żywą jako depozyt przodków, który trzeba nam z własnej woli rozwijać i wzbogacać”.

Już dziesięć lat minęło, gdy w czerwcu 2002 roku obchodziliśmy uroczystość jubileuszową z okazji 50-lecia pracy Szkolnego Zespołu Regionalnego „Małe Łącko”. Od tego czasu zmieniał się skład Zespołu, jedni wchodzili w dorosłość, a ich miejsce zajmowali młodszy uczniowie, również zainteresowani podtrzymywaniem tradycji ludowych Łąckiej Ziemi. Dziesięciolecie to było źródłem radości z powodu sukcesów osiągniętych przez członków Zespołu, ale także przyniosło chwile smutku i żalu po odejściu członków kadry kierowniczej i instruktorskiej. W 2007 r. pożegnaliśmy śp. Zofię Młynarczyk, wieloletnią Dyrektorkę Zespołu Szkolno-Gimnazjalnego w Łącku, ale także kierowniczkę Zespołu. Pani Dyrektorka przez wiele lat angażowała się w pracę Zespołu, wyjeżdżała z nim na występy, a także pozyskiwała środki na zakup strojów. W 2011 r. nagle odszedł śp. Antoni Banach, który od 1996 r. był instruktorem „Małego Łącka”. Członkowie Zespołu pamiętają o ich działalności i dokonaniach, a ciężką pracą i zaangażowaniem starają się nie zniweczyć tych wielu lat trudu włożonego w podtrzymywanie dziedzictwa kulturowego regionu. Od 2002 roku kierowniczką Zespołu jest pani Barbara Stolarska, która przez wiele lat sprawowała opiekę nad strojami i rekwizytami. Ponadto czyniła nieustanne zabiegi o ich uzupełnienie i konserwację. O stan strojów



dbają nauczycielki: Dorota Majerska, Maria Zygadło i Dorota Piszczek. Kierownictwo muzyczne nadal sprawuje Antoni Plechta, choreografem i instruktorem jest Krzysztof Krzywdziński, a od 2011 r. także Piotr Krzywdziński, jego syn.

Lista członków „Małego Łącka” w latach 2002–2012 to kolejne pokolenia łąckich rodzin: Adamczyk Jacek, Adamczyk Jerzy, Adamczyk Paweł,

Adamczyk Piotr, Babik Aleksandra, Banach Paweł, Bieniek Jakub, Bujko Izabela, Bujko Michał, Bułaga Aleksandra, Bułaga Gabriela, Bułanda Filip, Cebula Kinga, Cebula Paweł, Chliapa Wojciech, Cisek Paweł, Ćwikowski Marcin, Ćwikowski Szczepan, Duda Agata, Duda Joanna, Dybiec Andrzej, Dybiec Kinga, Dybiec Sylwia, Dybiec Zofia, Faron Elżbieta, Faron Jacek, Faron Marcin, Franczyk Anna, Franczyk Marlena, Franczyk Natalia, Florjan Aleksandra,

Florjan Krzysztof, Florjan Natalia, Giba Dominik, Giba Marcin, Gonciarz Marcin, Gorczowski Dominik, Gorczowska Lena, Grela Marek, Gromala Tomasz, Hilger Dominika, Hilger Hubert, Hybel Jakub, Jagieła Kinga, Janczura Małgorzata, Janiczak Adrian, Janiczak Patryk, Jasiurkowska Łucja, Jasiurkowski Szymon, Jaworska Agata, Jaworski Mateusz, Kaczor Karolina, Kałuzińska Katarzyna, Kałuziński Roman, Kałużna Małgorzata, Kałużny Agata, Kałużny Łukasz, Kasprzyk Julita, Kołodziej Katarzyna, Kołodziej Michał, Kornaś Patrycja, Korona Kamil, Kotas Robert, Koza Jerzy, Koza Katarzyna, Krzywdziński Jacek, Kucharski Dariusz, Kucharski Łukasz, Kulasik Kinga, Kulasik Mateusz, Kulig Tomasz, Kurnyta Aneta, Kurnyta Daniel, Kurnyta Justyna, Kurnyta Katarzyna, Kutwa Anna, Kutwa Ewelina, Kurzeja Rafał, Lesiak Michał, Lipień Jakub, Lipień Jarosław, Łagos Kamil, Maciuszek Gabriela, Maciuszek Karolina, Majerska Adrianna, Majerski Bartłomiej, Majewski Mariusz, Matusiewicz Dominika, Matusiewicz Kamil, Miłkowska Klaudia, Miłkowski Dawid, Miłkowski Mateusz, Mirolta Agnieszka, Mirolta Jakub, Mozdyniewicz Jan, Mozdyniewicz Tomasz, Mrówka Agnieszka, Mrówka Izabela, Mrówka Joanna, Mrówka Martyna, Mrówka Wojciech, Myjak Paulina, Najduch Agata, Najduch Paulina, Najduch Tomasz, Ogórek Anna, Ogórek Maciej, Ogórek Piotr, Pelc Patrycja, Peciak Kamil, Pierzga Michał, Piksa Paulina, Plechta Filip, Podobińska Alicja, Podobińska Natalia, Pogwizd Wojciech, Pulit Patryk, Pyrdoł Marcin, Rdzawski Przemysław, Rusnarczyk Dawid, Rusnarczyk Ewa, Rusnarczyk Ewelina, Rusnarczyk Patrycja, Setlak Grzegorz, Sopata Agnieszka, Sopata Mateusz, Sopata Patrycja, Strączek Jarosław, Strączek Klaudia, Świechowska Ewa, Talar Aleksandra, Talar Andrzej, Talar Daniel, Talar Emilia, Talar Krzysztof, Warzecha Angelika, Wyrostek Dawid, Zachwieja Aleksandra, Zygadło Gabriela.

Uczestnictwo w Zespole to nie tylko występy, to także możliwość rozwijania wrażliwości artystycznej dzieci i młodzieży poprzez bezpośredni kontakt z tańcem i muzyką. Już w lipcu, tuż po obchodach 50-lecia, „Małe Łącko” wraz z kapelą oraz z Zespołem Pieśni i Tańca ze Szkoły Podstawowej NR 15 z Tarnowa, zaprezentowali polski folklor ziem podgórskich podczas Europejskiego Festiwalu w Kečkemét. Wspólny program obejmował wówczas: taniec węgierski, polkę, poloneza, krakowiaka oraz piękną pieśń o Kečkemét, wykonaną w języku węgierskim. Uczniowie przez 10 dni gościli u zaprzyjaźnionych rodzin rówieśników z węgierskich szkół i występowali na tamtejszej scenie. Dzięki tego typu uroczystościom młodzi ludzie mile spędzają czas w gronie przyjaciół, nawiązują międzynarodowe przyjaźnie, oraz mają możliwość konwersacji językowych. Okazją



do ponownego spotkania była rewizyta zespołu węgierskiego w Polsce. Podczas wycieczek, prezentujących bogactwo polskiej kultury, Węgrzy mogli poznać miejsca związane z życiem św. Kingi, księżniczki węgierskiej. Innym doświadczeniem integracyjnym był występ wraz z zespołem „Zabawka” z Rosji podczas wystawy

wy ks. Stanisława Wojcieszaka pt. „Obrazy wyczarowane na szkłe”. Najmłodsi uczniowie mieli możliwość prezentowania także swojego dorobku artystycznego podczas spotkań z młodzieżą niemiecką, która od kilku lat gości w ramach wymiany polsko-niemieckiej

w Zespole Szkolno Gimnazjalnym w Łącku. Do dorobku Zespołu należą również liczne udziały w uroczystościach, podczas których mają miejsce ważne wydarzenia dla społeczności lokalnej. W 2002 r. podczas Powiatowego Święta Owocobrania nastąpiło od-



danie hotelu spółki polsko-austriackiej „PORR”, w 2006 r. poświęcenie sztandaru łąckiego oddziału Związku Podhalań, 55-lecia Święta Kwitnącej Jabłoni, I rocznica sprowadzenia figury Matki Boskiej Ludźmierskiej w 2008 roku, czy też Srebrny Jubileusz Probostwa w parafii łąckiej ks. prałata Józefa Trzópka. Jednym z waż-

nych wydarzeń dla członków grupy była także inauguracja płyty na okoliczność 50-lecia Zespołu. W 2009 r. „Małe Łącko” towarzyszyło też Kapeli podczas oficjalnej prezentacji jej płyty „W koło sady zakwitają”, wydanej dzięki wsparciu starosty nowosądeckiego p. Jana Golonki.

Rokrocznie, od 1947 r., w Gminie Łącko organizuje się Święto Kwitnącej Jabłoni. Jest ono nie tylko okazją do zaprezentowania dorobku gospodarki, kultury, sztuki i folkloru regionu sądeckiego, ale także sprzyja poznaniu ludowości i obrzędowości innych krajów. Swą obecnością uświetniają tę uroczystość zespoły regionalne m.in. ze Słowacji, Węgier, Austrii czy też Estonii. Podczas tej imprezy plenerowej nie może zabraknąć także obecności „Małego Łącka”. Grupa nieprzerwanie przez 10 lat prezentuje swe umiejętności w Amfiteatrze na stoku góry Jeżowej. Zarówno poziom artystyczny, jak też walory wokalne, są doceniane przez odbiorców i nagradzane gromkimi brawami.

W okresie jesiennym władze Gminy organizują Święto Owocobrania. Stanowi ono okazję do zaprezentowania nie tylko efektów pracy rolników i sadowników, ale także dorobku kulturalnego. Podczas tej uroczystości najmłodszy uczniowie naszej Szkoły, którzy należą do Zespołu mają okazję do



pokazania swoich umiejętności wokально-tanecznych, a od 2009 r. współzawodniczą z nowo powstałymi zespołami „Mali Zagorzynianie” i ”Czarne Potoczki”.

W 2003 roku podczas V Wojewódzkich Dożynek, które miały miejsce w Łącku, byli podziwiani nie tylko przez mieszkańców, ale także przez przybyłych na tę imprezę folklorystyczną posłów na Sejm RP i Marszałka Województwa Małopolskiego.

„Małe Łącko” dzięki występom przyczynia się także do promocji gminy. Na uznanie zasługuje prezentacja na krakowskim rynku z okazji XXIX Targów Sztuki Ludowej (2005 r.). Ponadto Zespół uczestniczył w zainicjowanym i realizowanym przez Muzeum Okręgowe w Nowym Sączu projekcie Jarmark Kultur, który miał zaprezentować i rozpropagować bogactwo kulturowe Sądecczyzny, współtworzone przez wieki, przez



różne grupy narodowościowe: Polaków, Niemców, Żydów, Łemków oraz wyznaniowe: katolików, grekokatolików, protestantów, ludność wyznania prawosławnego oraz mojżeszowego.

We wrześniu 2011 r. Zespół wraz z kapelą otrzymał zaproszenie od Starosty Nowosądeckiego do udziału w I Sądeckim Jarmarku Regionalnym. Jego celem było

przypomnienie mieszkańcom Sądecczyzny o wspaniałych tradycjach, muzyce i strojach regionalnych, a także o sztuce ludowej i rzemiośle.

Na krynickiej estradzie obok „Małego Łącka” wystąpili również: Regionalna Grupa „Michalczowa”, grupa taneczna „Astral”, Kapela „Ciupaga” z Łącka, Zespół Regionalny „Mali Mystkowianie”, Zespół Regionalny „Kowalnia” i Zespół Pieśni i Tańca „Podegrodzie”. W 2009 r. członkowie Zespołu wystąpili również w Miasteczku Galicyjskim, które również przyczynia się do podtrzymania tradycji ludowej w regionie.

Mali Łąckowianie biorą udział w uroczystościach o zasięgu nie tylko lokalnym.

We wrześniu 2004 r. mieli również możliwość występu podczas I Europejskiego Święta Śliwowicy i Owocobrania, gdzie towarzyszyli Kapeli w koncercie Pawła Banacha wygrywającego melodie ludowe na fujarce. Ważnym elementem pracy Zespołu Regionalnego jest również uczestnictwo w imprezach charytatywnych, należał do



nich zorganizowany przez Sądecką Fundację na Rzecz Wspierania Profilaktyki, Terapii i Rehabilitacji Zaburzeń Wieku Rozwojowego „O KAŻDE DZIECKO”, festyn.

Tego typu działania kształtują postawy społeczne oraz uwrażliwiają młodych na potrzeby innych, ponieważ „dobrze jest dawać odpowiedź na prośbę, jeszcze lepiej bez niej... z głębi rozumiejącego serca”. Na zaproszenie Stowarzyszenia „Wolontariatu Ojca

Pio” i Dekanalnego Duszpasterstwa członkowie Zespołu wystąpili przed łącką publicznością z okazji Świętojańskich Dni Młodych. Zaprezentowali, ze swoistym urokiem dziecięcego wykonania, pieśni ludowe, czym wywołali zachwyt licznie przybyłych gości. Kapela wraz z opiekunami i zespołem regionalnym, tańcem i śpiewem uświetniała obchody Dnia Dziecka w 2009 r. zorganizowane przez Młodzieżowy Dom Kultury



Fort 49 Krzesławice w Nowej Hucie.

Kultura ludowa to nie tylko sztuka, ale także folklor charakterystyczny dla mieszkańców zamieszkujących określone tereny, i przekazywany z pokolenia na pokolenie. Dlatego podczas podsumowania projektu edukacyjnego realizowanego przez uczniów klas II Gimnazjum w Łącku pt. „Śladami Lachów i Górali” nie mogło zabraknąć obecności „Małego Łącka”.

Jego członkowie pod opieką: pana Antoniego Plechty oraz pana Krzysztofa Krzywdzińskiego przedstawili wybrany repertuar, prezentując tym samym żywiłowy folklor regionu łąckiego.

Kapela dziecięca ma również okazję do zaprezentowania swoich umiejętności instrumentalno-wokalnych podczas uroczystości szkolnych organizowanych z okazji: Dnia Babci i Dziadka, Dnia Edukacji Narodowej, inauguracji i zakończenia roku szkolnego i in. W 2010 r. otrzymała również zaproszenie na noworoczne spotkanie Polskiego Związku Emerytów, Rencistów i Inwalidów w Łącku, podczas tych wszystkich uroczystości popularyzowany jest folklor wśród odbiorców. Zespół oraz kapela brały udział w wielu konkursach i przeglądach m in.: Konkursy Muzyki Instrumentalnej, Konkursy śpiewaków ludowych i drużbów weselnych (corocznie wysokie lokaty indywidualne i zespołowe).

Zespół i towarzysząca mu Kapela przez 60 lat funkcjonuje dzięki przychylności władz Gminy, które zapewniają kadrę instruktorską i troszczą się o finansowanie strojów, ich wymianę i uzupełnianie. Zespół wraz z Kapelą realizował zadania dotyczące upowszechniania i popularyzacji kultury ludowej w środowisku lokalnym, współdziałał z instytucjami samorządowymi, oraz organizacjami społecznymi takimi, jak: Gminny Ośrodek Kultury, Towarzystwo Miłośników Ziemi Łąckiej, Związek Emerytów i Rencistów oddział Łącko, Wolontariat Ojca Pio. Współpraca ta uwidaczniała się głów-



Współpraca ta uwidaczniała się głów-

nie podczas uroczystości o charakterze środowiskowym. Tego typu spotkania zyskują coraz więcej zwolenników. Występy te stanowią także okazję do integracji między pokoleniami. Zapewniają również możliwość dzielenia się uwagami w sferze artystycznej, zdobywania umiejętności poprzez korzystanie z doświadczeń starszych kolegów. Mają na celu budowanie pozytywnego wizerunku Szkoły, a także pozyskiwanie zrozumienia dla jej potrzeb. Tu należy wspomnieć, że dzięki staraniom Gminnego Ośrodka Kultury w ramach projektu „Wrota Małopolski” wzbogacony został zasób strojów o: 15 spodni góralskich,



23 koszule dziewczęce i 23 chłopięce oraz 7 gorsetów na łączną sumę 22.825 PLN.

Nic w szkole nie dzieje się bez udziału i czynnego zaangażowania rodziców. Należą się im podziękowania za to, że zachęcają swoje dzieci do pracy w Zespole, uczestniczą w próbach, pełnią opiekę podczas wyjazdów, dbają o stroje. Zawsze możemy na nich liczyć. Przez ponad 60 lat istnienia Zespołu kierowało nim wielu instruktorów, muzyków, często wywodzących się z kadry nauczycielskiej. Ich praca przyniosła efekty, które możemy dostrzec i dzisiaj w postaci żywego zainteresowania folklorem, zamiłowaniem do muzyki i śpiewu wśród społeczności łąckiej.

Zwyczajem stało się, iż z okazji zakończenia roku szkolnego członkowie Zespołu otrzymują podziękowania i nagrody za pracę. Większość z nich nie kończy swojej kariery artystycznej. Niejednokrotnie znajdują oni swoje miejsce w Regionalnym Zespole „Górale Łąccy” im. Marii Chwalibóg, i tam kontynuują zdobyte w młodszym wieku doświad-



czenie. Całość bogatej dokumentacji jest przez p. Ewę Majerską skrupulatnie gromadzona w formie kroniki zespołu i gabloty poświęconej aktualnej pracy Zespołu, aby część dziedzictwa, które jest świadomie przejmowane przez współczesne pokolenia, ze względu na swoje wartości, było nadal cenione i rozwijane na Ziemi Łąckiej.

Skąd przybył Krystyn zasadzca Kamienicy Gorczańskiej?

Z ogromną niecierpliwością wyczekiwałem dnia kiedy wreszcie trafi do moich rąk tak dawno już zapowiadane wielkie DZIEŁO – MONOGRAFIA „Łącko i Gmina Łącka”. Kiedy więc to się stało, długimi godzinami wczytywałem się w jej treść i analizowałem zawarte w niej ogromne pokłady faktograficznej wiedzy, będącej następstwem setek, a może nawet tysięcy godzin, które spędzić musieli ich autorzy m.in. w bibliotekach i archiwach. Moja, ogromna fascynacja tym DZIEŁEM jest szczególnej natury, gdyż jako autochton już od najmłodszych lat chłonałem każdy, nawet najdrobniejszy szczegół, dotyczący historii mojej ukochanej Małej Ojczyzny, i dziś mając już „lata słuszne” dysponuję, z tej przyczyny, pewnym zasobem tak własnych przemyśleń jak i opinii niektórych historyków. Jedną z takich opinii, która powstała na bazie bardzo szerokiej i starannej kwerendy chcę się w tym miejscu podzielić.

W rozdziale „Doba staropolska” autorstwa prof. dr hab. Feliksa Kiryka na str. 70 i 71 zamieszczony jest krótki akapit poświęcony gorczańskiej wsi Kamienica. Czytamy tam „W roku 1330 Krystyn ze Starej Wsi zwanej Przebyta (de antiqua villa Presbiti), uzyskał od klasztoru zezwolenie na lokację wsi na 120 łanach frankońskich, rozciągających się po obu stronach rzeki Kamienicy oraz Zbludzy, w zamian za 4-łanowe sołectwo, (...)” Skopiowany tekst oryginalnego Aktu Lokacyjnego wsi Kamienica, zamieszczony jest w Kodeksie Dyplomatycznym Małopolski, wyd. Fr. Piekosiński, Kraków 1876–1905, T.II, nr DCI; 1330 die 9 m. Martii, in Stary Sącz i zawiera m.in. taki zapis; „(...) contulimus et dedimus discreto viro Cristino, sculteto de antique villa Psrebiti nuncupata, (...)” Skąd zatem p. prof. F. Kiryk zaczerpnął nazwę „de antique villa PRESBITI”!!!, bo przecież w przywołanym tu KDM jest wyraźnie napisane „PSREBITI”!!! a na ten Kodeks w tym rozdziale p. profesor wiele razy się powołuje! Takiej samej nazwy wsi „PRESBITY (PRZEBYTA?)” z której to miał przybyć zasadzca Kamienicy użył też dr P. Stanko w 92 numerze Gorczańskich Wieści z 2009 r. w artykule pt. „Sześć wieków parafii w Kamienicy”. Zarówno p. dr Stanko jak i prof. Kiryk nie ujawnili niestety na jakich to jeszcze innych źródłach historycznych (jak to dzisiaj modnie się nazywa – „artefaktach”) oparli swoje historyczne dociekania. Dr Stanko w swych „dociekaniach” poszedł nawet już tak daleko, że napisał w przywoływanym tu artykule w Gorczańskich Wieściach iż „lokowana w 1330 r. Kamienica graniczyła co prawda z dawną wsią Boczów i nieistniejącą obecnie wsią PRESBITY (Przebitą?) (...). Obszar współczesnej gminy (Kamienica) w XIII w. stanowił po części, od co najmniej lat 1257–1280, własność klarysek starosądeckich (dolna i środkowa część biegu Kamienicy) i księcia krakowskiego (...). Górna część doliny znajdowała się w rękach króla Władysława Łokietka, którego syn, Kazimierz Wielki, dopiero w 1345 r. przekazał klaryskom te tereny, na których u schyłku XVI w. lokowano Zasadne, Zalesie i Szczawę”. W tym artykule pisze też dalej, przez co zresztą sam zaprzecza swojej wcześniej postawionej tezie, że „Wieś Zabrzeż, najbliżej położona względem Kamienicy w XIV w., wspomnia-

na jest w źródłach dopiero w 1312 r., (...)" Czytając ten artykuł ma się wrażenie, że p. dr P. Stanko w ogóle nie czytał Aktu Lokacyjnego Kamienicy z 1330 r., bo przecież tam jest wyraźnie napisane; „ (...) quandam partem sylue in nostris predijs sitam super fluuium dictum Kamenecia et fluuium Blusa vltra nostram villam Boczow ad centum viginti mansos Franconicos a gadibus Panthonis molendinatoris, (...)”, czyli „pewną część lasu w naszych dobrach położoną nad rzeką zwaną Kamienicą i nad rzeką zwaną Zbludzą do 120 łanów frankońskich ponad (od miejsca) Panthonisa (imię własne mężczyzny Pęt, Pet?, przyp. autora) młynarza, (...)”. Tak więc od czasu lokacji i długo jeszcze później Kamienica sąsiadowała z klasztorną wsią BOCZÓW!, a później, prawie za 30 lat, ze wsią BYNIOWA wzdłuż Jaworowego Potoku – o czym możemy przeczytać w Akcie Lokacyjnym Byniowej. Tak więc w żadnym razie Kamienica nie sąsiadowała, bo nie mogła sąsiadować ani ze wsią Przebyta lub Presbita!, bo takiej nie było!!!, ani ze wsią Zabrzeż. Do czasu ukazania się tej „rewelacji” p. dr P. Stanko, wiadomym było powszechnie, że rok 1280, to początek historii starosądeckich klarysek i że tzw. „fundacja zakonu klarysek” była aktem jednorazowym, a nie rozłożonym w czasie lat 1257–1280, jak pisze w cytowanym tekście p. dr Stanko, gdyż fundacja dotyczyła w pierwszej kolejności obszaru, a dopiero później miejscowości-wsi istniejących już na tym obszarze i wymienionych w tym „Dokumencie Fundacyjnym”.

Dotychczas w sprawie przeszłości Kamienicy wiele już było zamieszania. Próbowano kilka razy, nawet w „bardzo uczonych dziełach”, przesunąć jej datę powstania na rok 1297, innym razem zaś mylono ją z miastem Kamienicą, poprzedniczką Nowego Sącza, to zaś z Kamionką – wsią k/Ujanowic w pow. limanowskim, to zaś ze wsią Kamienica w parafii Przeczycza w pow. pilzneńskim z powodu Dokumentu jaki wystawiono w imieniu króla Kazimierza Wielkiego w 1345 r., a oblatowanego w imieniu kamienickiego sołtysa Marcina Krobickiego, w księgach grodzkich Biecza w 1608 r.

Stanowcze stwierdzenie p. prof. F. Kiryka w przywołanej tu monografii Łącka, że jakoby „Lokacja tej wsi o nazwie Kamienica, nastąpiła jednak dopiero w 1345 r., a to na podstawie przywileju królewskiego, jednakże dokonana przez tego samego sołtysa, mianowicie Krystyna”, nie może być w żaden sposób prawdziwe, bowiem wspomniany królewski „PRZYWILEJ” z 1345 r. powierza „przezornemu MIKOŁAJOWI KERSTANOWI” a nie „VIRO CRISTINO” – mężowi Krystynowi, jak to jest napisane w Dokumencie wystawionym przez starosądeckie klaryski, las królewski nad rzeką Kamienicą, w celu lokowania wsi na prawie magdeburskim, na 60 łanach frankońskich i nadaje temuż Mikołajowi – sołtysowi 2 wolne łany (...) i zobowiązuje go do uczestnictwa w wyprawie wojennej z jednym zbrojnym (...). Rzeczywisty zasadzka Kamienicy, kamienicki sołtys Krystyn (Cristino), a nie MIKOŁAJ KERSTAN, nie musiał być „urzędowo” zobowiązany do powinności rycerskiej na wypadek wojny, gdyż taka powinność na nim spoczywała z racji jego urodzenia, i przynależności do stanu rycerskiego.

Temu to też, wydaje się nam, że w sprawie początków Kamienicy mieliśmy już i nadal mamy do czynienia z bardzo starą zasadą, która głosi, że jeśli „fakty nie przystają do naszej teorii, to tym gorzej dla faktów, i można je spreparować lub bezkarnie odrzucić”.

Wiadomym jest powszechnie, że w latach kiedy starosądeckie klaryski zezwoliły przybyłemu ze starej wsi „Porebity”, zasadzcy Krystynowi, lokować na surowym korzeniu nową wieś Kamienicę ich posiadłości leśne będącej częścią rozległej, prastarej puszczy karpackiej, której częścią była ta gorczańska głusza w dolinie rzeki Kamienicy, sąsiadowały z równie rozległymi włościami leśnymi zgromadzenia zakonnego cystersów. Cystersi przybyli do Polski już w 1140 r. i osiedlili się początkowo w Ludźmierzu k/Nowego Targu, skąd po pewnym czasie przenieśli się do Szczyżycza, gdzie trwają do dziś. Podobnie jak benedyktyni, bo z nich się wywodzą, całą swą działalność podporządkowali hasłu „ora et labora”, czyli modlitwa i praca, a dziś należałoby powiedzieć „że modlitwą i pracą ludzie się bogacą”. Zajmowali się więc głównie rolnictwem i rzemiosłem, i przez tą swoją działalnością nieśli postęp cywilizacyjny na naszych ziemiach. W 1234 r. wojewoda krakowski Teodor Gryff podarował im rozległy obszar lasów u podnóża Gorców, nad rzeką Poręba, z istniejącą już wtedy „od dawna” starą wsią Poręba (*villa antiqua Porebiti*), dziś Poręba Wielka w gminie Niedźwiedź w pow. limanowskim. W tej wsi był już wtedy dobrze utrzymany wczesnopiastowski, a może nawet starszy, gród obronny, zniszczony później w czasie bratobójczych walk w Małopolsce. Posiadłość tę jednak odebrał cystersom, w ramach tzw. rewindykacji dóbr królewskich w 1380 r., król Ludwik Węgierski.

Obydwa te zgromadzenia; starosądeckie klaryski i szczyżycy cystersi zasłynęli w małopolskiej historii wielkimi sukcesami „kolonizacyjnymi”, których owocem były liczne nowe osady wiejskie trwające w większości nieprzerwalnie po dziś dzień. Jest więc prawie pewne, że w procesie lokacyjnym terenów dzisiejszej gminy Kamienica, oba te zgromadzenia porozumiały się i aktywnie współpracowały. Dowodów na to jest sporo!

Pierwszy z nich i najważniejszy, to osoba samego zasadzcy – Krystyna, który jak czytamy w akcie lokacyjnym Kamienicy „(...) viro Cristino, sculteto de antiqua villa PSREBITI (...)”, winno być POREBITI!, czyli „(...) mężowi Krystynowi ze starej wsi Poręby (...)”. Jest więc poza dyskusją fakt, że mamy tu do czynienia z błędem graficznym często występującym w średniowiecznych manuskryptach. Błąd ten nieumyślnie popełnił będący na służbie u „sądeckich panien Bogu poświęconych” skryba Henryk, gdy spisywał w ich imieniu ów Akt Lokacyjny Kamienicy. Ten swoisty „zawijas” w miejsce literki „O” (Porebiti = Psrebiti) odczytany został jako literka „S” i w ten sposób powstał „dziwny” nieznany rzeczownik, niby dla niektórych imię własne wsi „PSREBITI”, która w rzeczywistości nigdy nie zaistniała, a później bezkrytycznie powtarzany jako „Presbiti” zaś po swoistej próbie spolszczenia przyjął postać „Przebyta”, co możemy przeczytać w przywołanej już monografii „Łącko i Gmina Łącka”!

Imię KRISTYN, ale w żadnym razie nie KERSTAN Mikołaj jak nazywany jest sołtys z Kamienicy w pow. pilzneńskim w dokumencie z 1345 r. o którym była już wyżej mowa, tak jak dziś, również i wtedy, było imieniem bardzo rzadkim i występowało jedynie sporadycznie i to głównie w kręgach oddziaływania intelektualnego cystersów lub benedyktynów. Imię to jest pochodzenia łacińskiego i wywodzi się od imienia Christinus, czyli należącego do Chrystusa. W Polsce imię to poświędzone jest dopiero po 1204 r. w formach Krzysztyń, Krystyn, Krysten, ale nigdy KERSTAN!. Bardziej znanym patronem tego imienia w początkach XIV w., czyli w okrasie który

nas szczególnie interesuje, był Krystyn – męczennik „na służbie u benedyktynów”, który zginął w 1002 r. podczas akcji misyjnej na ziemiach Prusów. Jego relikwie są w katedrze w Ołomuńcu, której jest współpatronem. Innym patronem tego imienia, a związanym z cystersami jest Krystyn, wywodzący się ze starego polskiego rodu rycerskiego. Był on twórcą zakonu Braci Dobrzyńskich i jednym z pierwszych biskupów na tzw. „ochrzczonych ziemiach Prusów”.

Tak też bez cienia wątpliwości należy przyjąć, że porębiańskim gródkiem obronnym, leżącym wtedy wśród rozległym cysterskich posiadłości, zarządzał z ramienia wojewody krakowskiego pewien ród rycerski, którego przedstawicielem był ów Krystyn, późniejszy zasadzca Kamienicy. Ród ten pod wpływem oddziaływania cysterskiego kultu dla św. Krystyna, a może także by przypodobać się cystersom, postanowił nadać jednemu ze swoich synów właśnie to imię KRYSTYN. Z czasem tak się złożyło, że ten to właśnie rycerski syn, także przez dziedziczenie, rycerz Krystyn przystąpił do „oferty przetargowej” na zasadzce wsi lokowanej na surowym korzeniu, by na „obszarze nieurodzajnych lasów zwiększyła się korzyść zakonu i całego zgromadzenia” (cyt. z A.L. Kamienicy), i jak przystało „na dobrze i wysoko urodzonego” otrzymał od klarysek, rzadko spotykane w innych przypadkach, tak wysokie uposażenie sołtysiego urzędu. (Podobny areał; 4 łany frankońskie, otrzymał od cystersów w tym samym czasie zasadzca, bardzo bogaty, germańskojęzyczny, sądecki mieszczanin, lokujący w głębokiej głębszy leśnej prastarej karpackiej puszczy, wieś Rajbrot, w sąsiedztwie bardzo ważnego wtedy szlaku komunikacyjnego z Nowego Sącza przez Czchów do Wiśnicza, i dalej do Bochni i Krakowa. Po lokacji Rajbrotu kupcy zaczęli omijać Czchów kierując się do Rajbrotu, a stamtąd do Wiśnicza). Uposażenie sołectwa „na wieczność przelaną na swych potomków” jakie „starosądeckie panny Bogu poświęcone” zgodziły się nadać sołtysowi, zasadzcy Kamienicy, każe nam przypuszczać, że musiał to być „mąż dobrze urodzony”, który ponadto musiał też dysponować odpowiednio wysokim „kapitałem założycielskim”, potwierdzonym przez swoją pozycję społeczną. (przykład Rajbrotu). Prócz odpowiedniego kapitału musiał też ten zasadzca dysponować odpowiednią liczbą „potencjalnych kolonistów-osadników”, którzy już posiadli wiedzę i umiejętności zamiany „nieurodzajnych lasów” w urodzajne pola, by w ten sposób „zwiększyła się korzyść zakonu i całego zgromadzenia”. Takie umiejętności od dawna musieli posiadać ówczesni mieszkańcy Poręby żyjący w „symbiozie” niemal w środku prastarego boru, i to oni właśnie mogli być m.in. pierwszymi kamienickimi kmieciami, którzy od sióstr klarysek otrzymali „na wieczność” po jednym łanie frankońskim, czyli ok. 25 ha ziemi – nieurodzajnych lasów, które zamieniwszy w urodzajne łany powinni „intratę czynić starosądeckim pannom Bogu poświęconym”.

Zagłębiając się jeszcze bardziej w odległą i temu szczególnie „mroczną” przeszłość Kamienicy Gorczańskiej, moglibyśmy przytoczyć jeszcze kilka innych argumentów, które powodują, że przywołane powyższej tezy! przez p. dr P. Stanko i p. prof. F. Kiryka, mające zaświadczać o historycznych początkach Kamienicy, nie mogą tej funkcji spełnić, gdyż są z natury swej nieprawdziwe!!!, ale ponieważ gościmy na „kartach” Almanachu Łąckiego, a nie Gorczańskich Wieści temu też nie będziemy ich tu rozwijać pozostawiając tym samym miejsce do rzeczowej polemiki.



Maria Gromala (1948–2012)

Maria Gromala, z domu Ossowska, urodziła się 6.12.1948 roku, w Kiczni, jako szóste dziecko Stanisława i Józefy, z domu Kałużna. Wraz z rodzeństwem, dzieciństwo spędziła pomagając rodzicom w gospodarstwie. Ukończyła szkołę podstawową w Kiczni, następnie kontynuowała naukę w Szkole Zawodowej w Krościenku nad Dunajcem, zdobywając zawód kelnera. Doskonaliła się w tym zawodzie w Zakopanem, pracując w schronisku nad Morskim Okiem, oraz w Krynicy w restauracji „Panorama”.

Swojego przyszłego męża Jana, młodego, dobrze zapowiadającego się cukiernika i lodziarza, poznała podczas urlopu, w rodzinnych stronach. Wraz z przyjaciółką poszła do cukierni w Łącku, którą prowadził wraz z ojcem, na lemoniadę i niechcący rozbiła literatkę. Gdy chciała zapłacić przy ladzie, za wyrządzoną szkodę, poznała Jana Gromalę. Rodzina Jana znana była w Łącku, Stefan Gromala, ojciec Jana, był komendantem Ochotniczej Straży Pożarnej w Łącku.

Ślub Maria i Jan wzięli 25.03.1972 roku, w Łącku.

Po śmierci teścia, Stefana Gromali 8 marca 1973 roku, Maria została współwłaścicielką cukierni, którą prowadziła wspólnie z mężem. W 1993 roku, w wieku 50 lat, umiera Jan.

Od tego czasu, Marii w rodzinnym interesie, pomagały dzieci, Barbara i Adam.

Nie zważając na trudności i przeciwności, które sprawiał los, przez dziesięciolecia starała się, by atmosfera w cukierni była serdeczna i rodzinna, stale też urozmaicała cukierniczą ofertę. Cukiernia w samym centrum Łącka, była, i jest nadal, miejscem spotkań rodzinnych i towarzyskich. Cukiernia, założona w 1967 roku, od wielu dziesiątków lat, ma swoich stałych klientów.

Przychodzili nie tylko na kawę, ale także by porozmawiać o swoich bólach, radościach i smutkach. Każdego klienta Maria Gromala obdarzała także bezcennym da-



Maria Gromala z mężem Janem



Maria Gromala w Krynicy

15 sierpnia 2012 roku, w wieku 64 lat, zbyt szybko nie tylko dla swojej rodziny, ale przyjaciół, znajomych i swoich stałych klientów.

Fot. ze zbiorów rodzinnych

rem, swoim serdecznym uśmiechem. Maria Gromala była ciepłą, uczuciową osobą, wrażliwą na cierpienie innych, i jeżeli tylko mogła w czymś pomóc, nigdy tej pomocy nie odmawiała. Wspierała wiele akcji charytatywnych i dobroczynnych.

W młodości wielką pasją Marii była jazda na nartach, górskie wędrówki i taniec. Na wędrówki zabierała dzieci, a później wnuki.

W 2005 roku, Maria wraz z dziećmi, przeprowadziła kapitalny remont cukierni. Powiększony, odnowiony, ładnie i nowocześnie urządzony lokal cukierni stał się wizytówką Rynku, w Łącku. Niestety nie cieszyła się zbyt długo odnowioną cukiernią „U Gromali”.

Odeszła nagle, w dniu swoich imienin,

Bronisław Słowik (1911–1992)



W każdej społeczności lokalnej możemy odnaleźć, cieszących się autorytetem i szacunkiem, miejscowych liderów i przywódców pracujących na jej rzecz cicho, ofiarnie, bez rozgłosu i zbędnej reklamy, a których praca ma nader pozytywne i korzystne efekty. W Obidzy takim niekwestionowanym lokalnym liderem i przywódcą był przez wiele lat Bronisław Słowik¹.

Bronisław Słowik urodził się 4 lipca 1911 roku w Obidzy, w rodzinie Józefa i Anny z Florków². Ojciec Bronisława, Józef, jako pierworodny syn Ludwika i Katarzyny z Gałysów, był naturalnym spadkobiercą gospodarstwa rolnego, liczącego na początku XX wieku około 37 ha.

W 1905 roku umiera Ludwik. W 1910 roku Józef zawiera małżeństwo z Anną Florek, zgodnie z testamentową wolą Ludwika, obejmuje wyznaczoną część gospodarstwa liczącą około 23 ha³.

Nadchodzi rok 1914. Wojna! Józef, ojciec Bronisława, zostaje zmobilizowany do austriackiego wojska. W pierwszych miesiącach wojny dostaje się do rosyjskiej niewoli i do połowy 1918 roku przebywa w głębi Rosji. Matka Anna, z dwójką małych dzieci⁴, z najwyższym trudem próbuje podołać wszystkim obowiązkom jakie nagle na nią spadły.

Późnym latem 1918 roku wraca z rosyjskiej niewoli ojciec Bronisława. Radość z odzyskanej wolności i szczęścia nie trwa długo. Późną jesienią 1918 roku, pandemia grypy znana pod potoczną nazwą „hiszpanka”, w ciągu trzech kolejnych dni zabiera obydwójce rodziców Bronisława. Siedmioletnim Bronisławem i pięcioletnią Walerią zaopiekował się stryj, Jan Słowik⁵, sprowadzając się wraz ze swoją rodziną na gospodarstwo sierot.

¹ Zob.: U. Dara, *J. Słowik Antoni Paluch (1927–2008)*, „Almanach Łącki”, nr 13, Łącko 2010, s. 51.

² Testimonium ortus et baptismi. Niniejszy artykuł biograficzny oparty jest przede wszystkim na materiałach źródłowych z archiwum rodzinnego – dalej AR – udostępnionych przez Henryka Słowika, zamieszkałego w Obidzy. Także: *Łącko i gmina łącka*. Pod redakcją Juliana Dybca. Kraków 2012, s. 766.

³ W gospodarstwach rolnych w Obidzy, użytki rolne – ziemia orna, łąki i pastwiska – stanowiły najczęściej około ¼, 1/3, rzadko ½ ogólnego areалу gospodarstwa. Pozostała część to tzw. „krzaki” – rzadkie lasy brzożowe wykorzystywane jako pastwiska, a także pełnowartościowe lasy. Zob. J. Staszkievicz *Roslinność leśna [w:] Przyroda Popradzkiego Parku Krajobrazowego*. Praca zbiorowa pod red. J. Staszkiewicza, Stary Sącz 2000, s. 153. Także: J. Staszkievicz, Z. Witkowski, *Ziemia Sądecka*, Warszawa 1980, s. 82.

⁴ W 1913 roku przyszła na świat Waleria, siostra Bronisława.

⁵ Jan Słowik, syn Ludwika, urodzony 25.12. 1891 roku w Obidzy, zmarły 22.05. 1974 roku. Podoficer, weteran i inwalida z I wojny światowej. Pełnił różne funkcje w administracji samorządowej, między innymi wójta i sołtysa, radnego i pisarza gminnego, działacz BBWR, uczestnik ruchu oporu w czasach okupacji hitlerowskiej. Zob. także: J. Bieniek *Łącko konspiracja kwitnące*. Bez daty i miejsca wydania. Wydane z inicjatywy Koła ZBOWiD w Łącku przez Sądecką Oficynę Wydawniczą, s. 74. Ponadto: *Łącko i gmina łącka*, s. 766, G. Olszewski *Jazowsko. Dzieje wsi*. Nowy Sącz 2009, s. 211–213.

Mimo, że stryjostwo traktowało sieroty tak jak swoje dzieci, to jednak po latach, z goryczą, tak Bronisław wspomni swoje dzieciństwo: „...pasieniem krów, pracą na gospodarstwie i odrobkami zarabialiśmy (wraz z siostrą Walerią, U.D) na ciężki, sierocy chleb”⁶.

W 1917 roku rozpoczyna Bronisław naukę w „szkole ludowej 1 klasowej” w Obidzy⁷. Z zachowanego jedynego „zawiadomienia szkolnego”⁸ datowanego na 28 marca 1918 roku, dowiadujemy się, że w pierwszym roku nauki Bronisława jego „zachowanie się” uznano za „chwalebne”, zaś „pilność” za „wytrwałą”, a w „poszczególnych przedmiotach naukowych”, a to w nauce religii, w czytaniu, pisanii, w języku polski, w rachunkach połączonych z nauką o formach geometrycznych, uzyskał postęp „bardzo dobry”⁹. Naukę w szkole powszechnej kończy w 1924 roku¹⁰.

Z chwilą osiągnięcia przez Bronisława pełnoletności, stryj Jan przenosi się „na swoje”, utrzymując z bratankiem i bratanicą serdeczne więzi do końca swoich dni. Bronisław zaś obejmuje ojcowiznę, do czasu założenia własnej rodziny, gospodaruje na niej wspólnie z siostrą, Walerią. Stopniowo zaczyna uczestniczyć w życiu społecznym wioski. Korzystając z sąsiedztwa szkoły, wokół której koncentruje się życie społeczno-kulturalne wsi i młodzieży, włącza się w działalność miejscowego koła Małopolskiego Związku Młodzieży Ludowej, zwanego Kołami Młodzieży Ludowej, i działającego pod jego auspicjami kółka teatralnego. Dużo czyta korzystając z biblioteki koła Towarzystwa Szkół Ludowych, prenumeruje gazety. W latach 1935–1937 uczęszcza na kursy wieczorowe oświaty pozaszkolnej, organizowane przy publicznej szkole powszechnej stopnia drugiego w Obidzy, których program w zakresie języka polskiego i arytmetyki,

⁶ AR. Życiorys datowany: Obidza, 22 lutego 1973 r. Trzystronicowy maszynopis podpisany czytelnie przez Bronisława Słowika, s. 1. Dalej: Życiorys.

⁷ W Galicji szkolnictwo powszechne (podstawowe) obejmowało: 1. Szkoły ludowe pospolite 1,2,3 i 4 – klasowe według zasady: ilu nauczycieli, tyle klas. 2. Szkoły wydzielone na podbudowie 4 klas szkoły ludowej pospolitej. 3. Obowiązkowe kursy nauki dopełniające – 3 – letnie – dla absolwentów szkoły ludowej, jeżeli nie uczyli się w innych szkołach. Obowiązek uczęszczania do szkoły zaczynał się z ukończeniem szóstego roku życia i trwał lat siedem w miastach, w których założono szkołę wydzieloną, w pozostałych miejscowościach przez lat sześć. Art 1 galicyjskiej ustawy krajowej tak określał zadania szkół ludowych: „Szkoły ludowe pospolite, podając wiadomości ludziom wszelkiego stanu najpotrzebniejsze urządzone będą tak, ażeby dzieci czerpały z nauki oświecenie o zasadach religijnych i moralnych, o obowiązkach obywatelskich, tudzież o zadaniach i warunkach zawodu, jakiemu się według okoliczności miejsca i stanu prawdopodobnie poświęcą (...)”. Zob. szerzej *Ustawa z dnia 23 maja 1985 roku o zakładaniu i urządzaniu publicznych szkół ludowych i obowiązku posyłania do nich dzieci*. Dziennik Ustaw i Rozporządzeń Krajowych dla Królestwa Galicji i Lodomerii wraz z Wielkim Księstwem Krakowskim nr 57/. Także: M. Pęcherski, M. Świątek *Organizacja oświaty w Polsce w latach 1917–1969. Podstawowe akty prawne*. Warszawa 1972, wyd II, s. 16-17.

⁸ Ówczesna nazwa późniejszego świadectwa szkolnego.

⁹ Ówczesna skala ocen: zachowanie się: chwalebne, zadowalające, odpowiednie, mniej odpowiednie, nieodpowiednie; pilności: wytrwała, zadowalająca, dostateczna, niejednostajna, mała; postępu: bardzo dobry, dobry, dostateczny, mierny, niedostateczny; porządku zewnętrznego ćwiczeń piśmiennych (kaligrafii – U. D.): bardzo staranny, staranny, mniej staranny, niestaranny, niedbały. AR. Zawiadomienia szkolne.

¹⁰ Wyniki, jakie w czasie nauki w szkole powszechnej uzyskiwał, sprawiły, że nauczyciel Zbozień (Franciszek – U. D.) usilnie namawiał opiekunów do dalszego kształcenia zdolnego i pilnego ucznia. Pojawiła się nawet sugestia, aby na pokrycie kosztów dalszej nauki przeznaczyć fundusze uzyskane z ewentualnej sprzedaży przypadającej na Bronisława części ojcowizny. Sprzeciw babki (po kądzieli), niepewnej wyniku dalszego kształcenia i obawiającej się utraty przez wnuka skromnych, ale pewnych podstaw dalszego bytu sprawił, że pomysł dalszego kształcenia upadł. Nieautoryzowana informacja Honoraty Słowik (1920–2008), żony Bronisława.

odpowiadała programowi publicznej szkoły powszechnej nowego typu¹¹. Uczestniczy w zebraniach wiejskich, coraz śmielej zabiera głos w sprawach wsi, zyskując powolnie i stopniowo dzięki swoim poglądom, radom i propozycjom wybiegającym poza wiejskie opłotki, posłuch i autorytet.

Zakłada rodzinę. W 1938 roku w parafialnym kościele pod wezwaniem Narodzenia Najświętszej Marii Panny w Jazowsku, bierze ślub z Honoratą Tomasiak (10.01.1920–11.09.2008), córką miejscowego robotnika leśnego i gajowego, Michała i Salomei.



Honorata Słowik (z domu Tomasiak)

Utrzymuje rodzinę z tego, co daje połowa odziedziczonego gospodarstwa rolnego, pracuje także dorywczo jako robotnik leśny, woźnica transportujący drewno z lasów na skład przez Dunajec. W latach 1939–1946 prowadzi miejscową mleczarnię. W okresie okupacji niemieckiej współpracuje, podobnie jak rzesze mieszkańców Obidzy, z licznie kwaterującymi po obidzkich lasach i przysiółkach oddziałami partyzanckimi, głębszą sympatią wyróżniając oddziały Batalionów Chłopskich. Współpraca ta nie miała jednak charakteru instytucjonalnego, nie był zaprzysiężony, nie miał przydziału do konkretnego oddziału¹².

Zachodzące po 1945 roku przemiany, wciągnęły Go w wir społecznej działalności, która na wiele lat stała się jego pasją. Cieszy się zaufaniem wsi, inicjuje i organizuje czyny społeczne, prowadzi zebrania wiejskie, uczestniczy w realizacji ważnych powojennych wydarzeń politycznych, społecznych, oświatowych. W 1948 roku zostaje wybrany sołtysiem wsi Obidza, funkcję tę sprawuje do 1951 roku. Na wniosek Gminnej Rady Narodowej w Łącku, po odbyciu odpowiedniego szkolenia, zostaje gromadzkim przodownikiem weterynaryjnym. Jest to funkcja społeczna, a zadaniem przodownika jest udzielanie pierwszej pomocy weterynaryjnej¹³.

W 1951 roku podejmuje pracę w wydziale Rolnictwa Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Nowym Sączu jako instruktor użytkowości zwierząt. Pieszo, na rowerze, środkami komunikacji publicznej, okazijnymi samochodami przemierzał wyznaczone tereny powiatu nowosądeckiego, odwiedzał hodowle zarodowego bydła, pobierał próbki mleka, dokonywał określonych analiz, przekazywał uzyskane wyniki. W związku z pracą pojawia się potrzeba zdobycia wykształcenia średniego. Podejmuje naukę w Technikum Rolniczym w Nawojowej. Jednak terenowy charakter pracy instruktora użytkowości zwierząt i złe warunki komunikacyjne, konieczność prowadzenia własne-

¹¹ AR. Zaświadczenie nr 131/36 z nr 151/37. szerzej zob.: Ustawa z dnia 11 marca 1932 roku o ustroju szkolnictwa Dz. U. z 1932 r nr 38, poz. 389. Także: *Łącko i gmina...* s. 208.

¹² Szerzej o okupacyjnej konspiracji i ruchu oporu w Obidzy i okolicy zobacz: J. Bieniek, *Łącko...*; tenże: *Wojсковy ruch oporu w Sądecczyźnie. Część I „Rocznik Sądecki”*, tom XII 1971 roku, s. 305 – 371; część II „Rocznik Sądecki”, tom XIII z 1972 roku, s. 221 – 253; część III „Rocznik Sądecki” tom XIV z 1973 roku, s. 353 – 479. Także *Łącko i gmina...* s. 233-258.

¹³ Zob. szerzej: *Okólnik nr 42 Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych z dnia 23 października 1948 roku w sprawie gromadzkich przodowników weterynaryjnych* Monitor Polski nr 17 – 79 z 1948 roku, poz. 709.

go gospodarstwa, pogorszenie się stanu zdrowia, nie pozwoliły łączyć pracy zawodowej z nauką, którą przerywa.

Ambicję i potrzebę podnoszenia i uzupełnienia wiedzy ogólnej i zawodowej mógł realizować tylko w drodze samokształcenia, i powszechnego w tych czasach systemu kształcenia kursowego. W 1952 roku kończy z wynikiem dobrym zorganizowany w Będlewie, w województwie poznańskim przez Centralny Zarząd Szkolenia Kadr Ministerstwa Rolnictwa, kurs kontroli użytkowości zwierząt, i uzyskuje kwalifikacje instruktora kontroli użytkowości zwierząt¹⁴. W 1955 roku uczestniczy w kursie dla członków prezydiów gromadzkich rad narodowych¹⁵. Rok 1958 to uczestnictwo w 3 – miesięcznym kursie administracyjnym w Krakowie. Kurs ten, na program którego składały się podstawowe wiadomości z prawa państwowego, cywilnego, administracyjnego, pracy i ubezpieczeń społecznych, karnego, finansowego, a także planowania i statystyki, ekonomiki rolnej i księgowości budżetowej oraz organizacji i techniki pracy biurowej, zakończony egzaminem z wynikiem dobrym przed Państwową Komisją Egzaminacyjną, dawał uprawnienia do zajmowania stanowiska sekretarza gromadzkiego¹⁶. W 1968 roku kończy – po złożeniu kolokwium z wynikiem pozytywnym – szkolenie kursowe stopnia II przeznaczone dla pracowników biur gromadzkich zajmujących się finansami¹⁷.

Na przełomie lat 1954/1955 następuje reforma podziału administracyjnego kraju, i powstają gromadskie rady narodowe jako terenowe oddziały władzy państwowej, i najmniejsze jednostki podziału administracyjnego Polski¹⁸. Z dniem 1 stycznia 1955 roku utworzono Gromadzką Radę Narodową w Obidzy. Na jej sekretarza powołano Bronisława Słowika, który jednocześnie zrezygnował z pracy w Wydziale Rolnictwa PPRN w Nowym Sączu.

Gromadzka Rada Narodowa w Obidzy działała do 1961 roku. Z dniem 1 stycznia 1961 została zlikwidowana, a wieś włączona w strukturę Gromadzkiej Rady Narodowej w Jazowsku¹⁹. Bronisław Słowik, z powodów rodzinnych, nie skorzystał z propozycji objęcia funkcji sekretarza w jednej z gromadzkich rad na terenie powiatu nowosądeckiego²⁰ i rozpoczyna pracę w biurze Gromadzkiej Rady Narodowej w Jazowsku, jako główny księgowy²¹. Kolejna reorganizacja administracji państwowej przyniosła

¹⁴ AR. Zaświadczenie nr 22/52 sygnowane pieczęcią okrągłą Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Poznaniu. Dalej PWRN.

¹⁵ AR. Zaświadczenie nr 22/ III/55 sygnowane pieczęcią okrągłą PWRN w Krakowie.

¹⁶ AR. Świadectwo nr 44 sygnowane pieczęcią okrągłą PWRN w Krakowie. Szerzej zob.: Zarządzenie nr 46 Prezesa Rady Ministrów z dnia 10 marca 1958 roku w sprawie egzaminów dla kandydatów na sekretarzy gromadzkich (M.P. nr 23 z 1958 roku, poz. 137).

¹⁷ AR. Zaświadczenie nr O. Sz – 1/12/68 sygnowane pieczęcią Ośrodka Szkoleniowego PWRN w Krakowie.

¹⁸ Ustawa z dnia 25 września 1954 roku o reformie podziału administracyjnego wsi i powołaniu gromadzkich rad narodowych. (Dz. U. nr 43 z 1954 roku, poz. 191). Zob. także: S. Fiałek *Rozwój gospodarczy powiatu nowosądeckiego w latach 1945–1965*. „Rocznika sądecki”, tom VII, Nowy Sącz 1966, s. 115–116.

¹⁹ S. Fiałek, op. cit. s. 116. Także: *Łącko i gmina...* s. 282.

²⁰ Życiorys, s. 1.

²¹ AR. Opinia o pracy ob. Bronisława Słowika. Maszynopis datowany. Łącko dnia 22 lutego 1973, sygnowany pieczęcią Urzędu Gminy, pieczęcią imienną i podpisem Naczelnika Gminy Stanisława Baziaka, s. 1. Dalej opinia o pracy. Także: Życiorys s. 1.

z dniem 1 stycznia 1973 roku likwidację gromadzkich rad i powrót gmin do podstawowych jednostek administracyjno – gospodarczych na terenach wiejskich, oraz naczelników gmin jako organów administracji państwowej w gminie²². Gromadzka Rada Narodowa w Jazowsku ulega likwidacji, tworzące ją wioski wchodzi w skład gminy Łącko, Bronisław Słowik przechodzi do pracy w Urzędzie Gminy Łącko na stanowisko referenta ds. handlu, przemysłu i usług i kasjera²³.

Codziennie dojazdy z Obidzy, gdzie mieszkał, do pracy w Urzędzie Gminy, były nie lada wyzwaniem logistycznym, któremu może mógłby podołać człowiek młody, a nie zbliżający się do emerytury. Aby zdążyć do Łącka na godzinę ósmą musiał pokonać pieszo, czasem rowerem, bez względu na pogodę, 4 km do przystanku PKS w Jazowsku, a stąd autobusem do Łącka. Godziny kursowania autobusu nie były dostosowane do godzin pracy Urzędu, często autobus mając komplet pasażerów nie zatrzymywał się na przystankach, korzystanie z „okazyjnych” środków transportu nie zawsze było możliwe. Sytuacja powtarzała się w czasie powrotu z pracy do domu.

Uciążliwości związane z dojazdem do pracy, a także pogarszające się zdrowie sprawiły, że Bronisław Słowik, mimo satysfakcjonujących wyników pracy a także doskonałej opinii przełożonych, korzysta z przepisów o specjalnej emeryturze dla pracowników byłych gromadzkich rad narodowych, i z końcem 1973 roku przechodzi na emeryturę²⁴.

Ostatni przełożony Bronisława Słowika, Naczelnik Gminy Łącko Stanisław Baziakwystawia Mu następującą opinię zawodową: „...pracę w administracji rozpoczął w 1951 roku. W czasie swej długoletniej pracy (...)dał się poznać jako dobry, sumienny i starannie wykonujący swe obowiązki pracownik, co potwierdziły dokonywane przez instytucje nadrzędne kontrole. (...)cieszył się uznaniem środowiska i zwierzchników, był wielokrotnie wyróżniony (...) jest znanym i cenionym na terenie gminy Łącko działaczem społecznym, umiejętnie godzi pracę zawodową ze społeczną działalnością, pełniąc różne społeczne funkcje (...)”²⁵.

Rzeczywiście! Bronisław Słowik był znany i ceniony w społeczności gminy Łącko, a szczególnie rodzinnej wsi, Obidzy. Darzono Go szacunkiem, cieszył się niekwestionowanym autorytetem. Nigdy nie był członkiem żadnej partii politycznej, mimo, że – z uwagi na swoją społeczną pozycję w środowisku, niejednokrotnie, szczególnie ze strony PZPR był przedmiotem uciążliwej politycznej agitacji i mamienia perspektywami kariery. Swoimi nieformalnymi politycznymi sympatiami obdarzał partie chłopskie, zaś zaspokojenie swojego politycznego i społecznego temperamentu, społecznikowskiej żyłki, znajdował w społecznej działalności.

Pierwsze kroki na społecznej niwie, wzorując się na stryju Janie, znanym działaczu samorządowym, a nawet politycznym, stawia jeszcze przed wojną, działając

²² Ustawa z dnia 29 listopada 1972 roku o utworzeniu gmin i zmianie ustawy o radach narodowych (Dz. U. nr 49 z 1972 roku, poz. 312).

²³ Życiorys, s. 2; Opinia o pracy, s. 2-3.

²⁴ Tamże.

²⁵ Opinia o pracy, s. 3.

w miejscowym kole Małopolskiego Związku Młodzieży Ludowej²⁶. Po wojnie jako sołtys, rozsądną działalnością, uczciwością, pożytecznymi dla wsi inicjatywami, powoli zdobywa zaufanie i szacunek wsi. Dużo czyta, zarówno literaturę fachową, jak i piękną.

Samokształcenie, udział w różnych kursach, szkoleniach, praca w „powiecie”, umiejętność słuchania, „obracanie się” wśród ludzi wykształconych, reprezentujących wysoki poziom wiedzy, umiejętność bystrej obserwacji i wyciągania trafnych wniosków, daje Mu wiedzę o otaczającej rzeczywistości społecznej, dokonujących się w niej przemianach, ich konsekwencjach dla ludzi, zagrożeniach i możliwościach ich uniknięcia. Uczciwość, poświęcenie dla ojcowizny i rodziny, chłopska nieufność i ostrożność sprawiają, że nie rzucił się, mimo możliwości, pokus i propozycji – na szerokie wody politycznej, czy też partyjnej działalności, ale pozostał sobą; zamiłowanym gospodarzem i rolnikiem, ojcem rodziny, wiejskim działaczem, sprawnym, profesjonalnym urzędnikiem, życzliwym sąsiadem, który potrafi bezinteresownie pomóc, trafnie doradzić, napisać prośbę lub podanie do urzędu, a nawet podjąć się skutecznej mediacji w sąsiedzkim sporze. To rodzi szacunek i autorytet.

A koniec lat czterdziestych i lata pięćdziesiąte ubiegłego wieku to ciężkie czasy dla Obidzy. Wieś jest jedną z najuboższych w gminie. Wielodzietne rodziny utrzymują się z rolnictwa, czasem z sezonowej pracy w lesie, zbiórki runa leśnego. Nieurodzajna rola daje niewielkie plony, niewystarczające czasem nawet na zaspokojenie podstawowych (mleko, mąka, ziemniaki) potrzeb. Brak sklepu, najbliższy lekarz w odległości 15 km, droga ledwo przejezdna, gruntowa i kamienista, przeprawa przez Dunajec do gościńca promem lub przez bród. Sytuację pogarszają ciężary nałożone na chłopów, szarwarki²⁷, wysokie, nie uwzględniające specyfiki wsi opłaty, podatki gruntowe i obowiązkowe dostawy płodów rolnych²⁸.

Bronisław Słowik – sołtys, urzędnik w powiecie, w biurze gromadzkiej i gminnej rady, członek rad nadzorczych gminnej spółdzielczości i spółdzielni oszczędnościowo – pożyczkowej (potocznie zwanej kasą gminną) – doradza w różnych sprawach, pomaga pisać prośby i podania do różnych instytucji i urzędów²⁹, a to o odroczenie

²⁶ Zob. przypis 5, Także J. Potoczek *Nowosądecki ruch ludowy 1918–1939*. „Rocznik sądecki”, tom XV/XVI, Nowy Sącz 1974–1977, s. 236.

²⁷ Świadczenie ludności wiejskiej na cele publiczne, głównie na budowę i utrzymanie dróg wiejskich. Zniesiony w 1958 roku.

²⁸ Obowiązkowe dostawy to skup przez państwo płodów rolnych (zboża, ziemniaki, mleko, żywiec) polegający na ustawowym obowiązku dostarczania ich przez chłopów w wyznaczonych terminach, asortymentach i ilościach w zależności od arealu użytków rolnych. Ceny płacone przez państwo były znacznie niższe niż rynkowe, wymiar obowiązkowych dostaw był progresywny w stosunku do wielkości gospodarstwa rolnego. Nie wywiązanie się z obowiązku dostaw było zagrożone karą grzywny, aresztu, a nawet więzienia. Obowiązkowe dostawy zniesiono całkowicie w styczniu 1972 roku. Zob. m.in.: Dekret PKWN z dnia 18 sierpnia 1944 roku o wojennych świadczeniach rzeczowych – obowiązkowych dostawach zbóż i ziemniaków dla państwa (Dz. U. nr 3 z 1944 r. poz. 9); Dekret z dnia 23 lipca 1951 roku o planowym skupie zbóż (Dz. U. nr 39 z 1951, poz. 297); Wymiar obowiązkowych dostaw dla Obidzy na rok 1945 wynosił 1850 kg zbóż chlebowych i 2500 kg owsa, zaś na 1951 rok 1862 kg zboża. Za: *Łącko i gmina...* s. 326–327.

²⁹ Wspomina syn, Józef: „Pamiętam, że w latach 1951–1960 do Ojca – najczęściej w niedzielę, a w dni powszednie o zmierzchu – przychodzili mieszkańcy wsi, aby napisał im podanie. Ojciec dyktował, zaś podanie często przy lampie naftowej pisała siostra Bronisława, uczennica starszych klas szkoły podstawowej i liceum pedagogicznego, później ja i kolejno młodsze rodzeństwo. Dyktując Ojciec zwracał uwagę na układ graficzny podania, czuwał nad ortografią. Podania te cechował poprawny język, logiczny tok wyводу, różnorodność argumentów. Rocznie pisaliśmy 50 – 60 takich podań”.

terminu zapłaty raty podatku gruntowego lub obniżenie wymiaru obowiązkowych dostaw produktów rolnych, niemożliwych do uzyskania w trudnych warunkach obdzkich gospodarstw – np. mleka, żywca wieprzowego na inne, czy też przydział deficytowych towarów np. budowlanych, lub udzielenie pożyczki z „kasy gminnej”. Aktywnie uczestniczy w życiu wsi, jest jednym z głównych inicjatorów budowy stałego mostu na Dunajcu³⁰, domu gromadzkiego³¹, budynku szkoły podstawowej nr 2³², założenia w Obidzy w 1954 roku Ochotniczej Straży Pożarnej, w której Zarządzie przez 20 lat był sekretarzem³³. Działa w Komitecie Rodzicielskim Szkoły Podstawowej nr 1, w Komitecie sklepowym nadzorującym w latach czterdziestych ubiegłego wieku sprawiedliwy rozdział deficytowych towarów³⁴. Jest członkiem Zarządu Kółka Rolniczego w Jazowsku, Rady Nadzorczej Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska i spółdzielni Oszczędnościowo – Pożyczkowej w Łącku, oraz członkiem komisji rewizyjnych tych instytucji. Znajduje czas na pełnienie społecznych funkcji ławnika i inspektora (kuratora) ds. nieletnich Sadu Rejonowego w Nowym Sączu. Mimo ogromnej wartości w Obidzy, każdego skrawka ziemi, nie waha się przekazać bezpłatnie kawałka ziemi pod budowę remizy OSP³⁵, oraz przebudowę drogi wiejskiej³⁶.

Pomny tragicznych i smutnych okoliczności swojego dzieciństwa, rodzinę, i jej sprawy, uznawał za wartość najwyższą. Wraz z żoną Honoratą wychował pięcioro dzieci³⁷. Za ważną metodę wychowawczą uważał wychowanie przez pracę, oczywiście stosownie do wieku i możliwości dzieci. Wpajał im szacunek dla innych, poszanowanie prawa, uczciwość, obronę słabszych, troskę własną godność i godność rodziny³⁸, patriotyzm rozumiany jako bezinteresowną miłość i pracę na miarę swoich możliwości dla ojczyzny tej najbliższej, wioski, gminy i tej wielkiej i świętej, Polski, bez względu na to, jaka ona jest.

Sam pozbawiony możliwości kształcenia ogromną wagę przywiązywał do dalszej nauki dzieci, zapewniając wszystkim średnie wykształcenie, co w latach 1952–1957 i warunkach Obidzy, nie było łatwe i powszechne³⁹.

Był dumny z osiągnięć, kariery zawodowej i społecznej pozycji dzieci. W napisanym w 1972 roku, na potrzeby urzędowe życiorysie, zaznacza z dumą i pewną

³⁰ *Łącko i gmina...*, s. 301; także: G. Olszewski, *O Brzynie, Łazach Brzyńskich i Obidzy, czyli o południowym rejonie gminy Łącko*. „Almanach Łącki” nr 13, rok 2010, s. 7.

³¹ Wybudowany głównie nakładem społecznym mieszkańców Obidzy, przy udziale Gminnej Spółdzielni w Łącku drewniany budynek w centrum wsi, w którym mieścił się sklep wielobranżowy GS, biura Gromadzkiej Rady Narodowej (później sale lekcyjne szkoły nr 1, biblioteka gromadzka), mieszkanie rodzinne dla kierownika sklepu, kancelaria sołtysa, kawalerka dla nauczyciela miejscowej szkoły.

³² U. Dara, J. Słowik, op. cit. s. 53. Także: *Łącko i gmina...* s. 422. Dalej OSP.

³³ G. Olszewski *Jazowsko...* s. 182.

³⁴ *Łącko i gmina...* s. 296.

³⁵ G. Olszewski *Jazowsko...* s. 182.

³⁶ AR. Pismo Powiatowego Zarządu Dróg Lokalnych z dnia 4.02. 1972 roku nr: PZDL – VI – 220/171.

³⁷ Bronisława or. 1938, Józef ur. 1943, Zofia ur. 1946, Stanisława ur. 1949, Henryk ur. 1953.

³⁸ Wspomina syn, Józef. „często Ojciec napominał nas: żebyś mi wstydu nie przyniósł”.

³⁹ W latach 1945–1957 spośród absolwentów szkoły podstawowej w Obidzy dalszą naukę podjęło 7 osób, w tym także dwoje dzieci Bronisława Słowika. Zob. także *Łącko i gmina...* s. 439. uchwałą rady Państwa z dnia 19 kwietnia 1989 roku małżonkowie Bronisław i Honorata zostali odznaczeni Medalem „Za długoletnie pożycie małżeńskie”. AR. Legitymacja nr 846 – 89–194 i nr 846 – 89–193.



Rodzina, 1950 r.

dozą chępliwości: „córki Bronisława i Stanisława ukończyły liceum pedagogiczne, później (...) studium nauczycielskie i pracują jako nauczycielki (...), syn Józef po ukończeniu liceum pedagogicznego i odbyciu służby wojskowej w wojskach powietrzno – desantowych, ukończył Wyższą Szkołę Pedagogiczną w Krakowie, i pracuje jako wizytator w Wydziale Oświaty w Nowym Sączu, córka Zofia pracuje jako pracownik umysłowy (...), a syn Henryk uczęszcza do klasy czwartej technikum budowlanego”⁴⁰.

Spółeczna i zawodowa działalność oraz praca Bronisława Słowika, spotykała się nie tylko z społecznym szacunkiem i uznaniem środowiska, ale zyskała również uznanie władz i instytucji nadrzędnych. Był wielokrotnie nagradzany nagrodami pieniężnymi, wyróżniany dyplomami i listami pochwalnymi, a także odznaczany odznakami i odznaczeniami organizacyjnymi, resortowymi i państwowymi. Chłubił się między innymi: Złotą Odznaką „Za zasługi dla rozwoju Łącka”⁴¹, Złotą Odznaką „Zasłużony w rozwoju Sądeckizyny”⁴², dwukrotną Złotą Odznaką „Za zasługi dla województwa nowosądeckiego”⁴³, dwukrotną odznaką „Zasłużony działacz ruchu spółdzielczego”⁴⁴, odznaką honorową „Zasłużony pracownik rady narodowej”⁴⁵, „Złotym meda-

⁴⁰ Życiorys, s. 2.

⁴¹ AR. Legitymacja nr 100/74.

⁴² AR. Legitymacja nr 1082.

⁴³ AR. Legitymacja nr 2726 – 10 – 81 i nr 5757 – 242-88.

⁴⁴ AR. Legitymacja nr op – 359/64 i nr R/274/71.

⁴⁵ AR. Legitymacja nr 6624.

lem za zasługi dla pożarnictwa”⁴⁶, „Srebrnym Krzyżem Zasługi”⁴⁷, „Złotym Krzyżem Zasługi”⁴⁸ i „Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski”⁴⁹.

Sterany życiem zmarł 19 sierpnia 1992 roku⁵⁰. Eksportację prowadził ksiądz Antoni Gieroń, proboszcz parafii p. w. Trójcy Świętej w Obidzy, w asyście pocztów sztandarowych OSP z Obidzy, Jazowska i Łącka⁵¹, członków straży pożarnej w Obidzy oraz delegacji Urzędu Gminy w Łącku. Spoczął na miejscowym cmentarzu.



Pogrzeb Bronisława Słowika. Poczty sztandarowe OSP

Pogrzeb, który zgromadził rzesze mieszkańców Obidzy, a nawet sąsiednich wiosek, stał się swoistą manifestacją uznania zasług i hołdem oddanym tej skromnej i prawej, wyrastającej ponad wiejskie opłotki i wybijającej się ponad wioskową przeciętność – nietuzinkowej Postaci.

⁴⁶ AR. Legitymacja nr 75/25/z/85.

⁴⁷ AR. Legitymacja nr 973 – 73-44.

⁴⁸ AR. Legitymacja nr 979 – 79-40.

⁴⁹ AR. Legitymacja nr 1814 – 88-19. Bronisław Słowik jest pierwszym rodowitym „obidzakiem” wyróżnionym tak wysokim odznaczeniem. Por. U. Dara, J. Słowik, op. cit. s. 54.

⁵⁰ AR. Odpis skrócony aktu zgonu nr 606/92 z 20 sierpnia 1992 roku.

⁵¹ G. Olszewski *Jazowsko...* s. 182.

Nadanie imienia śp. gen. Stanisława Czepielika

„Z Ziemi Sąddeckiej nad Bałtyk”

W Almanachu Łackim nr 16 z 2012 roku, wspominaliśmy postać zmarłego w listopadzie 2011 roku, syna Ziemi Łackiej – generała Stanisława Czepielika¹, żołnierza-prze-



ciwlotnika. W czerwcu 2013 r. na Centralnym Poligonie Sił Powietrznych w Ustce uczczono pamięć o generale – mentorze i nauczycielu wielu byłych i obecnie służących w Wojsku Polskim żołnierzy. Wyrazem uznania zasług i dokonań generała brygady Stanisława Czepielika, jednemu ze stanowisk ognio-

wych uroczyscie nadano jego imię – „Plac generała Stanisława Czepielika”. Uchwałę w sprawie nadania tej nazwy podjęła Rada Gminy Postomino, na której terenie znajduje się poligon.

Na uroczystość nadania imienia generała Czepielika jednemu z placów na poligonie w Ustce, przygotowaną przez Szefostwo Wojsk Obrony Przeciwlotniczej Wojsk Lądowych, przybyły liczne delegacje kolegów, przyjaciół i podwładnych generała. Przede wszystkim pomysłodawcy i współorganizatorzy tych uroczystości członkowie Koła nr 36 Związku Byłych Żołnierzy Zawodowych i Oficerów Rezerwy w Warszawie na czele z prezesem Koła pułkownikiem w st. sp. Andrzejem Szerszyńskim. Dużą grupę stanowili byli żołnierze zawodowi, przeciwnicy oraz absolwenci Oficerskiej Szkoły Przeciwlotniczej w Koszalinie z 1966 roku.

Wstępem do uroczystości było sympozjum pt. „Życie i praca gen. bryg. dr. Stanisława Czepielika”, zorganizowane w Sali Zamkowej Centrum Szkolenia Marynarki Wojennej w Ustce. W sympozjum oprócz rodziny i gości, wzięli udział m. in. szef szkolenia Wojsk Lądowych, generał brygady Andrzej Danielewski, były pierwszy dowódca Wojsk Lądowych, generał broni w st. sp. Zbigniew Zalewski, były komendant Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Obrony Przeciwlotniczej, generał brygady w st. sp. Witold Niedek, a także liczne grono generałów, oficerów i żołnierzy – przeciwni-

¹ Zob. Almanach Łącki nr 16, S. Myjak – „Generał brygady dr Stanisław Czepielik (1943–2011)”, Wydawnictwo historyczno- kulturalno- społeczne TMZŁ, 2012 rok, s. 72.

ków, przebywających na zgrupowaniu poligonowym. Ogółem w symposium wzięło udział blisko 100 osób.

Symposium otworzył obecny szef Wojsk Obrony Przeciwlotniczej Wojsk Lądowych, pułkownik Jerzy Pałubiak, który przypomniał drogę życiową i dokonania w służbie generała Stanisława Czepielika. Następnie głos zabierali: pułkownik w st. sp. Andrzej Szerszyński, prezes koła nr 36 ZZWP, pułkownik Mirosław Szwed, dowódca 4 Zielonogórskiego Pułku Przeciwlotniczego, pułkownik w st. sp. Zdzisław Kostrzewa, były zastępca szefa Wojsk Obrony Przeciwlotniczej Wojsk Lądowych, pułkownik w st. sp. Kazimierz Podraza, były zastępca komendanta Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Obrony Przeciwlotniczej w Koszalinie oraz generał brygady w st. sp. Andrzej Lewan-



dowski, były szef Wojsk Obrony Przeciwlotniczej Wojsk Lądowych, a obecnie zastępca prezesa Klubu Generałów Wojska Polskiego.

Wszyscy występujący wspominali wspólną drogę służbową pełnioną z generałem Stanisławem Czepielikiem, oraz jego wybitne osiągnięcia i dokonania w czasie jego długoletniej pracy i służby wojskowej w Wojskach

Obrony Przeciwlotniczej. Akcentowali też, że inicjatywa nadania placu jego imienia jest skierowana do obecnie służących w WOPL oraz przyszłych pokoleń, a także w stosunku do rodziny, która również wzięła udział w uroczystości. Do Ustki przyjechała m.in. żona generała Czepielika, Danuta, syn z rodziną, a także bracia generała, Franciszek Czepielik z Woli Piskuliny i Władysław Czepielik z Czerńca.

Po zakończeniu symposium jego uczestnicy przejechali na Centralny Poligon Sił Powietrznych Ustka, na jedno z najważniejszych poligonowych stanowisk ogniowych (SO-8).

Uroczystości rozpoczęły się złożeniem meldunku szefowi szkolenia Wojsk Lądowych generałowi brygady Andrzejowi Danielewskiemu przez pułkownika Jerzego Pałubiaka, a następnie jego krótkiego wystąpienia. Po nim głos zabierali m. in. były dowódca Wojsk Lądowych generał broni w st. sp. Zbigniew Zalewski, pułkownik w st. sp. Andrzej Szerszyński, burmistrz Ustki i były komendant poligonu pułkownik w st. sp. Jan Olech i zastępca wójta gminy Postomino Adam Drapała. Wszyscy oni wspominali Zmarłego i jego dokonania w służbie wojskowej oraz wskazywali młodzieży wojskowej jako wzór do naśladowania. Po okolicznościowych przemówieniach dokonano uroczystego odsłonięcia tablicy „Plac im. gen. Stanisława Cze-

pielika”, umieszczonej w centralnym punkcie stanowiska ogniowego SO 8. Odsłonięcia tablicy dokonała żona generała Danuta, w asyście zaproszonych gości. Następnie ksiądz komandor Zygmunt Kaźmierak dokonał poświęcenia tablicy, i odmówił okolicznościową modlitwę za duszę Zmarłego. W uroczystości prowadzonej zgodnie z ceremoniałem wojskowym, uczestniczyła kompania reprezentacyjna Marynarki Wojennej RP, orkiestra Wojskowa z Centrum Szkolenia Sił Powietrznych im. Romualda Traugutta w Koszalinie, oraz dziewięć pododdziałów z 8 Koszalińskiego Pułku Przeciwlotniczego, 15 Gołdapskiego Pułku Przeciwlotniczego i 21 Brygady Strzelców Podhalańskich w Jarosławiu.

Następnie uczestnicy uroczystości udali się pod pomnik upamiętniający 10 żołnierzy, którzy zginęli 19 maja 1988 roku, w katastrofie kolejowej w Pile w drodze na poligon Ustka. Tam z udziałem asysty wojskowej złożono wiązanek kwiatów i zapalono znicze.

Po południu, na lotnisku Wicko Morskie, goście uroczystości zapoznali się z funkcjonowaniem współczesnych stanowisk dowodzenia obroną przeciwlotniczą oraz obserwowali ćwiczenia artyleryjsko – rakietowe 21. Brygady Strzelców Podhalańskich z Jarosławia.

Jak przekonywał generał Andrzej Lewandowski *„piękna sądecka ziemia powinna być dumna i w pełni usatysfakcjonowana z dokonań syna tej ziemi – generała Stanisława Czepielika, dla dobra Wojska Polskiego i naszej Ojczyzny. A wszyscy My jesteśmy dumni, że jest takie miejsce w naszym kraju, na Usteckim poligonie, nad samym brze-*





giem polskiego Bałtyku, które po wszechczasy będzie przypominało nam i następnym pokoleniom o Generale, który złotymi zgłoskami zapisał się w historii Wojsk Obrony Przeciwlotniczej”.

Bibliografia:

- gen. bryg. w st. sp. dr Andrzej Lewandowski „Nadanie imienia Placu gen. Stanisława Czepielika na Centralnym Poligonie Sił Powietrznych” (www.klubgeneralow.pl)
- mjr Michał Romańczuk „Pamięć o przeciwniku” (www.army.mil.pl)

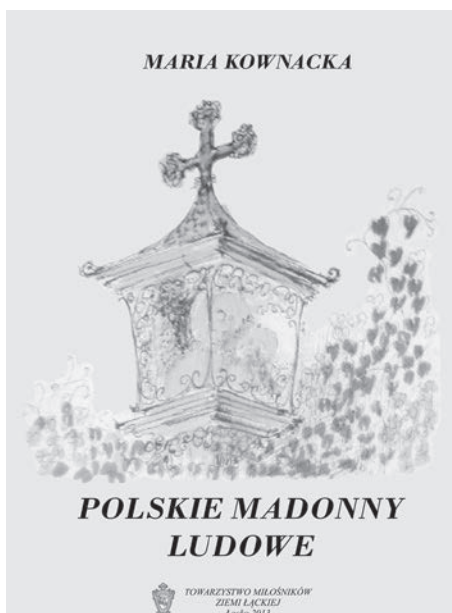
Zdjęcia:

- Joanna Czyżycka

Ostatnie dzieło Marii Kownackiej (z Czarnym Potokiem w tle)

Wypełniony testament

*Te nasze Matki Boskie
Niech żyją w przymierzu:
Wspaniałe Częstochowskie,
Góralskie w Ludźmierzu!
Te – na szkle malowane
Te – w bibułkach z przydroża
Te z drewna wystrugane,
Co strzegą łąnów zboża...*



Kilka miesięcy przed śmiercią Maria Kownacka, autorka niezapomnianego „Rogasia z doliny Roztoki” i „Plastusiowego pamiętnika”, opublikowała w formie powieściowej i w ograniczonym nakładzie minitomik wierszy „Polskie Madonny ludowe”, napisanych z potrzeby serca i budzących najczulsze skojarzenia poetyckich perełek – portretów Matki Boskiej. Schorowanej, przykutej do łóżka już wtedy pisarce, pomogła w tej skromnej edycji patriotyczna młodzież z warszawskiego Żoliborza, z koła Związku Młodzieży Demokratycznej. Był to gorący okres festiwalu solidarnościowego we wrześniu 1981 roku, a sama publikacja – ostatnie dzieło sędziwej twórczyni (miała wtedy 87 lat) – niczym nie różniła się od wszechobecnej wówczas podziemnej bibuły,

kolportowanej podczas strajków i zmagañ z ówczesną władzą.

I oto po przeszło trzydziestu latach w gronie Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej zrodziła się inicjatywa ponownego wydania tego zbiorku w formie reprintu, w twardej już okładce, opatrzonego biogramem autorki. Oryginału do druku, użyczyła prezes Towarzystwa Jadwidze Jastrzębskiej, z wielką życzliwością Ewa Urbańska, troskliwa opiekunka Izby Pamięci Marii Kownackiej w Warszawie, znajdującej się w mieszkaniu pisarki przy ul. Słowackiego na Żoliborzu. Izba jest oddziałem Mu-

zeum Książki Dziecięcej w stołecznej Bibliotece Publicznej. Wydanie tych dwudziestu wierszy wpisało się w 120. rocznicę urodzin Marii Kownackiej i związane z nią przygotowane przez TMZŁ inicjatywy i wydarzenia mające przypomnieć twórczość tej niepospolitej postaci w literaturze polskiej dla dzieci i młodzieży, mającej też liczne związki z ziemią sądecką i łąką.

Motyw maryjny, jak wiadomo, od wieków był częstą inspiracją dla artystów (malarzy, rzeźbiarzy, poetów). W wydaniu Marii Kownackiej jest to próba niezwykle udana, oryginalna i ciekawa, wyjątkowej urody i wymowy. Dodam bez przesady: nieprzemijająca.

Z Madonnami od stycznia do grudnia

W przedmowie wydawnictwa osobistymi refleksjami podzielił się zaprzyjaźniony z Marią Kownacką prof. Bolesław Faron nazywając obecną, profesjonalną już re-



Maria Kownacka z Bolesławem Faronem w Bieszczadach, wrzesień 1969

edycję „wypełnieniem niepisanego testamentu autorki” i zapraszając do literackiej i ikonograficznej podróży w ciągu roku kalendarzowego, w „rytmie słonecznego kręgu”, od stycznia do grudnia, z polskimi Madonnami wiejskimi obecnymi bądź to na obrazach w chłopskich chałupach, bądź to w przydrożnych kapliczkach, z wyjątkiem – rzecz jasna – słynnych wizerunków „Ksienii” z Jasnej Góry czy „Gaździny” z Ludźmierza. Przywrócone do obiegu czytelniczego utwory mają

dużą wartość literacką i są zarazem przewodnikiem po krajobrazach polskiej kultury, duchowej i materialnej przestrzeni maryjnej, bogatych ludowych wyobrażeniach i tęsknotach.

*Przednówek – ciężka niedola!
Tyś ciepłem cała zarzewna –
Ogrzej nam domy i pola –
O Matko Boska Ogrzewna.*

*Ogrzewna Matko Boska,
Pracy Cię czeka nie mało
Rozgrzać, przygniecione troską
Serce, co z zimna skostniało...*

Matka Boska w wierszach Kownackiej jest, tak jak od wieków dla ludu polskiego, uosobieniem radości i smutków, ideałem macierzyństwa („Karmiąca”), pociechą cierpiących („Bolesna”), towarzyszką modlitewnych trosk („Różańcowa”). To „przyjaciółka wszelkiego ziała” („Zielna”), „szafarka krynicznej, bieżącej wody” („Otworna”), opiekunka pracy rolnika („Siewna”).

„Gromniczna” (wiadomo, 2 lutego) „idzie przez śniegi, zamiecie” i „przez zasp śniegowych bezbrzezi – gromnicą świeci”. Pod „Jej pieczę szli rycerze w zapasy do Ojczyzny gotowi obrony, szli na ustach niosąc Imię Twoje – Królowo Korony Polskiej” (czcimy Ja 3 maja), z kolei „Zwycięska z Kozielska”, patronka II Korpusu Polskiego, „żołnierskimi rękami ryta w korze sosny” chroniła walczących, żegnała poległych.

*Przebierały koraliki palce utrudzone,
A stroskane, drżące usta – wciąż chwałę Madonnę.
Na bóle i troski wzywają jej łaski –
Przesuwają koraliki i szepczą „zdrowaśki”...
A Maryja, na przydrożu, te paciorki zbierze,
Poratuje tam gdzie trzeba, pożałuje szczerze...*



Bolesław Faron z Marią Kownacką nad rzeką Kamienica koło Zabrzeży, maj 1971

W Polsce kult maryjny był silnie rozwinięty już w średniowieczu, co przez niektórych wiązane jest z pierwotnym bogini panteonu słowiańskiego kultem Makoszy, znacznie ułatwiającym adaptację kultu Maryi. W 1384 r. do Częstochowy z Rusi książę Władysław Opolczyk sprowadził najbardziej znany w Polsce cudowny Matki Boskiej Częstochowskiej, dzięki czemu Jasna Góra stała się przez wieki celem pielgrzymek.

Z zabytkowego, drewnianego kościoła (zbudowanego w 1520 roku) w Krużlowej Wyżnej koło Grybowa pochodzi sławna Madonna z Dzieciątkiem, arcydzieło średniowiecznej sztuki sakralnej, charakterystyczne dla gotyku, jedno z najpiękniejszych w Europie. Oryginał rzeźby pochodzący z ok. 1410 r. i odkryty podczas podróży artystycznej w 1889 r. przez Stanisława Wyspiańskiego znajduje się od początku XX wieku w zbiorach Muzeum Narodowego w Krakowie.

Adam Mickiewicz w „Inwokacji” do „Pana Tadeusza” składa hołd trzem Madonom – Jasnogórskiej, Nowogrodzkiej i Ostrobramskiej:

*Panno święta, co Jasnej bronisz Częstochowy
I w Ostrej świecisz Bramie! Ty, co gród zamkowy
Nowogródzki ochraniasz z jego wiernym ludem!
Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem,
(Gdy od płaczącej matki pod Twoją opiekę
Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę
I zaraz mogłem pieszo do Twych świątyń progu
Iść za wrócone życie podziękować Bogu)...*



Maria Kownacka z Plastusiem

Polskie Madonny ludowe różnią się od typów stworzonych przez mistrzów takich jak Leonardo Da Vinci, Rafael, Rembrandt, van Eyck, podziwianych w Luwrach, Ermitażach, Pinakotekach i innych galeriach czy katedrach. Polska Madonna nie tylko patronuje matkom, otacza opieką dzieci. Nie tylko jest otaczana kultem jako Bogurodzica i jest podmiotem apolegetki tak charakterystycznej dla katolicyzmu i prawosławia (Maria z Nazaretu jest

też jedną z najbardziej szanowanych kobiet w islamie). W krótkim wstępie, napisanym we wrześniu 1981 r., poetka zauważa:

„Jest wzorem jak znosić z pogodą cierpienia i ciężką dolę. Ona z przydrożnej, na rozstaju kapliczki staje w obronie najbardziej uciśnionych, chroni przed klęskami żywiołowymi, pożogą i wojną”.

Czarnopotocka Matka Dobrej Rady

Czytelnikom „Almanachu Łąckiego” z pewnością nie umknie utwór „O Cudzie Matki Boskiej Czarnopotockiej Łaskami Słynącej”. Wywodzący się rodem z Czarnego Potoku prof. Bolesław Faron przypomina, że ten namalowany na desce modrzewiowej obraz (pochodzący z połowy XVII w.) Madonny tulącej Syna zdjętego z krzyża, Kownacka zobaczyła w kościele w Czarnym Potoku, podczas wizyty u Marii i Jana Rosstockich, poszukując materiałów do biografii Stanisława Wilkowicza, pioniera łąckich sadów, kierownika szkoły ludowej w Łącku w latach 1898–1927, założyciela szkółki drzewek owocowych.

„Cud” w wierszu Kownackiej polega na natchnieniu – za sprawą Matki Boskiej Czarnopotockiej – nauczyciela Wilkowicza, by poprzez propagowanie sadownictwa wypędzić z tej okolicy wielowiekową biedę. Ambitny pedagog uznał sady jako „pomoc naukową” dla nauczania przyrody i... ekonomii. Za dobre stopnie w szkole

wynagradzał uczniów dziesiątkami sadzonek owocowych, doskonale rozumiejąc, że w sadownictwie tkwi klucz do przeobrażeń tutejszych wsi, do poprawy egzystencji ludności, a w konsekwencji do podniesienia poziomu oświaty.

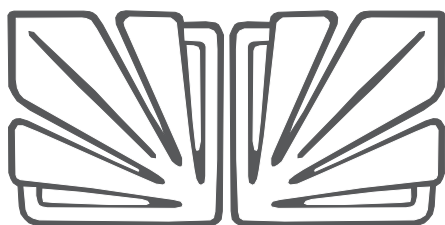
Mamy więc tu do czynienia z Matką Dobrej Rady z Czarnego Potoka i pewnie Pani Maria gdzieś tam z niebiańskich polan uśmiechała się z satysfakcją, gdy 12 września 1999 r. biskup Wiktor Skworec koronował XVII-wieczną Madonnę papieskimi koronami.

Po lekturze wierszy Kownackiej wysłuchajmy jeszcze wciąż aktualnego przesłania autorki:

„Baczmy, żeby w pochodzie postępu (jak to już raz miało miejsce przed tysiącem lat w stosunku do kultury pogańskiego) nie wytępić tego, co przez wieki stworzyła i czciła kultura Słowian”.

*

Maria Kownacka, „Polskie Madonny ludowe”, Towarzystwo Miłośników Ziemi Łąckiej, 2013. Przedmowa: Bolesław Faron, redakcja: Jadwiga Jastrzębska i Andrzej Urbaniec, korekta: Ewelina Faron, opieka graficzna: Zbigniew Muzyk, skład: wydawnictwo „Koliber” Nowy Sącz, druk: FLEXERGIS Nowy Sącz, nakład: 500 egzemplarzy.



W Łącku jesień 1967

Wychylają się z sadów
jesieni różki czerwone
jechaliśmy ulicą
Zyndrama z Maszkowic

Jechałem jakby wielmoża
w ziemi swej złotogłowiach
i tak jechać mógłbym
w tej wczesnej jesieni
lekkich szatach
do końca świata

W łąckich sadach
rozpościelone na trawie
lipca zielone latopisy
będą już
na strych chowane

W łąckich sadach
bóg Rokan
niósł swój łeb zielony
jak wierzba przyszyżony
Miał modre rękawy
krochmalone gradem

I bijąc upału
laską złotą
w pnie grusz stare
płoszył jesieni
Siedem Sióstr Wiejących
pod chmurką koziołkujących
w sukniach czerwonych

I szła
w łąckich sadach
pełną parą
jesienna zwózka
planet

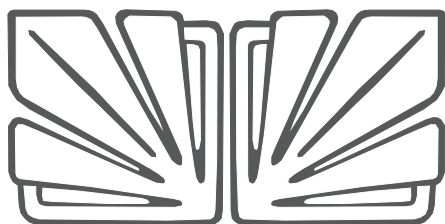
Komentarz

Jerzy Harasymowicz (1933–1999) poeta, debiutujący w 1956 roku wraz z Mironem Białoszewskim, Zbigniewem Herbertem i Bohdanem Drozdowskim. W latach sześćdziesiątych XX wieku odbył wiele podróży po Polsce południowej, Bieszczadach, Sądecczyźnie, Ziemi Limanowskiej, gromadząc materiały do tomu wierszy *Madonny polskie* (Warszawa 1969), *Madonny polskie i inne wiersze* (1974, wyd. II rozszerzone, 1977, wyd. III rozszerzone).

Podczas tych wędrówek zawitał też do Łącka. W wyniku owej wizyty powstał tekst *W Łącku jesień 1967*, który ukazał się w I wydaniu *Madonn polskich* w części nazwanej *Przypisy do Madonn*. Lekturę tego wiersza odnowiłem sobie podczas gromadzenia materiałów do *Przedmowy* do książki: Maria Kownacka *Polskie madonny ludowe*, jaka we wrześniu 2013 roku ukazała się dzięki staraniom Jadwigi Jastrzębskiej, prezesa Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej. Utwór Harasymowicza posiada wysokie walory artystyczne, operuje wyszukaną metaforą, jest mocno osadzony w naszych łąckich, sadowniczych realiach. Inne regiony, jak Bieszczady, Muszyna są dumne, że krakowski poeta poświęcił im poetyckie strofy. Z tych również powodów uznałem jako uzasadnione przypomnienie na łamach naszego pisma, iż Łącko jest również obecne na kartach poetyckich tego wybitnego pisarza.

Bolesław Faron

Czarny Potok, we wrześniu 2013 r.



Kirgistan, Tadżykistan, Turkmenistan i Uzbekistan Kościół katolicki, społeczeństwo i zwyczaje

Oficer uzbeckiej straży granicznej patrzy na mnie z zaciekawieniem:

- Czy macie przy sobie pieniądze?
- Mam pieniądze na powrót do Polski.
- Proszę pokazać.

Przelicza pieniądze i dzieli je na dwie kupki. Dzieli „sprawiedliwie”: jedną kupkę dla siebie, a drugą dla mnie. Patrzę mu prosto w oczy i powoli „jego” kupkę pieniędzy przesuwam w moją stronę. Czerwieni się:

- Wybaczcie, że u nas tak jest: dorabiamy sobie.

Stojąca obok mnie kobieta mówi cichym głosem: „Proszę mu dać drobną sumę pieniędzy”. Jest wyraźnie zadowolony i wykrzykuje: „Witamy w Uzbekistanie!”.

Kilka dni później jadę autobusem główną drogą w stronę stolicy. W pewnym momencie samochód osobowy zajeżdża nam drogę. Między kierowcą i pasażerami taksówki dochodzi do rękoczynów. Na szczęście pasażerów nie nękają. Myślę sobie z pewną dozą sarkazmu: „Witamy w Uzbekistanie”.

KIRGISTAN

Kto pragnie zobaczyć jurty w górskich dolinach, ten powinien koniecznie pojechać do Kirgistanu. W Kazachstanie można zobaczyć jurty jedynie w muzeach. Kirgizi szczycą się pięknem swoich dzikich gór i ogromnym jeziorem Issyk-Kul. **7 września 2005 roku.** Z Ałmaty do stolicy Kirgistanu Biszkeku jest około 275 kilometrów. W czasach Związku Radzieckiego miasto nosiło nazwę Frunze. Położone jest po drugiej stronie gór, które trzeba objeżdżać, gdy wyjeżdża się z Ałmaty. W prostej linii z Ałmaty do Biszkeku nie jest daleko. Nasz samochód jedzie czasami dobrą nawierzchnią z asfaltu, a czasami stepem. Kirgiscy pogranicznicy noszą na czapkach orla na tle słońca. Widząc mój paszport z kazachską wizą, zadają tylko jedno pytanie.

- Na jak długo wjeżdżacie do naszego kraju?
- Na dwa dni.

Do Kirgistanu w 2005 roku można wjechać bez wizy, ale w najbliższej przyszłości szybko tasielanka dla Polaków się skończy i zostaną wprowadzone wizy. Walutą kraju jest com. Kirgistan, to górzysty kraj pełen stad zwierząt, pasterzy i jurt. Stacjonują tu wojska rosyjskie i amerykańskie. W ten sposób rząd szuka równowagi między wpływami mocarstw. W kirgiskim więzieniu trzeba sobie wszystko samemu załatwić: łóżko, jedzenie i własny kąpiel.

Biszkek przypomina ogromną wioskę. W centrum miasta znajduje się reprezentacyjna dzielnica rządowa, a do niej przylega ogromna „wioska” składająca się najczęściej

ze zwykłych chat i niekiedy tylko utwardzonej drogi. Miasto liczy ponad pół miliona mieszkańców. Pracuje tu pięciu jezuitów i siedem sióstr franciszekanek w dwóch domach zakonnych: w Biszkeku i w Tałasie. Pracy duszpasterskiej jest tu niezbyt wiele, za to sporo jest pracy charytatywnej. Ludzie różnych wyznań wiedzą o tym i często zwracają się



Kirgistan. Centrum Biszkeku

o pomoc. Na czele tutejszego Kościoła lokalnego stoi biskup Messmer, brat zabitego jezuitę Otto. Kościół w Biszkeku jest zamknięty, ale szybko spotykamy jezuitę Paula z Indii, który pełni tu rolę attache nuncjatury. Bierze nas na obiad do sióstr franciszekanek. Odpoczywamy po 4,5 godzinach jazdy w dusznym mikrobisie. Ksiądz Paul mieszka w budynku byłej nuncjatury. Tam też przyjmuje nas na nocleg. Na herbatę z nami przychodzą inni jezuici: ksiądz Krzysztof Karolczyk i brat Damian. Ten ostatni mówi, że na południu Kirgistanu czuje się już ducha głębokiej Azji. Wierzę mu na słowo, bo nie bardzo wiem, co to oznacza. Musiałbym jechać z nim do Jalalabadu, o którym mówi z entuzjazmem. Paul mówi z dumą, że w Indiach pracuje cztery tysiące jezuitów, którzy należą do szesnastu prowincji. Największe, centralne seminarium duchowne w ich kraju liczy ponad tysiąc klery-

ków, a każda z osiemdziesięciu diecezji ma swoje własne seminarium.

W centrum miasta kosztuje okropny napój, który nazywa się „shoro (szoro)”. Być może ten mleczny napój jest zdrowy, lecz nie smakuje mi. W tutejszym muzeum znajduje się sporo rzeźb Lenina i pamiątek po rewolucji październikowej. W drewnianej trumnie widać wysuszoną mumię. Zobaczyć można jurtę i bardzo ciekawe hafty oraz kirgiskie aplikacje „kurak”. W centrum miasta znajduje się maszt z flagą państwa. Właśnie odbywa się malownicza zmiana warty. Żołnierze stylem rosyjskim podnoszą wyprostowane nogi, obute w oficerki, na wysokość pasa. Noszą zielone mundury z niebieskimi pagonami, białym pasem i żółtymi sznurami z prawego ramienia. Nieco dalej znajduje się pałac prezydencki.

Do Ałmaty wracamy z siostrami franciszkankami, które również w Kazachstanie mają dwa domy zakonne: w Ałmaty i Karagandzie. W pewnym momencie przy drodze dostrzegamy szałas i łóżko. Sprzedawca arbuźów mieszka tu chyba całe lato. Oplakany zarobek. Jadąca z nami wolontariuszka Ewa zwierza się z trudnej rozmowy z pewnym żołnierzem, który w Afganistanie zabił ośmiu powstańców: widzi ich krew, pamięta każdy moment i najdrobniejszy szczegół. Warto wsłuchać się w tego typu zwierzenia, gdyż inny jest obraz wojny w telewizji, a inny w psychice zdruzgotanego żołnierza. Nagle Ewa stawia mi pytania, na które staram się nieudolnie odpowiedzieć.

– Co mam powiedzieć temu żołnierzowi? Co ksiądz by mu powiedział?

– Niech modli się do końca życia za zabitych przez niego bojowników, niech stara się pomagać innym ludziom, niech szuka dobra i nigdy nie wątpi w miłosierdzie Boże.

TADŻYKISTAN

Tadżykistan był najbiedniejszą republiką Związku Radzieckiego. Jest to kraj zagubiony pośród wysokich gór. Nie jest łatwo znaleźć połączenie lotnicze do stolicy Tadżykistanu, Duszanbe. Można dotrzeć tam tureckimi liniami z Istambułu, albo z Moskwy, lub Monachium. Władze państwowe okresami kontrolują stolicę i jej okolice, a po wielu regionach kraju kursują uzbrojeni osobnicy, którzy żądają haraczów od przejeżdżających. W tym małym, górzystym kraju pracuje kilku kapłanów z argentyńskiego zgromadzenia zakonnego „Verbo Incarnato”. Liturgia sprawowana jest w języku rosyjskim. W Tadżykistanie są tylko trzy małe parafie.

TURKMENISTAN

W Turkmenistanie latem jest bardzo gorąco. Jeden z młodych żołnierzy w czasach Związku Radzieckiego odbywał tam służbę wojskową. Jego koledzy z powodu upału porozbierali się i później znaleźli się w szpitalu z objawami poparzenia. On posłuchał rady miejscowych i ubrał płaszcz i ciepłą czapkę. W ten sposób tworzy się „termos” wokół ludzkiego ciała i można przetrwać. Przed całodziennymi ćwiczeniami wypijał szklankę posolonej wody, bo sól zatrzymuje wilgoć w organizmie. Pancerze czołgów były tak rozgrzane, że można było na nich smażyć jajecznicę.

Jeden z biskupów, kapłani i siostra Anna, opowiadają mi o pięknym Aszchabadzie, który jest stolicą Turkmenistanu. Aszchabad oznacza w miejscowym języku – „Miasto ogrodu”. Nowoczesna stolica zbudowana jest z białego marmuru, który lśni w promieniach słońca. Jest tam więcej parków i ogrodów niż w Astanie. W Turkmenistanie pracują dwaj oblaci ze Zgromadzenia NMP. Turkmeński Kościół liczy osiemdziesięciu katolików, natomiast liczba ludności kraju wynosi cztery miliony obywateli. Parafia katolicka nie jest zarejestrowana. Atmosfera w kaplicy jest wspólna. Przełożony tutejszej misji „sui iuris”, Ksiądz Andrzej Madej, przez dwie godziny prowadzi modlitwy i dopiero po nich sprawuje Eucharystię. Jest bardzo skupiony. Ma też talent poetycki i napisał wiele wierszy. Od czasu do czasu leci samolotem do Turkmeńskiego portu – Turkmenbaszy (Krasnowodzk), aby spotkać się tam z wiernymi i sprawować dla nich Eucharystię. Islam ma tu silne wpływy. Ksiądz Andrzej działa więc w Turkmenistanie jako przedstawiciel nuncjatury w Stambule. Tylko w taki sposób może sprawować Eucharystię. Na kaplicy umieszczono rybę, symbol Chrystusa, bo nie można było umieścić na niej znaku krzyża. Ksiądz Andrzej jest bardzo sprytny w dobrym tego słowa znaczeniu. Na spotkania dyplomatów z prezydentem lub przedstawicielami miejscowej władzy, ubiera koszulę z koloratką i turkmeński strój narodowy. Kiedy wygłaszał w imieniu korpusu dyplomatycznego przemówienie

w obecności prezydenta Turkmenbaszy, to wyszukał do niego odpowiednie cytaty z Biblii i wplótł je w życzenia dla prezydenta. Ucieszony Turkmenbasza podarował mu turkmeński chałat ozdobiony złotem. Trzeba tu działać niezwykle rozważnie, bowiem protestancką świątynię zburzono, chociaż wcześniej udzielono zgody na jej budowę.

Tylko wąski pasek ziemi na południu kraju można uprawiać. Resztę obszaru pokrywa piaszczysta pustynia. Kraj jest większy od Polski, lecz słabo zaludniony. Turkmenistan stara się dobrze zaprezentować swoje osiągnięcia przed obcokrajowcami. Kilka lat temu odbył się w Turkmenistanie Międzynarodowy Festiwal Zespołów Młodzieżowych. Oglądam telewizję turkmeńską. Sporo w niej kultu prezydenta Turkmenbaszy. Prezydent buduje szkoły, mosty, otwiera nowe szpitale, dwoi się i troi, bo czeka na niego już budowa nowej drogi i nowego zakładu pracy. Tyle plonów trzeba też zebrać w odpowiednim czasie. Zwyczajni ludzie pojawiają się jedynie po to, aby okłaskiwać dzielnego prezydenta i składać mu życzenia, aby jak najdłużej przewodził Turkmenom. Wiadomości przeplatane są muzyką i pięknymi tańcami. Żadnej goliźny, żadnej promocji zboczeń. W tym względzie możemy się nieco nauczyć. W zgniłej cywilizacji zachodniej ludzie niekiedy wstydzą się, że się wstydzą. Na tym polega bezwstyd.

W Turkmenistanie odżył kult jednostki. Wszystkie państwa Azji Środkowej powstały na gruzach Związku Radzieckiego. Zaczęły budować swoją tożsamość. Kiedy upada konstrukcja zbudowana na bazie pewnej ideologii, to narody znowu pogłębiają swoją tożsamość! W nowych państwach zaczęto podkreślać rolę prezydenta. Miał on na powrót jednoczyć naród. W czasach, nieżyjącego już, prezydenta Turkmenbaszy doszło jednak do wielkiej przesady. Turkmenbasza nazwał siebie „słońcem”, a imionami osób ze swojej rodziny nazwał kolejne miesiące roku. W Aszchabadzie wybudowano mu ogromny pomnik. Połączana statua prezydenta obracała się zgodnie z ruchem słońca tak, żeby słońce padało zawsze na twarz prezydenta. Zmarłemu Turkmenbaszy zorganizowano uroczysty pogrzeb, a trumnę z jego ciałem żołnierze i przedstawiciele władz podawali sobie powoli z rąk do rąk. Spoczął w mauzoleum w Aszchabadzie. Niegdyś Turkmenbasza miał się chwalić, że Turkmenistan posiada najdroższe wizy na świecie. Obecnie kraj nadal jest zamknięty, a żołnierze z bronią w ręku patrolują ulice stołecznego Aszchabadu. Pomnik Turkmenbaszy przeniesiono w inne miejsce.

UZBEKISTAN

7 wrzesień 2006 roku. Serdeczne spotkanie z zaprzyjaźnioną rodziną Guzowskich w Ałmaty. Wieczorem odjeżdżam z Ałmaty autobusem do Czerniajewki na granicy z Uzbekistanem (Ozbekiston). Poznam kolejny kraj „od dołu”, a nie z tarasu luksusowego hotelu. Towarzyszy mi radość i chęć zmierzenia się z tym, co jeszcze nieznane. Poznawanie „od góry” polega na przylocie samolotem, ciężkich walizkach, drogich hotelach, kąpielach i wszelkich wygodach. Na dane miasto spogląda się wtedy z hotelowego tarasu, i w zasadzie niewiele wie się o danym kraju. Liczą się drogie dania i przyjemności brzucha. Tak zwiedzają świat najczęściej bogaci ludzie. Pozna-

wanie „od dołu” polega na ubogich środkach. Człowiek wtapia się w miejscowy tłum i stara się poznać jak najwięcej, nie zważając na niewygody i zadowalając się tym, co jest niezbędne do przeżycia, podziwia krajobrazy, wnikliwie obserwuje życie miejscowej ludności, czyta jak najwięcej o danym kraju, zwiedza muzea i zabytki, interesuje się sztuką i kulturą danego kraju. Nie ma znaczenia chwilowy głód, czy też skromne warunki do spania. Liczy się tylko to „nowe”, a rekompensatą jest wewnętrzna radość. Czy możemy odejście z tego świata i przejście do życia wiecznego z Bogiem traktować jako coś zupełnie „nowego” i radosnego? W taki sposób Chrystus Pan mówi na kartach Ewangelii o życiu zbawionych. Aby osiągnąć zbawienie, to trzeba trudzić się i uważać zbawienie za coś, co jest najcenniejsze w naszym życiu.

Uzbekistan jest o wiele bogatszy w zabytki niż sąsiedni Kazachstan, gdzie z dawnych czasów pozostały jedynie muzułmańskie mauzolea. W Uzbekistanie jest ponad 4 tysiące miejsc archeologii i architektury. Dzięki programowi UNESCO państwo rozpoczęło w 1990 roku odnowę swoich zabytków. Główne zabytki kraju znajdują się w takich miejscach jak: Kungrad, Nukus, Karakol, Buchara, Kagan, Romitan, Gzhduvan, Kyzyltera, Navoi, Samarkanda, Shakh – Risabz, Sherabad, Termez, Taszkent, Gazalkent, Kokand i Andijan. Kraj uzyskał niepodległość 1 września 1991 roku, ale



Uzbekistan. Zabytkowa Samarkanda

obecnie jest zamknięty i autobus dojeżdża tylko do granicy. Trudno było otrzymać wizę wjazdową, ale pomogła mi siostra Salezja, która załatwiała tę sprawę z wielkim trudem w ambasadzie Uzbekistanu w Astanie. Również z sąsiednim Tadżykistanem, Uzbekistan nie posiada połączenia lotniczego, a samochody mogą dojechać tylko do granicy. Droga z Taszkentu do Duszanbe przechodzi

przez przełęcz Shakhristan (3378 m). Kiedyś w Uzbekistanie nad granicą z Afganistanem Amerykanie mieli swoje bazy wojskowe, ale kazano im opuścić kraj, bo po zamieszkach w Andijanie, w Dolinie Fergańskiej, zaczęli upominać się o przestrzeganie praw człowieka. Nastąpiło zbliżenie z Moskwą, ale wojsk rosyjskich również tutaj już nie ma. Rozsądna konduktorka powierza mnie opiece pani Ludy, gdyż przypuszcza, że przejście graniczne z Uzbekistanem zaszokuje mnie. Nie myli się. Luda pochodzi z Białorusi i pracuje w Ałmaty. Okazuje się moim prawdziwym „aniołem stróżem”. Uzbecy pogranicznicy noszą mundury w stylu minionej epoki. Tylko ośmioramiennie gwiazdki na pagonach i odpowiednie odznaki i emblematy Uzbekistanu na czapkach informują o tym, że mam do czynienia ze służbą graniczną nowego państwa. Stosunki sąsiedzkie między Kazachstanem, a Uzbekistanem są napięte. Chodzi między innymi o wody rzeki Amu–Darii, które w nieroztropny sposób w czasach Związ-

ku Radzieckiego skierowano na pola Uzbekistanu, aby podwyższyć plony zbieranej bawełny. W ten sposób spowodowano jednak ekologiczną klęskę jeziora Aralskiego. Obecnie można na nim znaleźć małe statki rybackie. W sporej odległości od tafli wody, na piaskach pustyni znajdują się porzucone łodzie.

Młodzi ludzie, przy całkowitej bierności pograniczników uzbeckich, popychają zgromadzony tłum ludzi, który rozbija się o barierki. Można połamać sobie żebra. Chodzi o to, że za odpowiednią opłatą można swobodnie poddać się kontroli granicznej. W pewnym momencie uderzam o barierę. Wzbiera we mnie gniew. Odpycham ludzi i chcę zrezygnować z przejścia przez granicę, ale dostrzega to podoficer, podchodzi i grzecznie mnie przepuszcza. Oficer patrzy na moją deklarację celną. Każe pokazać deklarowane pieniądze. Przelicza je i patrząc mi w oczy dzieli je powoli na dwie kupki: jedną dla mnie, a drugą dla siebie. Ja również patrzę mu w oczy i „jego” kupkę pieniędzy powoli przesuwam do reszty moich pieniędzy. Luda mówi cichym głosem, że trzeba dać mu drobną sumę w miejscowej walucie. Czynię to i jest zadowolony. Jest jednak trochę zażenowany, co mnie cieszy.

– Wybaczcie, że u nas tak jest. Dorabiamy sobie.

Chcę zmienić trochę dolarów na uzbecka walutę. Kantor przypomina lichy stragan. Jego właścicielka krzyczy: „dolary są złe, nieaktualne!”. Mój „anioł stróż” jeszcze głośniej krzyczy na nią i okazuje się zaraz, że dolary są zupełnie dobre. Prawdziwa egzotyka. Za jednego dolara można tutaj dostać 1200 uzbeckich sumów, które dzielą się z kolei na tijiny. Jakość papieru banknotów jest fatalna. Nie ma autobusów do Taszkontu, więc Luda znajduje mi staruszkę, ma zawieźć mnie do Taszkontu, który leży w odległości około 20 kilometrów od granicy. Ustalam cenę ze staruszką w białej, mużułmańskiej czapeczce i żegnam się serdecznie z moim „aniołem stróżem”. Po kilku przejechanych kilometrach staruszek zjeżdża z drogi i pyta się o zapłatę. Mówię, że zapłacę mu ustaloną cenę po dojechaniu do celu. Kiedy wymieniam ustaloną kwotę w uzbeckich sumach, udaje zdziwienie i odpowiada, że w naszej umowie chodziło o kazachskie tengi. Denerwuje mnie to.

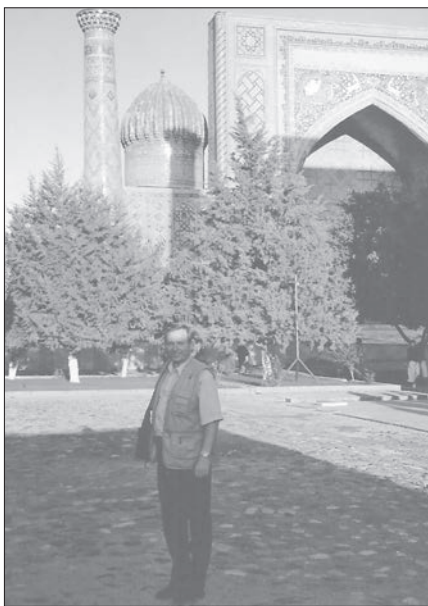
– Człowieku, za tę cenę przejadę pociągiem przez cały Kazachstan. Jak tak będziesz postępował, to Allah cię ukarze!

Trochę go rozumię. Korzysta z okazji, aby coś zarobić, ale nie trafił na bogacza. Może wysiąść i szukać następnej okazji? A jak po moim wyjściu z samochodu odjedzie z moją torbą w bagażniku? Mała wojna nerwów trwa. Trochę obniża cenę, a ja ją podwyższam i dochodzi do porozumienia. Podwozi mnie pod katedrę w Taszkencie. Całujemy się serdecznie na pożegnanie. Gdyby człowiek miał dla każdego worek pieniędzy, albo sztabę złota, z której ten ktoś, co jakiś czas, odcinałby skrawek na swoje codzienne potrzeby!

Gwardian, czyli przełożony miejscowej wspólnoty franciszkanów konwentalnych, Stanisław Kawa, miło mnie przyjmuje. Zarówno on jak i biskup Maculewicz zapraszali mnie wcześniej do odwiedzin po skończonej pracy duszpasterskiej w Kazachstanie. Ojciec Stanisław pracuje tu już sześć lat. Głoszę cykl kazań w katedrze. Niewiele już zostało katedr na Wschodzie, w których nie głosiłbym kazań. Wiele ser-

deczności okazuje mi również ojciec Tadeusz. Spotykam kilka siostr misjonek miłości. W ciągu tygodnia w dolnej kaplicy katedry uczestniczy we Mszy Świętej około trzydzieści osób. W niedzielę o godzinie 10.00 sprawowana jest Eucharystia w języku angielskim. Przychodzi na nią około sześćdziesięciu osób. O godzinie 12.00 Eucharystia sprawowana jest w języku rosyjskim. Uczestniczy w niej około osiemdziesięciu osób. W przyszłości liturgia będzie sprawowana w języku uzbeckim. Trzeba poddać się naturalnym procesom, gdyż administracyjne wprowadzenie języka uzbeckiego wygnałoby z kościoła Rosjan.

Ciekawa jest historia stołecznego kościoła, obecnie katedry biskupa Maculewicza. W 1875 roku katolicy zwrócili się z prośbą do rządu Turkiestanu o pozwolenie na



Samarkanda

budowę kościoła. W 1884 roku jeńcy, przede wszystkim Polacy, wybudowali pierwszą kaplicę dla żołnierzy. W 1902 roku mianowano proboszczem (*kurator*) całego Turkiestanu, księdza Justina Bonawenturę Pranaitisa (1861–1917). W latach 1905–1907 budowano kolejną kaplicę. Jej resztki rozebrano w 1996 roku. Natomiast w 1912 roku rozpoczęto budowę kościoła, ale po śmierci proboszcza w 1917 roku przerwano budowę. Nowa władza radziecka zamknęła go w 1925 roku, ale w 1981 roku udało się go wpisać na listę zabytków Uzbekistanu. W 1990 roku zarejestrowano parafię, a trzy lata później zaczęto odbudowywać zrujnowany kościół. W 1991 roku przybył do Uzbekistanu ojciec Krzysztof Kukułka, który ma wielkie zasługi dla rozwoju tamtejszej wspólnoty katolików. W 2000 roku nastąpiła konsekracja świątyni. Stanowi ona własność

państwa, które dzierżawi ją katolikom. Kapłani muszą płacić specjalny podatek za przebywanie w Uzbekistanie.

Uzbekistan, to dosyć wielki kraj, ale nie tak wielki jak Kazachstan. Jego powierzchnia wynosi 447,4 tysiąca kilometrów kwadratowych. Długość kraju wynosi około 1800 kilometrów. Składa się on z dwunastu obwodów (województw) i jednego obwodu autonomicznego (karkakałpackiego). W Uzbekistanie mieszka dwadzieścia cztery miliony ludzi, z czego w stołecznym Taszkencie około dwa miliony. Wewnętrzne linie lotnicze łączą stolicę z takimi miastami jak: Nukus, Urgencz, Zarawshan, Buchar, Navoi, Karshi, Samarkanda, Termez, Namangan, Andijan i Fergana. Głównym językiem w państwie jest język uzbecki, ale w liturgii obowiązuje język rosyjski. Uzbekistan graniczy z Kazachstanem, Afganistanem, Tadżykistanem, Turkmenistanem i Kirgistanem. Ponad osiemdziesiąt procent powierzchni kraju zajmują równiny: pustynia i step. Na wschodzie kraju znajdują się jednak malownicze

i wysokie góry Hisarskie, które dochodzą do 4688 metrów wysokości. Do innych gór należy Pasma Nuratau na granicy z Kazachstanem (2169 m), Pasma Zeravshan od strony Tadżyckiej (5489 m) i Pasma Chatkal na drodze do Doliny Fergańskiej (3555 m). Główna rzeka, to wspomniana już Amu–Daria. Obszar jeziora Aralskiego wynosi 68,7 tysiąca kilometrów kwadratowych. Na jego terytorium zmieściłyby się Czechy albo kraje Beneluksu. Niewielki oddział uzbeckiej marynarki wojennej operuje na wodach jeziora.

Na przełomie VII/VIII wieku tereny te opanowali Arabowie. W IX wieku istniało tu państwo Samanidów, ze stolicą w Bucharze. W X wieku panowali tu tureccy karachanidzi, a w XI wieku Turcy Seldżuci. Najazd Czyngis–Chana na przełomie 1220/1221 roku spustoszył tutejsze ziemie. W XIV wieku panował tu Tamerlan,



Uzbekistan. Przeprowa przez góry do Doliny Fergańskiej

a w XV wieku ziemie te podbili Uzbegy. Powstały dwa chanaty: ze stolicą w Chiwie i ze stolicą w Bucharze. W XVIII wieku ziemie te najeżdżali sąsiedni Turkmeni i Kazachowie. W 1924 roku powstała Uzbeka SRR. Nastaly czasy radzieckie. W 1991 państwo uzyskało niepodległość. Obecnie pracuje tu dwunastu franciszkanów konwentualnych, w tym dwóch braci, oraz kilka siostr misjonarek miłości. Zwierzchnikiem Kościoła lokalnego jest biskup Jerzy Maculewicz. W 2005 roku w Kotlinie Fergańskiej wybuchły zamieszki, które rozpoczęły się od rewolty w więzieniu. Zginęło w nich około pięćset osób.

Śniadanie spożywam w towarzystwie brata Mariana, który przyjechał tu z malowniczej doliny Fargony (Fergana) z młodzieżą. W organizowanym przez franciszkanów konkursie z wiedzy religijnej dwie dziewczyny i chłopiec wygrali po rowerze i należy dokonać zakupu rowerów. Jedna z dziewczyn była muzułmanką, ale pewnego dnia weszła do kościoła i spodobało się jej. Rodzice protestowali, ale później pogodzili się z wyborem córki. Mama drugiej dziewczyny mówi, że czuje obecność Boga, który jej pomaga. To już dużo. Kościół w Ferganie zajęło ministerstwo spraw wewnętrznych, ale chcą odsprzedać katolikom świątynię, którą ukradła im władza radziecka. Na terenie kraju znajduje się pięć lub siedem parafii. Kościół w Samarkandzie pomógł odzyskać tutejszym katolikom pewien uzbecki minister. W czasie uroczystości władze kościelne nieroztropnie podziękowały mu publicznie za jego trud i wręczyły mu order od papieża. Minister stracił pracę i trudno mu było znaleźć nowe zatrudnienie. Może lepiej byłoby uczynić to w czasie prywatnej uroczystości? W czasie przejazdu prezydenta Karimowa, wschodnim zwyczajem zamykają tu ulice. Słyszę opowieść o zastrzelonym przez ochronę chłopcu, który siedział w oknie i bawił się laserową za-

bawką. Może ktoś z ochrony pomyślał, że to laser karabinu snajperskiego? Prezydent w czasie inauguracji składał przysięgę na koran, gdy jednak radykalni muzułmanie chcieli przejąć władzę, to zamknięto wiele meczetów. Maszerowali na stolicę w 1999 roku, ale po walce zatrzymano ich.

Zwiedzam Muzeum Wojskowe. Na parterze wyeksponowano armię Tamerlana (Timura). Wojownik przed namiotem dowódcy był uzbrojony „po zęby”. Posiadał włócznię, szablę, tarczę i łuk. Państwo Tamerlana rozciągało się od Delhi w Indiach aż po Egipt i od Zatoki Arabskiej po Moskwę. Na pierwszym piętrze znajdują się mundury i broń z okresu ostatniej wojny światowej. Odpowiednia gablota informuje, że Stalin w czasie ostatniej wojny utworzył dwanaście frontów: cztery fronty ukraińskie, trzy białoruskie, dwa nadbałtyckie, jeden wołkowyski, jeden leningradzki i jeden karelski. Na drugim piętrze umieszczono mundury, broń i zdjęcia współczesnej armii. Marynarze noszą czarne spodnie, białe bluzy i berety. Uzbekistan nie ma dostępu do morza. Jedynie jezioro Aralskie patrolują uzbeckie łodzie. Na samolotach umieszcza się niebiesko-biało-zielone koła w barwach kraju i napis: „Uz Air Force”. Metro i miejska komunikacja funkcjonują w Taszkencie bardzo dobrze. Na stacjach metra widać policjantów w zielonych mundurach z ciemno-niebieskimi otokami na czapkach. Za przejazd metrem płacę 160 sumów, czyli około 30 groszy. Od ojca Stanisława dostaję dokument, że jestem gościem nuncjatury. W ten sposób mogę się swobodnie poruszać. Nie wystarczy wiza, którą zdobyłem z takim trudem! Wielokrotnie obserwuję modlitewny gest muzułmanów: długo i uważnie wpatrują się w rozłożone przed sobą dłonie, a następnie szybko przecierają nimi twarz. Kilkunastokilometrowy spacer po mieście jest dla mnie bardzo ciekawy. Po uzbecku „Taszkent” oznacza „kamienne miasto” (*tasz*– kamień, *kent*–miasto). Pierwsze wzmianki o nim pochodzą z przełomu II/I wieku przed Chrystusem. W 1865 roku miasto zostało włączone do Rosji. W 1966 roku miało w nim miejsce silne trzęsienie ziemi. Ponad trzydzieści trzy tysiące budynków uległo zniszczeniu. Pracownicy w parku sierpami ścinają trawę. Dochodzę do Amir Temur Park. Stoi przy nim potężny gmach hotelu „Uzbekistan”. Przed gmachem Parlamentu potężne i bardzo długie fontanny. Spotykam przed nimi dwie sympatyczne nastolatki o wschodnich imionach: Malika (księżniczka) i Nadira (jedyna, niepowtarzalna). Obydwie chodzą na zajęcia z baletu i marzą o dalekich podróżach. Nieco dalej pomnik „Trzech ptaków”. Ubrany na zielono policjant nie pozwala mi przejść koło gmachu Parlamentu, ale prosi o wybaczenie tego faktu (*izwinitie pażalsta*). Na ulicach widać sporo oficerów, żołnierzy i policjantów. U nas w Polsce niedobrze się stało, że żołnierze i oficerowie zniknęli z ulic naszych miast. Po pracy przebierają się w cywilne ubrania.

O godzinie 14.00 jadę z bratem Marianem z Łopusznej, trójką młodzieży i trzema rowerami do malowniczej Doliny Fergańskiej. Kto jej nie widział, ten nie był w Uzbekistanie! Jedyna droga ze stolicy do Doliny prowadzi przez wysokie góry. Są one nagie, prawie pozbawione roślinności. W pewnym momencie droga wiedzie przez tunel. Pełno przy nim uzbrojonych żołnierzy, samochodów pancernych i bunkrów, bo w razie blokady tunelu cała Dolina Fergańska pozostałaby odcięta od reszty kraju. Przy

drodze dwie ciemnonolice dziewczynki sprzedają arbuz i ziarna słonecznika. Dowiaduję się od nich, że po uzbecku zwrot „szczęśliwej drogi” brzmi: „*Oq yól*”. Zjazd z przełęczy jest bardzo długi. Gdyby w jakimś samochodzie zepsuły się hamulce, to co pewien czas z boku drogi znajdują się kilkudziesięciometrowe podjazdy pod górę, na których można byłoby wyhamować pęd rozpędzonego samochodu. W Ferganie pracuje ojciec Piotr Kawa, który przez pewien czas pracował w północnowłoskiej Brescii i raz do roku jeździ tam z kazaniami, aby zbierać pieniądze na pracę charytatywną. Jest ona wspiana! Franciszkanie prowadzą tu dom dla pięćdziesięciu dzieci z biednych



Uzbekistan. Fergana. Biedne dzieci przed klasztorem franciszkanów

albo rozbitych rodzin. Jedna z dziesięcioletnich dziewczynek nosi fryzurę chłopca i ma na imię Diora, a jej starsza siostra Szachnoza. Dzieci śmieją się, gdy do Diory mówię „dziewczynko-chłopcze” (*diwuszka-malczik*). Z prawdziwą przyjemnością obserwuję jak po szkole przychodzą tutaj jak do swojego domu. Dostają obiad, odrabiają lekcje i mogą bawić się. Osiemdziesiąt procent tutejszych rodzin, to ro-

dziny niepełne. Nie ma małżeństw i zobowiązań wobec siebie. Spuścizna bolszewizmu. Tutejszą parafię rejestrował w 1987 roku ksiądz Józef Świdnicki, który później wyjechał na Ukrainę. Powtórnie rejestrowano ją w 1997 roku.

Jedziemy na bazar i robimy zakupy żywności dla kilkudziesięciu dzieci. Muzułmanka ze straganu z niezwykłą sprawnością nakłada szufelką towar to toreb. Stojący obok niej mąż jest z niej zadowolony. Jest około 30°C, a w lipcu temperatura dochodzi do 40°C. Na bazarze jest wszystko: od zwierzęcych kopyt i całych krowich głów po groch i kapustę. Policjant troskliwie pyta nas o to, czy nas ktoś nie oszukał i przestrzega przed przygodną wymianą pieniędzy. Wieczorem głoszę kazanie w tutejszej kaplicy. Następnego dnia, po raz kolejny umówioną taksówką przeprawiamy się przez wysokie góry. Najwyższy punkt na przełęczy Kamchia wynosi 2267 metrów. Góry obok przełęczy dochodzą odpowiednio do 2866, 2699 i 2594 metrów wysokości. Mój paszport jest kontrolowany, a na trasie widać kilka posterunków wojska i policji, bo sytuacja w rejonie nieraz wymykała się spod kontroli władz państwowych.

W Taszkencie zwiedzam Muzeum Historii Uzbekistanu. Rejon Środkowej Azji powstał na skrzyżowaniu dróg karawan, które tworzyły w VII i VIII wieku słynny „jedwabny szlak”. Szkolnictwo rozwinęło się tutaj bardzo wcześniej. Akademia *Bait ul-hikma* w Bagdadzie, istniała już w latach 813–833, a Akademia *Bait ul-hikma va maorif* w Urgencz, funkcjonowała od 994 do 1016 roku. Po odzyskaniu niepodległości w Chiwie przywrócono Akademię *Khorezm*. Jedna z miniatur ukazuje Ibn Sina

(XI wiek) wśród studentów. Siedzi na krześle, do którego wstępuje się po kilku stopniach. Podziwiać można wspaniały zbiór uzbeckich strojów. Niektóre z nich wyszywane są złotą nitką. Miniatura z XVI wieku ukazuje grę w polo. Zobaczyć można miejscowe, ludowe instrumenty muzyczne. Makieta przedstawia słynny meczet w Samarkandzie. Bohaterem Uzbekistanu jest Timur, zwany Tamerlanem (*Amir Temur* 1336–1405), który walczył ze Złotą Ordą, a w 1370 roku założył ogromne imperium. Wysłał swoich ambasadorów do Chin, Indii, Anglii, Hiszpanii, Egiptu, Wenecji i Francji. W 1402 roku napisał list do francuskiego króla Karola VI, który rozpoczynał słowami: „Przesyłam ci pozdrowienie i pokój”. Kopię tego listu prezydent Karimow otrzymał od prezydenta Francji w czasie wizyty w maju 1996 roku. Jedną z makiet przedstawia obserwatorium astronomiczne *Mirzo Ulugbek* z XV wieku. Car Piotr Wielki zarządził wyprawę zbrojną do Chanatu Chiwy, ale ta i następna ekspedycja wojskowa w 1839 roku zakończyły się niepowodzeniem. W latach 1850–1860 Rosjanie zdobywali kolejne fortece, miasta i wioski, a w latach 1866–1868 zdobyto Taszkent (Tashkent). Podbój skierował się w stronę chanatów: Buchary i Chiwy, które zdobyto w 1868 i w 1873 roku. W 1867 roku utworzono Generalne Gubernatorstwo Turkiestanu. W 1876 roku przestał istnieć Chanat Kokand. Jedną z gablot ukazuje zamach w Taszkencie w dniu 16 lutego 1999 roku. Pałac prezydencki to *Oqsaroy*. Bogata jest kolekcja orderów i medali Uzbekistanu. Kolejna makieta ukazuje wieżę telewizyjną, której wysokość osiąga 375 metrów, a zasięg wynosi do 100 kilometrów.

Zwiedzam Muzeum Sztuki Użytkowej. Można zobaczyć w nim wspaniałe wyszywane stroje i nakrycia głowy (*tjubietiejki*) i piękną ceramikę. Zachwycają inkrustowane instrumenty i przepiękne pomieszczenia muzeum. Sufit jest plastyczny i posiada wiele wgłębień, a ściany ozdobiono ceramiką i sztukaterią. W małych, kolorowych niszach umieszczono różnokolorowe dzbanki różnej wielkości. Każdą z nich pomalowano jest na inny kolor. W Taszkencie zwiedzam mauzoleum *Sheyh Hovandi Tahir* z XIV wieku, mauzoleum *Qaldirghochbiy* z XV wieku, oraz *Shaych Xovandi Tahir–Tole Biy*. Ciekawa jest szkoła koraniczna, tak zwana medresa *Kukeldosh* z XIV wieku. Wokół kwadratowego dziedzińca położone są sale, w których chłopcy uczą się koranu. Mężczyzna zastępuje mi drogę. Jest trochę zakompleksiony i mówi, że ich uczniowie nie mają takich wygód jak ich rówieśnicy na zachodzie.

Dworzec kolejowy w Taszkencie jest bardzo nowoczesny, ale mało na nim podróźnych. O godzinie 17.40 odjeżdżam do Urgencz. Za dziesięć euro podróżuję przez całą noc i połowę dnia. Pociągi na tej trasie kursują tylko 2–3 razy w tygodniu, a jest to główna trasa w kraju. W nocy słychać okrzyki: „no, no”, to sprzedawca zachęca do kupowania okrągłych placków. Kobiety uzbeckie częstują mnie lekko gorzką herbatą. Uśmiechamy się do siebie, bo nie znają rosyjskiego, a ja uzbeckiego. Z okien pociągu widać ogromną pustynię porośniętą tylko miejscami kępami traw różnego rodzaju. Pociąg przecina tereny, na których pustynia Kara–Kum spotyka się z pustynią Kyzyl–Kum, która leży bardziej na północ. Poruszamy się na obszarach Niziny Turańskiej. Urgencz leży w krainie zwanej Karakałpacją. Przez dziesiątki kilometrów nie widać żadnych osiedli. Pustkowicie! Pociąg jedzie bardzo wolno. Wzdłuż torów biegnie

gruntowa, pustynna droga, a koło torów posiano, w kwadratach, suchą trawę. Czyżby miała zatrzymywać lotne piaski? Widać gazociąg. O godzinie 13.00 pociąg dojeżdża do Urgencz (Urganch). Stąd odległości mierzone w kilometrach wynoszą: do Ałmaty–1800, do Aszchabadu–714, do Biszkeku–1564, do Duszanbe–1014, do Samarkandy–703, do Taszkentu–992 i do Fergany–1339. Na dworcu czeka na mnie już ojciec Stanisław, który bierze mnie na obiad do restauracji. W 2005 roku w Uzbekistanie pracują następujący kapłani i bracia:

– Taszkent–biskup Jerzy Maculewicz, Ojciec Stanisław Kawa i ojciec Tadeusz Głusiec.

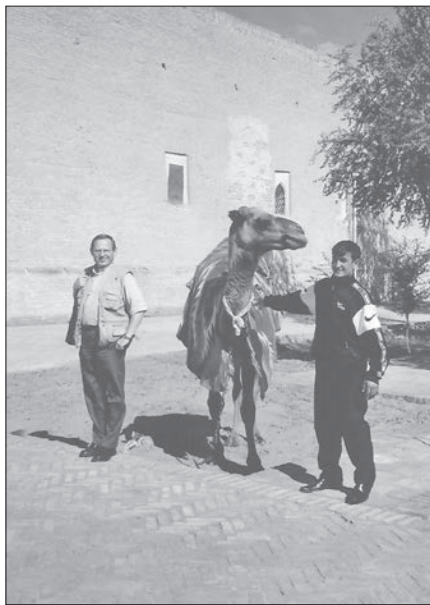
– Urgencz–ojciec Stanisław Rochowiak i brat Stanisław.

– Fergana–ojciec Piotr Kawa i brat Marian Pietrzak.

– Bucharą–ojciec Wojciech Kordas.

– Samarkanda–ojciec Lucjan Szymański i ojciec Franciszek Stopkowicz.

Niedawno zakupiono w Urgencz budynek i po przeróbce utworzono kaplicę i klasztor. Również i tu wygłaszam serię kazań i konferencji dla wiernych. Z ojcem Stanisławem jadę do Chiwy (*Khiva*), która liczy ponad 2,5 tysiąca lat, a tym samym należy do najstarszych miast świata. Z Urgencz do Chiwy odległość wynosi 35 kilometrów. W Chiwie znajdowało się centrum jednej ze starożytnych cywilizacji. Staro-



Uzbekistan. Starożytna Chiwa (Urgencz)

żytnych budowli w niej jednak nie zobaczymy. Prawdopodobnie pod powierzchnią ziemi kryją się jeszcze starożytne fundamenty domów i pałaców. Po raz pierwszy wspominają o Chiwie księgi Awesty, wspomina o niej także Herodot. Za króla Dariusza (+ 425) Chorezm był jedną z prowincji Persji. Współcześnie miasto znalazło się na liście UNESCO. Inwazja Arabów na Azję Środkową w VIII wieku zniszczyła Chiwę, która jednak odrodziła się w X i XI wieku. Żył w niej słynny arabski filozof Awicenna (+ 1037), którego pełne nazwisko brzmi–Abu Ali Hussein ibn Abdullah ibn Sino. Chiwa została stolicą państwa Chorezmu w 1556 roku, ale faktycznie została nią za rządów Araba Muhammada Khana (1602–1623), kiedy to powstały monumentalne budowle.

W 1740 roku wojska Iranu zniszczyły Chorezm, a epidemia z 1768 roku zdziesiątkowała jego obywateli. W Chiwie pozostało tylko czterdzieści rodzin. W 1770 roku Muhammad Amin Inaq na powrót zjednoczył te ziemie tworząc „Nowy Chorezm”. Zaledwie w ciągu miesiąca, w 1842 roku, zbudowano nowe mury obronne i dziesięć bram. Długość ich wynosiła sześć kilometrów. Równocześnie założono trzy ogrody. Chiwa to muzeum architektury Chorezmu (XIV–XX

wiek). Wewnętrzna forteca – zwana Ichan–Qala – zajmuje tu prostokąt ziemi o wymiarach 600 na 400 metrów. W jej obrębie znajdowała się średniowieczna Chiwa. Otoczona jest murami o długości 2,1 kilometra, wysokości 7–8 metrów i grubości 5–6 metrów. W 1908 roku zbudowano tu największy minaret o wysokości 44,6 metra i średnicy u podstawy wynoszącej 9,5 metra. W Chiwie pełno jest meczetów, medres i mauzoleów. Obecnie nosi ona miano „Czcigodnego miasta” (Yashulli Khiva). Podziwiam medresę Mukhammad Rakhimkhan i medresę Allakulikhan. Medresa Islam Khoja ozdobiona jest wysokim minaretem. Piękne jest wnętrze pałacu Nurullabai, a zespół Pakhlavan Makhmud jest bardzo malowniczy. Szczególnie malownicza jest Brama Kosh, która otwiera drogę do miasta. Mury miejskie odnowiono. Nie były to mury z solidnych kamieni i głazów lub z cegły jak w Malborku, ale budowano je z gliny zmieszanej ze słomą. Są więc zupełnie inne niż w starych miastach europejskich.

W Urgencz znajduje się nowoczesny międzynarodowy port lotniczy, i nowoczesny kompleks sportowy. Zobaczyć tu można także pomnik świętej księgi Awesty,



Uzbekistan. Pamiętna podróż przez pustynię do Buchary

który zbudowano na żądanie prezydenta Karimowa. Żegniam się z gościnnym ojcem Stanisławem, który znajduje dla mnie miejsce w umówionej przez niego taksówce. Oprócz mnie jedzie w niej także starsze małżeństwo z Tokio. Przed nami 435 kilometrów pustynnej drogi asfaltowej do Buchary, którą przebędziemy w ciągu pięciu godzin. Poruszamy się po trasie słynnego „jedwabnego szlaku”. Skąd wzięła się taka

nazwa? Otóż w XIX wieku niemiecki geograf Ferdynand von Richtgophen trasę tę nazwał „Wielkim Szlakiem Jedwabnym”. W XIX wieku szlak utracił swoją rolę jednoczenia cywilizacji Europy i Azji, a jedwab przestał pełnić rolę światowej waluty. Obecnie dąży się do odbudowy szlaku. Biegł on przez Kazachstan–Nukus–Urgencz–Bucharę–Samarkandę–Taszkient i Ferganę, a dalej do Chin. Przejazd taksówką kosztuje dwadzieścia tysięcy sumów, czyli około pięćdziesięciu złotych. Po drodze mijamy kilka posterunków policji i czterysta kilometrów ogromnej pustyni. W czasie podróży dochodzi do interesującego dialogu z Japończykami. Rozmawiamy po angielsku. W pewnym momencie pytam:

– Jestem kapłanem katolickim, człowiekiem wierzącym. Jesteście ludźmi wierzącymi?

– Nie jesteśmy ludźmi wierzącymi, jesteśmy ateistami.

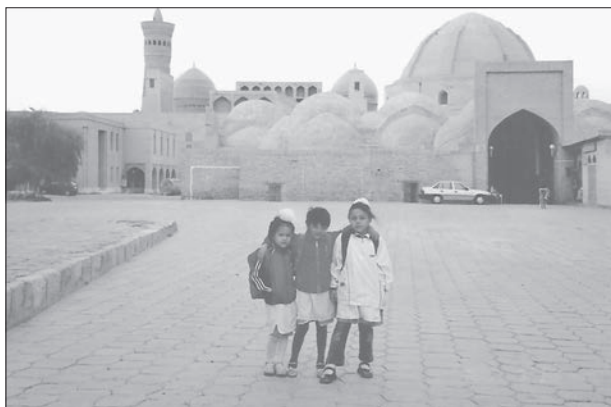
Staram się wczuć w ich sposób myślenia.

– To Boga nie ma?

- Nie ma.
- A wasz cesarz nie jest bogiem? (do zakończenia ostatniej wojny światowej japoński cesarz odbierał boską cześć).
- Nie, cesarz jest zwykłym człowiekiem tak jak każdy z nas. Pełni tylko reprezentacyjną rolę.
- To po śmierci nic już nie ma?
- Nie, nic już nie ma.

W tym momencie uświadamiam sobie jak wielkim darem jest wiara: nie każdy go posiada, ale każdy może o niego prosić.

Po drodze zatrzymujemy się na kawę w przydrożnym zajeździe. Kątem oka dostrzegam, że kierowca dosyć często dzwoni. Notuję to sobie w pamięci, ale nie przywiązuję do tego większej uwagi. Wygląda na to, że coś kombinuje, bo jest bardzo podniecony. Mówi, że jest z Buchary, a udaje, że nie zna miasta. W pewnym momencie na przedmieściach Buchary wsiada do taksówki jakiś podejrzany typ, który ma pokazać nam drogę do miejscowego kościoła. Twarz niesympatyczna, jakby zaciemniona przez zło. Niewykluczone, że ma przy sobie broń. Japończycy protestują przeciw takiej praktyce dobierania pasażerów. Popieram ich. Podjeżdżamy pod hotel. Japońskie małżeństwo powoli wysiada. A więc to ja mam być celem prawdopodobnej przemocy! Sekundy biegą bardzo powoli, wydaje się, że trwa to całą wieczność. Jestem sam w taksówce, bo kierowca i podejrzany typ wyszli na zewnątrz. Wewnętrzny głos mówi mi: „teraz albo nigdy, za chwilę będzie już za późno, mogą wrócić do samochodu i zablokować drzwi!”. Nagle otwieram drzwi samochodu. Nie boję się, bo wokół jest pełno ludzi. Trzymam w ręku odliczone banknoty tak by je dobrze widzieli. Pomimo tego obydwa są bardzo zdenerwowani moim wyjściem z samochodu. Dlaczego? Czyż-



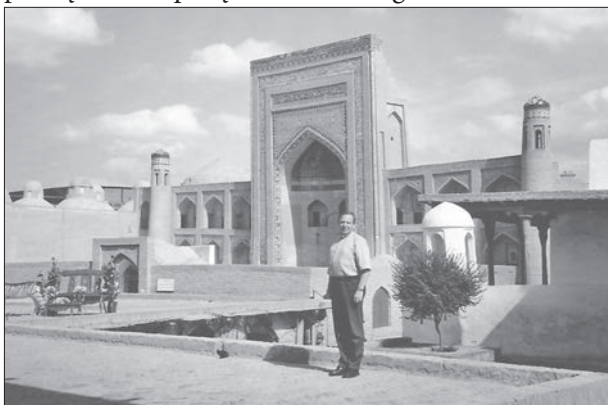
Dzieci w Bucharze

by zdobyć wymykała się im z ręki? Wiele wskazuje na to, że moje obawy nie były bezpodstawne. Skazany jestem tylko na domysły, bo poznajemy to, co jest w sercu drugiego człowieka jedynie po jego zachowaniu. Obserwując człowieka wyciągamy pewne wnioski i staramy się odgadnąć motywy takiego a nie innego postępowania. Nasza wiedza jest więc w tym przypadku pośrednia, niedoskonała

i narażona na błędy. Tylko Bóg patrzy prosto w serce człowieka i zna dokładnie każdą naszą myśl. Gdy podjeżdżaliśmy pod hotel, kątem oka dostrzegłem wieżę kościoła. Świątynia jest bardzo bliska i nie będzie problemu z odnalezieniem do niej drogi.

Stare miasto w Bucharze jest bardzo piękne. Mauzoleum Chashma–Ayub pochodzi z 1380 roku, meczet Chor–Bakr, medresa Abdullah–Khan z XVI wieku, a medresa

Miri–Arab z 1535 roku. Uczy się w niej dwieście chłopców, a nauka trwa pięć lat. Nie można jej zwiedzać, ani też fotografować. Forteca Ark pochodzi z XVIII wieku. Budowę tutejszego kościoła katolickiego pod wezwaniem świętego Andrzeja Apostoła prowadzi ojciec Wojciech Kordas. Doktorat z etyki obronił na uniwersytecie w Niemczech. Uśmiecha się, gdy mówię, że w Kościele katolickim nie brakuje współczesnych doktorów, ale nie każdy z nich byłby w stanie prowadzić tutaj budowę świątyni. Przybył tutaj 28 sierpnia 2003 roku. Mieszka w bloku i tam mnie gości. Na Mszy świętej w kaplicy obecna jest tylko Fatima. Sprząta koło kościoła, bo pragnie zarobić sobie pieniądze na opłatę nauki w Kolegium. Ludność kraju pracuje przy zbiorze „narodowego bogactwa”, czyli bawełny. Jeżeli ktoś nie może jej zbierać, to płaci pewną sumę pieniędzy. Często na polach bawełny widać studentów.



Buchara

Do Samarkandy jadę autobusem. W pewnym momencie drogę zajeżdża nam samochód. Wygląda to na miejscową mafię. Wywiązuje się bójka z kierowcą i jego pomocnikiem, którzy nie chcą prawdopodobnie płacić haraczu. Na szczęście nie

nękają pasażerów. W Samarkandzie ojciec Lucjan i ojciec Franciszek przyjmują mnie gościnnie. Znajduje się tutaj jedyna, obok katedry, świątynia w całym Uzbekistanie, która swym zewnętrznym wyglądem przypomina kościół katolicki. Już dokumenty z 329 roku przed Chrystusem wspominają o „Marakand”. Samarkanda była stolicą państwa Soghdiana. Wojska Aleksandra Wielkiego trzy razy szturmowały miasto, które później za czasów Tamerlana zdobyło szczególną pozycję. Mauzoleum Gur Emir pochodzi z przełomu XIV/XV wieku. Wspaniała jest jego kopuła, a minarety pokryte są różnokolorową ceramiką. We wnętrzu, w krypcie znajdują się groby Tamerlana i jego rodziny, ale za obejrzenie grobów trzeba zapłacić niezależnie od biletu do mauzoleum. Wspaniała jest zespół urbanistyczny Registan, który niegdyś pełnił rolę centrum miasta. Kopuła pochodzi z XVII wieku. Z grupą turystów z Włoch wracam autobusem do Taszcentu.

Nie jest tak łatwo opuścić Uzbekistan. Wizy od ręki, jak to było niegdyś w Europie, nie są znane na Wschodzie. Usiłuję załatwić wizę tranzytową przez Rosję. Nie dadzą jej bez biletu, a tego nie sprzedadzą bez wizy. Zamknięte koło czy zabawa w kotka i myszkę? A może lubują się w poniżaniu innych? Pozostaje podróż przez Kijów. Aby kupić bilet na samolot linii ukraińskich, trzeba wymienić pieniądze. W jednym z kantorów zabrakło pieniędzy, inny jest już zamknięty, chociaż jest dopiero wczesne popołudnie. Poddaję się. Na szczęście w czeskim biurze podróży można zapłacić w euro. Ucieszony, daję pracownicy biura podróży tysiąc sumów na lody

(*marożenoje*). Uśmiecha się. Ojciec Tadeusz odwozi mnie na lotnisko. Dzięki jego przepustce przechodzę przez przejście dla VIPów. Pierwszy i chyba ostatni raz w życiu. Kolejne kontrole: rejestracja (paszport + bilet), odprawa celna (paszport + deklaracja celna + boarding pass), kontrola paszportu, kontrola paszportu wraz z biletem i wreszcie kontrola osobista. Obsługa jest jednak miła i kulturalna. Na lotnisku widać dziewięć nowoczesnych boeingów uzbeckich linii. Samolot po 4,5 godzinach pokonuje 3276 kilometrów w drodze do Kijowa. W miejscowej katedrze głoszę kazanie. Polska jest już blisko! Wracam pociągiem do Polski przez Mińsk. W Białoruskiej ambasadzie w Kijowie dostaję wizę tranzytową. Obsługa nadzwyczaj uprzejma.

Stolica Białorusi jest czystym miastem, a policjanci pouczają niektórych podróżnych jak mają zachowywać się na dworcu kolejowym. Jest niedziela. Jestem bardzo zmęczony po podróży, lecz nie odmawiam prośbie kapłana i przewodniczę koncelebrze, oraz wygłaszam kazanie w miejscowej, starannie odnowionej katedrze. Dojazd samochodów pod katedrę zlikwidowano, bo przejeżdża tędy prezydent i nie może być na jego trasie bocznego wyjazdu. Nawet argument, że musi dojechać tu straż pożarna i pogotowie ratunkowe nie odnosi skutku. Wzdłuż rzeki Swisłocz urządzono wspaiałe parki i miejsca dla spacerów mieszkańców Mińska. Na małej wysepce – do której prowadzi most – znajduje się pomnik białoruskich żołnierzy, którzy polegli w Afganistanie. Umieszczono na nim napis w języku białoruskim: „+ *Gospiadze. My dzieci twiaje*” +” (Panie, my dzieci Twoje). W pewnym momencie widzę, że samochody szybko usuwają się gdzieś w boczne uliczki. Za chwilę pojawia się samochód policyjny, a z jego głośników rozlegają się słowa: „Prezydent Białorusi Łukaszenka...”. Wszystko staje się jasne. W kościele bernardynów z przełomu XVII/XVIII wieku, który stoi obok prawosławnej katedry Ducha Świętego, znajduje się archiwum. Grupa kobiet modli się tu na różańcu o to, aby świątynia została zwrócona katolikom. W centrum miasta znajduje się reprezentacyjny kościół zbudowany z czerwonej cegły pod wezwaniem świętego Szymona i świętej Heleny. Pochodzi z 1910 roku. Zwiedzam kościół świętego Krzyża na cmentarzu Kalwarijskoje, spaceruję po parku Czieluskindiew i pięknym ogrodzie botanicznym. Po pewnym czasie znowu jestem w Polsce!

Kościół katolicki w Azji Środkowej w liczbach

Kazachstan

Liczba katolików: 150–200 tysięcy.

Liczba kapłanów i siostr zakonnych: 6 biskupów, nuncjusz oraz około 70 kapłanów i ponad 100 siostr zakonnych.

Liczba świątyń: około 80.

Kirgistan

Liczba katolików: około 200 osób.

Liczba kapłanów oraz siostr zakonnych: biskup Messmer, kilku jezuitów oraz siedem siostr franciszkanek.

Liczba świątyń: jeden kościół w Biszkeku (stolica kraju).

Tadżykistan

Liczba katolików: około 200 osób.

Liczba kapłanów i siostr zakonnych: kilku kapłanów z argentyńskiego zgromadzenia „Verbo Incarnato” oraz kilka siostr misjonarek miłości.

Liczba świątyń: dwa kościoły.

Turkmenistan

Liczba katolików: około 80 osób.

Liczba kapłanów: dwóch oblatów NMP.

Liczba świątyń: jedna kaplica w Aszchabadzie (stolica kraju).

Uzbekistan

Liczba katolików: około 4 tysięcy.

Liczba kapłanów i siostr zakonnych: biskup Maculewicz oraz 9 franciszkanów (w tym 2 braci), kilka siostr misjonarek miłości.

Liczba świątyń: pięć (w tym katedra w Taszkencie).

Zdjęcia oraz kolorowe plansze wykonał: ks. Henryk Majkrzak

KIRGISTAN



Kirgizi w strojach ludowych
we wnętrzu kolorowej jurty

KIRGISTAN



Biszkek (zmiana warty)

TURKMENISTAN Jednostka reprezentacyjna



Oficer i żołnierze

TADŻYKISTAN



Siły zbrojne



Prezydent Emomali Rahmon



Prezydent Emomali Rahmon w towarzystwie generała przecina wstęgę

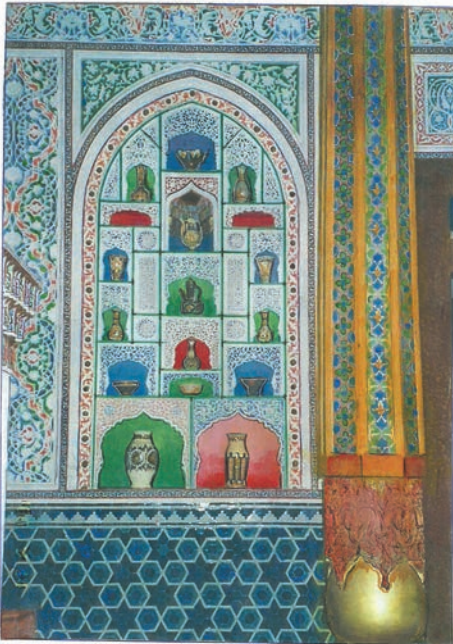
UZBEKISTAN



Katolicka katedra w Taszkencie



Uzbeckie dziewczynki sprzedają arbuza i nasiona słonecznika

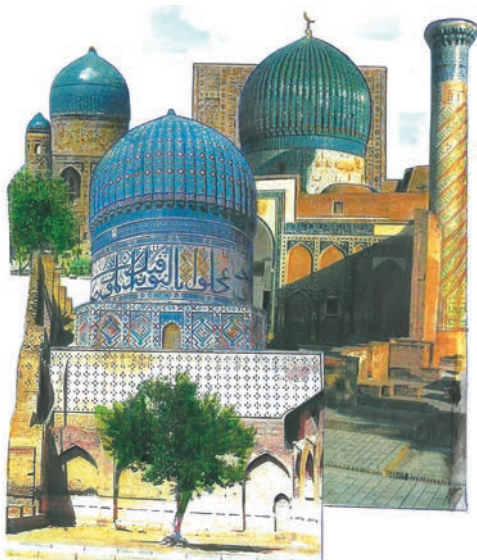
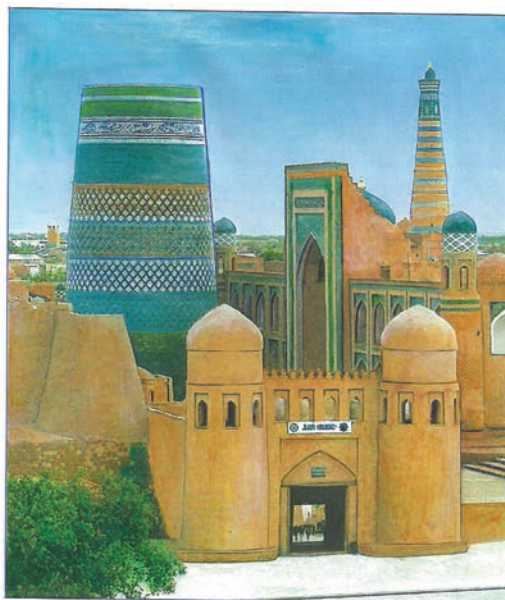


Wnętrze domu z kolorowymi niszami i dzbankami



Stroje ludowe

UZBEKISTAN



Zabytkowa architektura



Funkcjonariusze uzbeckiej policji natle
Bramy Ptaków



Generał

Stanisław Bocheński – zapomniany malarz i fotograf z Łącka



Stanisław Bochyński (Bocheński)

Antoni Kurzeja w swej książce „Z rodzinnych stron Mikołaja Zyndrama wodza z pod Grunwaldu” (1910) wspominał o „ Stanisławie Bochyńskim, artyście malarzu, uczniu Matejki, który swą ręką odmalował wszystkie prawie kościoły na Podhalu i słynie jako portrecista, przed kilku zaś laty osiadł w Maniowach (poczta Harkłowa), skąd często jeździ do swej rodziny w Łącku i jemu to zawdzięczamy fotografie do niniejszego dziełka”¹. W ten sposób Kurzeja zaakcentował zasadnicze dziedziny działalności mistrza; malarstwo kościelne i portretowe. Wykorzystując istniejące opracowania przedstawię parę informacji, które pozwolą odświeżyć pamięć tej zapomnianej postaci i może teraz albo w przyszłości zainspirują kogoś do dalszych poszukiwań, m. in. w archiwach kościelnych Podhala.

Kłopoty z rozjaśnieniem przeszłości malarza zaczynają się już od samego początku, od brzmienia nazwiska, od nieznanego dokładnie daty urodzenia. W „Słowniku artystów polskich i obcych w Polsce działających” występuje jako „Bochyński (Bocheński) Stanisław, malarz, ur. 1860 Łącko”². Zatem Bochyński, czy Bocheński, jaka miesięczna i dzienna data urodzenia? Poszukiwania w księgach urodzeń w parafii łąckiej pozwalają stwierdzić, że przyszedł na świat 12 września (september) i akuszerowała przy jego porodzie Katarzyna Maurer, nie egzaminowana, z rodziny kolonistów niemieckich w Wiesendorfie (Łączkach), a ochrzczony został 30 września 1860 r. przez księdza Józefa Durę. Otrzymał dwa imiona Stanisław i Ludwik. Zapisy w księdze urodzeń pozwalają też ustalić szczegółowsze dane dotyczące rodziców. Byli nimi Leonard syn Jana Bocheńskiego i Marii z domu Miernickiej. Matką była Emilia córka Jakuba Szczerbowskiego i Marii Molęckiej. Rodzice byli, jak na to wskazują nazwiska, szlachcicami, ojciec inspektorem. To urzędnicze środowisko uzasadniał również rodzice chrzestni, którymi byli Franciszek Fruziński, nauczyciel w łąckiej szkole trywialnej, i jego córka Kunegunda. Ojciec malarza jest zapisany jako Bocheński. Trudno zatem przypuszczać, aby ksiądz przekręcił nazwisko. Z kolei na dokumencie z 1884 r. wystawionym przez urząd gminy w Łącku podczas starań o powtórne przyjęcie do Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie występuje nazwisko Bochyński³. Także w książce Kurzei podpis pod zdjęciem i w tekście jest nazwisko Bochyński. Z kolei zleceniodaw-

¹ Z rodzinnych stron Mikołaja Zyndrama wodza z pod Grunwaldu, Brody 1910, str.34.

² Archiwum kościoła parafialnego w Łącku, Liber natorum Łącko 1847–1888, str. 103.

³ Archiwum Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie: J. Dutkiewicz et al., Materiały do dziejów Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, t.1.

cy prac dla niego w Starym i Nowym Sączu nazywają go Bocheńskim. Najprawdopodobniej używał podwójnej pisowni Bochyński i Bocheński.

Początkową naukę zapewne odbywał w miejscowej szkole ludowej. Być może, że potem dopełniał naukę w wyżej zorganizowanej szkole w Starym Sączu, by wstąpić potem do gimnazjum. Być może, że uczęszczał do niego w Nowym Sączu, czego nie ma pewności. W 1878 r. wpisał się do krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych i uczył się w niej do 1879 r. W r.1884 Urząd Gminy Łącko wydał mu świadectwo moralności określając go jako „utalentowanego malarza, pracującego na utrzymanie siebie i rodziny”, które miało mu pomóc w przyjęciu do Szkoły Sztuk Pięknych jako nadzwyczajnego studenta. Przeszukiwanie ksiąg rejestrujących zawieranie małżeństw w Łącku wykazało, że najprawdopodobniej było ono zawarte w jakiejś innej miejscowości (chyba że są odrębne księgi małżeństw dla Kiczni, Woli, Zagorzyna). W księgach urodzeń również nie stwierdzono urodzin dziecka w Łącku. Przeniesienie się po pewnym czasie do Maniów, wskazywałoby, że może ze względów rodzinnych stały się one jego miejscem zamieszkania.

Studia w krakowskiej Szkole Sztuk Pięknych (1884–1887), podawanie się za jej ucznia, a być może i Jana Matejki oraz niewątpliwy talent do pewnego stopnia, sprawiły, że rozwinął działalność malarzką w kościołach. W tej pracy zaznaczają się Stary i Nowy Sącz oraz Łącko, gdyż o Podhalu poza Nowym Targiem na razie nic nie wiadomo. W Starym Sączu przyszło mu się zmierzyć z nie lada wyzwaniem. Niezwykle ważny zabytek architektury kościoła klarysek miał być odnowiony zgodnie z życzeniami ksieni Reginy Bonawentury Ćwierzyk. Konserwator dr Stanisław Tomkowicz dowiedziawszy się o planowym odnawianiu poczynił starania, aby ta piękna świątynia nie została „nieumiejętną restauracją zeszpecona”. Przygotował wraz z prof. Władysławem Łuszczkiewiczem szczegółowe wskazówki jak praca ta ma wyglądać. Odnawianie miał wykonywać Bocheński, który był w dyspozycji ksieni. Jeszcze przed malowaniem c. k. konserwator zabytków sztuki i pomników historycznych, Tomkowicz, pisał do ksieni, nawiązując do wcześniejszych uwag przekazanych jej, że konieczne jest zaangażowanie biegłego architekta, który opracowałby projekt malowania i nadzorował jego wykonanie. O malarzu wspomniał „Jedna bieda pozostanie zawsze: Bocheński o ile mi się zdaje, nie jest człowiek który by mógł dobrze wywiązać się z takiego zadania, nawet pod najlepszym kierunkiem. Może lakierować ołtarze, ale nie przeprowadzać dekorację wnętrza kościoła. Do tego trzeba biegłego i doświadczonego, a na stylach się rozumiejącego malarza dekoracyjnego. O takich nawet w większych miastach niezbyt łatwo. Właściwie miałbym prawo żądać przedłożenia sobie projektów odmalowania kościoła zanim się rozpocznie robotę – ale cóż tu mówić o tem? Przecież on takiego projektu nie przedłożył i kto wie czy go nawet zrobić potrafi”⁴. Od nowego malowania odwodził ksienię prof. Szkoły Sztuk Pięknych, Łuszczkiewicz, i ostatecznie porozumiano się, że malowidła w kościele zostaną odnowione poprzez oczyszczenie z kurzu a w kolorach wypłowiałych dopełnią i wyreperują (325). Po paromiesięcznych

⁴ Stanisława Tomkowicza Inwentarz zabytków powiatu sądeckiego. Z rękopisów Autora wydali i własnymi komentarzami opatrzyli Piotr i Tadeusz Łopatkiewiczowie, Kraków 2007, str.324.

pracach 24 grudnia 1889 r. prace zakończono. Jak napisano w Pamiętniku Klasztoru Starosądeckiego „odmalowano kościół, kaplicę i chór zakonny” (223) i przeprowadzono jeszcze inne prace. To zadanie wymagające nadzwyczajnych umiejętności i wiedzy, przerosło możliwości Bocheńskiego. W r. 1891 na posiedzeniu Główna Konserwatorów Galicji Zachodniej Tomkowicz stwierdził, że należałoby przywrócić stylowy charakter gotyckiemu wnętrzu kościoła, „które zeszeconem zupełnie zostało przez bezstylowe, liche i krzykliwe pomalowanie dokonane w roku przeszłym”⁵. Malowanie przeprowadzono wbrew zaleceniom i ustaleniom.

Inną pracą, która jak się wydaje, nie wzbudziła takich kontrowersji i zastrzeżeń było malowanie kościoła św. Ducha w Nowym Sączu w r. 1890. Bochyński, jak pisze Stanisław Załęski, „zobowiązał się kontraktowo wymalować prezbiterium w stylu matejkowym (jak kościół Panny Maryi w Krakowie) według wskazówek profesora Łuszczkiewicza, tudzież nawę i kaplice św. Anny i św. Józefa w 3 miesiącach”. Malowanie polichromii trwające prawie pół roku zakończyło się 12 listopada 1890 r.⁶

Prace malarskie w tak znanych świątyniach jak klarysek w Starym Sączu i jezuitów w Nowym Sączu były zapewne poważnym argumentem za zleceniem malowania kościoła w Łącku przez proboszcza ks. Jana Piaskowego. Pierwsze prace miały miejsce w początkach pierwszego dziesięciolecia XX w. Po raz drugi malował w r. 1911. Pierwsze malowanie wnętrza kościoła towarzyszyło odnowieniu wielkiego ołtarza, aby miał odpowiedni wystrój. Drugim razem pomalował nawę główną i kaplice – nawy boczne. Wskazówek udzielał ks. Franciszek Leśniak, kanonik tarnowskiej kapituły katedralnej⁷. Jak pisano, jedni znawcy aprobowali te prace inni nie. Ks. proboszcz Józef Put oceniał je negatywnie. Być może był to obiektywny osąd lub bardzo subiektywny wpływający z jego ogólnej postawy krytycznej na temat tego co zrobiono w łąckim kościele.

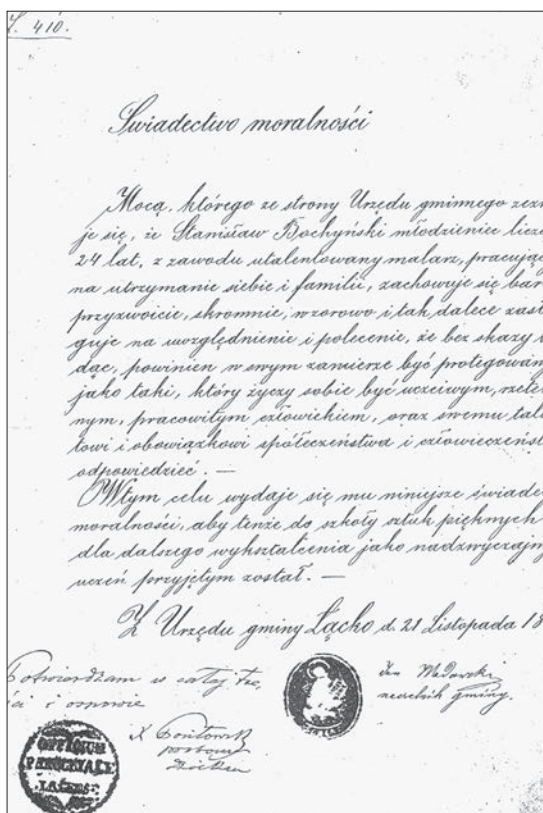
W malarstwie kościelnym na Podhalu zaznacza się Nowy Targ, w którym podczas restauracji kościoła św. Anny w r. 1903 wykonał wraz z Adolfem Bocheńskim polichromię ścian i stropu na którym namalował św. Annę z małą Marią i Chrystusa Zmartwychwstałego. Z kolei w kościele św. Katarzyny, w ołtarzu bocznym pod wezwaniem Przemienienia Pańskiego znajduje się jego obraz Matki Bożej Wniebowziętej. Umowę o malowaniu Kościoła św. Anny podpisał Adolf Bochyński, o czym wspomina się w książce ks. Mieczysława Łukaszczyka, 650 lat parafii św. Katarzyny w Nowym Targu, Kalwaria Zebrzydowska 1997, s. 37, w której również na nienumerowanych stronach jest fotokopia umowy z podpisem Adolfa Bochyńskiego. Informację tę powtarza również Beata Kowalik w książce Nowy Targ 1867–1918, Nowy Targ 2006.

Ostatnie publikacje i poszukiwania ujawniają drugi rodzaj malarstwa Bocheńskiego – portretowanie. Jak się wydaje, wstępem do niego było przedstawianie wizerunków świętych. Być może zaczęło się to w Starym Sączu. Bocheński namalował św. Kingę z modelem kościoła św. Trójcy. Św. Kinga przedstawiona jest frontalnie w całej postaci na tle glorii promienistej we wspaniałym płaszczu książęcym ozdobionym

⁵ Tamże str. 222.

⁶ S. Załęski, *Jezuici w Polsce*. T.V, cz. II, Kraków 19066, str. 879.

⁷ Łącko i gmina łącka pod red. Juliana Dybca, Kraków 2012, str. 616.



Świadectwo moralności Stanisława Bochyńskiego

z widokiem klasztoru starosądeckiego. Ma na sobie strój książęcy z mitrą na głowie i zawieszonym na szyi ryngrafem z orłem. Obok niej leżą pastorał i księga. Obraz ten znajduje się w rozmównicy przy klasztorze sióstr klarysek w Starym Sączu. Oba te obrazy cechują się znaczną siłą ekspresji i piękna. Były też wielokrotnie publikowane w książkach o św. Kindze: K. Szwargi, L. Kowalskiego i S. Fischera. Według informacji internetowej, sporządzonej zapewne przez kogoś z Muzeum Podhalańskiego w Nowym Targu był Bochyński autorem „licznych obrazów, głównie o tematyce religijnej, które znajdują się w wielu podhalańskich kościołach”.

Z podobizn osób świeckich do naszych czasów zachowały się chyba tylko dwa. Jeden to portret Adolfiny Tillowej, wyobrażający kobietę o pełnej twarzy z zaczesanymi do góry jasnymi włosami. Drugi jest portretem kobiety w stroiku na głowie. Nazwisko portretowanej kobiety nie jest znane. Oba te obrazy są przechowywane w Muzeum Narodowym w Przemyślu⁹. Ten fakt, oraz to, że Adolfina Tillowa należąca do rodziny znanego profesora prawa o tym nazwisku w Uniwersytecie Lwowskim,

gałązkami kwiatowymi. Głowę jej spowija welon zakonny z umieszczoną na niej ozdobną mitrą książęcą. W lewej dłoni trzyma berło, na prawym ramieniu wspiera się wyidealizowany model kościoła klasztornego, którego była fundatorką. Koło prawej ręki zwisa różaniec⁸. Obraz o wymiarach 320x107 cm przeznaczony był do zamieszczania w ołtarzu polowym podczas uroczystości odpustowych. Twarz św. Kingi o rysach ascetycznych ujęta jest w konwencji obrazowania świętych kanonizowanych i błogosławionych beatyfikowanych jakie są znane niemal powszechnie, zwłaszcza w XX w. Obraz miał być namalowany w r. 1892.

Drugi obraz św. Kingi wykonany jest według jej wizerunku namalowanego przez Jana Matejkę w r. 1892, znajdującego się w Muzeum Żup Solnych w Wieliczce. Św. Kinga ukazana jest w pozycji klęczącej na tle rozległego pejzażu

⁸ Opis obrazów i informacje o nich za: Ikonaografia Starego i Nowego Sącza, Muzeum Okręgowe w Nowym Sączu 2012, s.70 – 71. Dwa obrazy św. Kingi reprodukowane tutaj na podstawie wspomnianej publikacji.

⁹ Oba obrazy reprodukowane tutaj za zgodą Muzeum Narodowego w Przemyślu po opłaceniu 240 zł.

żyła i działała m. in. na polu filantropii w tym mieście, zdają się potwierdzać wziętość i uznanie jakim się cieszył Bochyński. Portretowane osoby ujęte są w konwencji naturalistycznej. Najprawdopodobniej malarz chciał je przedstawić wiernie i dlatego nie stosował różnych oryginalnych technik artystycznych. Obraz Tillowej został bardziej wysubtelniony niż drugiej kobiety.

Bez względu na krytykę malarstwa kościelnego w Starym Sączu i Łącku stwierdzić należy, że musiał posiadać niewątpliwy talent, choć zapewne nie najwyższego lotu i wielką wrażliwość estetyczną skoro go angażowano do upiększania kościołów. Portrety z kolei zapewne odpowiadały ówczesnym gustom, skoro nawet z rodzin profesorskich-uniwersyteckich zamawiano u niego podobizny. Musiał też wieść życie ruchliwe skoro docierał do Krakowa i Lwowa.

Po przeniesieniu się w początku XX w. do Maniów dał się poznać również jako znany fotograf. Uruchomił zakład fotograficzny z filią w Nowym Targu i jak podkreśla się „był jednym z pierwszych fotografów zawodowych, który wykonywał zdjęcia okolicznościowe i portrety mieszkańców miasta”. Do jego prac należą portretowa fotografia prezesa Stowarzyszenia Rękodzielników w Nowym Targu, portret rodziny mieszczańskiej, pamiątkowe zdjęcie z jubileuszu 25-lecia Straży Pożarnej w Nowym Targu (1907). Niektóre ze zdjęć są umieszczone na artystycznych kartonikach z ornamentacją. Fotografie wykonane przez Bochyńskiego znajdują się w Muzeum Podhalańskim w Nowym Targu. W książce „Dzieje miasta Nowego Targu”, pod redakcją Mieczysława Adamczyka, Nowy Targ 1991 w dziale ilustracyjnym, w części V jest zamieszczony „Portret rodziny mieszczańskiej wykonany około 1900 r. Fot. S. Bochyński. Zbiory Muzeum Podhalańskiego” oraz „Rodzina mieszczańska Wolskich rok 1902. Fot. Wykonana prawdopodobnie przez S. Bocheńskiego. Zbiory autora”. Jest zatem Bochyński pierwszym fotografem, portretującym Łącko i jego mieszkańców, chyba m. in. autorem zbiorowego zdjęcia zjazdu inteligentów z Łącka i jednym z pierwszych fotografów mieszkańców Nowego Targu. Nic nie wiadomo natomiast o jego uczniach, poza jednym przypadkiem. U niego uczył się malarstwa pokojowego i pozłotnictwa Stanisław Dybiec, późniejszy naczelnik Straży Pożarnej w Łącku. Posiadał on artystyczne szablony do malowania zwieńczeń ściennych. Narzędzia agatowe („agaty”) do wygładzania-polerowania blaszek złotych na rzeźbach i ścianach kościołów zakupione od niego (nie pracował już zawodowo) pokazywała mi Zofia Kowalska z Krakowa. Artystka która wraz z mężem Zbigniewem Kowalskim malowała w latach sześćdziesiątych XX w. kościół w Łącku. Stanisław Dybiec używał także pieczętki „malarz i pozłotnik”.

Osoba Bocheńskiego jest postacią symboliczną. Uosabia człowieka, który dzięki talentowi i uporowi potrafił wybić się, zdobyć uznanie i wziętość w Galicji. Rozpoczął tradycję malarską w Łącku, którą w późniejszych czasach kontynuowali inni choć nie na taką skalę. Stał się też zasłużonym malarzem i fotografem Podhala, zwłaszcza Nowego Targu. Sądzę więc, że ktoś z pracowników Muzeum Podhalańskiego dopełni mą pracę i ukaże całość działalności artysty w tym regionie i mieście.



Św. Kinga z modelem Kościoła Św. Trójcy, 1892 r.



Św. Kinga, 1896 r.(?) Według obrazu Jana Matejki „Św. Kinga” z 1892 r. znajdującego się w Muzeum Żup Solnych w Wieliczce



Portret Adoliny Tillowej



Portret kobiety

Zatrzymane w kadrze



Aniela Sopata i Katarzyna Babel – 1962 rok
(ze zbiorów Bożeny Wawrzyniak)



Wawrzyniec Sopata i Józef Rosse – 1933 rok
(ze zbiorów Bożeny Wawrzyniak)



Por. Stanisław Mazan podczas rozbudowy
remizy OSP w Łącku – lata 40. (ze zbiorów
Rozalii Plechtowej)



Tadeusz Zygałło i Tadeusz Moryto – 1962 rok
(ze zbiorów Tadeusza Zygałło)



*Władysław Plechta 1914–1964 (ze zbiorów
Rozalii Plechtowej)*



*Rozalia Plechtowa z domu Pawlik z bratem
Janem Pawlikiem (ze zbiorów Rozalii Plechtowej)*



*Jan Talar 1920–1981, dr medycyny, kapitan WP
(ze zbiorów TMŻŁ)*



Jakub Pachut (ze zbiorów TMŻŁ)



*Józef Sopata i Stanisław
Baziak – 1950 rok
(ze zbiorów Bożeny Waw-
rzyniak)*



*Od lewej: Jan Baziak,
p. Lasocki, Zofia Faron,
Józef Marek. 1949 rok.
(ze zbiorów TMZŁ)*



*Niedziela Palmowa
w Łącku – 1938 rok
(ze zbiorów Bogusławy
Czech)*



Jan Cedzidło z Łącka (ze zbiorów Rozalii Plechtowej)



Widok na szkołę i kościół w Łącku – lata 40. (ze zbiorów TMZŁ)



W tym domu na terenie Austrii, w miejscowości Ernsdorf przebywali na przymusowych robotach w czasie II wojny światowej Władysław Gromala i Stefania Kutwa z d. Gromala (ze zbiorów Marii Cebula)



Józef Gromala w wojsku – 1950 rok (ze zbiorów Marii Cebula)



Władysława i Władysław Gromalowie – foto ślubne (ze zbiorów Marii Cebula)

W moich szpargałach sprzed lat znalazłem następujący zapis:

Na Jeżowej z lewej strony ścieżki, na początku lasu znajdują się jakieś sztuczne rowy. Może to okopy – pozostałość z wojny w 1939 r.? A było to tak:

Byliśmy w czerwcu na Jeżowej na grzybach. Zaraz na początku lasu, z lewej strony rosty pierwsze lisówki. Idąc w głąb krzaków, zobaczyłem ich więcej. Bardzo lubię jajecznicę na kurkach, więc cieszyłem się, że rosną tak obficie. Oddalając się od ścieżki, ciągle w stronę Czernieca, nagle wpadłem do jakiegoś rowu. Rosły tam poziomki, którymi zacząłem się objadać. Posuwając się dalej, równoległe do ścieżki, zobaczyłem znowu podobny rów.

Zaczęło mnie zastanawiać: skąd tak wysoko znalazły się te rowy? Przecież nie wyżłobiła je woda, bo nie ma tu śladu żadnego źródła. A zatem wykopał je człowiek! Wygląda na to, że są to pozostałości po okopach! Tylko z której wojny?

Czas płynął, pytani ludzie nic nie wiedzieli o tych rowach, a ja o nich zapomniałem. Co parę lat, gdy byłem na Jeżowej przypominały mi się te okopy, i dalej zapadały w niepamięć, coraz bardziej zarastając.

Po blisko 60 latach, w czasie rozmowy z panią Rozalią Plechtową, dowiedziałem się, że tuż przed wojną, na wiosnę 1939 r., w Łącku stacjonował niewielki oddział wojska polskiego. Żołnierze kręcili się

po okolicy, ale nie wiadomo co robili. I wtedy doznałem olśnienia, to oni zapewne wykopali okopy na Jeżowej! Byłoby to stanowisko obronne, z ogniem skierowanym na drogę do Krościenka, na odcinku od Czernieca w stronę Łącka.

W 1939 roku przedpole było wolne i widoczność była dobra, teraz rośnie tam las. Okopy te nigdy nie były wykorzystane. Co prawda w 1914 roku Józef Piłsudski z legionistami właśnie z Jeżowej, na koniach zjeżdżał do Łącka, ale kierował się na wschód, zatem nie był zainteresowany budowaniem okopów w stronę przeciwną.

Może ta notatka zainteresuje młodych historyków, krajoznawców czy tzw. rekonstruktorów historii. Pewnie trzeba by ją jeszcze potwierdzić z innego źródła. Może ktoś z czytelników coś wie na ten temat?





Archiwalia: banknoty II RP





Z inicjatywy Almanachu Muszyny, Stowarzyszenia Przyjaciół Almanachu Muszyny, Almanachu Sądeckiego – Civitas Christiana, Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu, Polskiego Towarzystwa Historycznego oddział w Nowym Sączu i Towarzystwa Karpackiego, w dniu 5 lipca 2013 roku, odbyło się, w Miasteczku Galicyjskim w Nowym Sączu, już po raz czwarty, Forum Prasy Sądeckiej.

IV Forum Prasy Sądeckiej objęli swoim Honorowym Patronatem: Jan Golonka – Starosta Nowosądecki, Ryszard Nowak – Prezydent Nowego Sącza. Patronat naukowy: Instytut Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Podczas IV Forum Prasy Sądeckiej debatowano nad tematem „Ochrona dziedzictwa kulturowego Karpat na tle Konwencji Karpackiej”. Temat ten został potraktowany jako przygotowanie do I Forum Czasopism Karpackich – Nowy Sącz w 2014 roku.

Obrady otworzył Robert Ślusarek, Dyrektor Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu i Stanisław Pażucha, Prezes Oddziału Małopolskiego „Civitas Christiana”.

Wykłady inauguracyjne wygłosili: dr. hab. Tadeusz. M. Trajdos, profesor w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk, pt. „Z Trajdosem w Karpaty – karpackie wyprawy w latach 1989–2002. Metoda poznawania Karpat”, oraz Andrzej Wielocha, prezes Towarzystwa Karpackiego, redaktor naczelny Almanachu Karpackiego „Płaj”, pt. „Czasopisma karpackie i Konwencja Karpacka – co o nich wiemy?”

Głos w tej sprawie zabrali także Miroslav Števík, współredaktor pisma „SPIŠ”, które wydaje Muzeum Spiszu w Spiskiej Nowej Wsi, oraz Bożena Mściwujewska – Kruk, redaktor naczelna „Almanachu Muszyny”.

W panelach tematycznych IV Forum Prasy Sądeckiej, w których udział wzięły redakcje prasy lokalnej, archiwiści, bibliotekarze i muzealnicy z Sądeckizny dyskusja toczyła się wokół tematów: „Projekt programu I Forum Czasopism Karpackich – Nowy Sącz 2014, moderatorem tego panelu był Ryszard Kruk ze Stowarzyszenia Przyjaciół Almanachu Muszyny i Františka Marcinowa z redakcji „Sądecko – Spiskich Zeszytów”, Muzeum na Zamku w Starej Lubowli.

W drugim panelu „Prasa lokalna – wersja papierowa i elektroniczna – jak to pogodzić? Przygotowania do VI Forum Prasy Sądeckiej w 2015 roku”, dyskusję moderowali: dr. Ryszard Filas z Instytutu Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej UJ oraz Jadwiga Jastrzębska, zastępca redaktora naczelnego Almanachu Łąckiego.

Wykład końcowy „725. rocznica pierwszej znanej pisemnej wzmianki nazwa Muszyna” wygłosił prof. dr. hab. Kazimierz Przyboś.

Wnioski z dyskusji w obu panelach i propozycję przyjęcia Deklaracji IV Forum Prasy Sądeckiej 2013 przedstawił Leszek Migrała, redaktor naczelny Almanachu Sądeckiego.

Podczas IV Forum Prasy Sądeckiej została wręczona doroczna Nagroda Szczęsnego Morawskiego, za najlepszą książkę o Sądeckiznie, wydaną w 2012 roku. Kapituła

Nagrody Szczęsnego Morawskiego przyznała tę nagrodę Grzegorzowi Olszewskiemu, za książkę „Więźniowie KL Auschwitz z powiatu nowosądeckiego: księga pamięci – Nowy Sącz”. Laudację w imieniu Kapituły wygłosił Artur Franczak, dyrektor Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej w Nowym Sączu. Laureat wyróżniony został także „Srebrnym Jabłkiem Sądeckim”, przyznał to wyróżnienie Zarząd Starostwa Nowosądeckiego.

IV Forum Prasy Sądeckiej towarzyszyła wystawa pn. „Muszyńska Biblioteka na rzecz ochrony okrucichów lokalnej pamięci. Komentarz do tej wystawy wygłosiła Sylwia Rypel z Biblioteki Publicznej w Muszynie, która tę wystawę przygotowała.

Obrady IV Forum Prasy Sądeckiej zakończyło przyjęcie tematyki jubileuszowego V Forum Prasy Sądeckiej w 2014 roku: „Czasopisma karpackie na rzecz ochrony dziedzictwa kulturowego Karpat” z udziałem prasy lokalnej z Czech, Polski, Rumunii, Słowacji i Ukrainy.



Dr hab. Tadeusz M. Trajdos



Prof. dr hab. Kazimierz Przyboś



Wydawnictwa i materiały promocyjne Gminy Łącko i Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej



*Od lewej: Miroslav Števík,
Ryszard Kruk, Bożena
Mściwujewska Kruk*



Konwencja Karpacka



*Fragment wystawy
fotograficznej „Muszyń-
ska biblioteka na rzecz
ochrony okruchów lokalnej
pamięci”*

W sądeckim Ratuszu, w Sali im. Stanisława Małachowskiego, w dniu 5 lipca br. odbyła się promocja, kolejnego, XLI tomu „Rocznika Sądeckiego”. Po otwarciu spotkania przez Jerzego Leśniaka, głos zabrał Ryszard Nowak, prezydent Nowego Sącza.

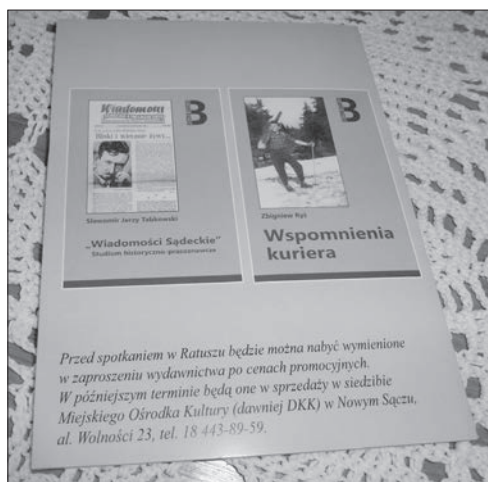
Następnie wystąpił prof. dr. hab. Feliks Kiryk, Przewodniczący Komitetu Redakcyjnego „Rocznika Sądeckiego”.

Tegoroczny, XLI tom „Rocznika Sądeckiego” poświęcony został Generałowi Franciszkowi Gągorowi, który zginął w katastrofie lotniczej pod Smoleńskiem w dniu 10 kwietnia 2010 roku. W katastrofie tej zginęło 96 osób w tym Prezydent Lech Kaczyński z małżonką.

Biblioteka „Rocznika Sądeckiego” wzbogaciła się o kolejne pozycje: Sławomira J. Tabkowskiego „Wiadomości Sądeckie. Studium historyczno – prasoznawcze”, oraz Zbigniewa Rysia „Wspomnienia kuriera”.

Po prezentacji z recitalem wystąpił zespół Young Voice z Miejskiego Ośrodka Kultury w Nowym Sączu, pod kierunkiem Ireny Górowskiej.

Wszystkie wydawnictwa prezentowane podczas tego spotkania można było nabyć po promocyjnej cenie. Obecnie są dostępne w siedzibie Miejskiego Ośrodka Kultury w Nowym Sączu, al. Wolności 23.



I festyn pod hasłem "Razem możemy więcej"

Stowarzyszenie Wspierania Edukacji i Rozwoju Wsi Zarzecze, które prowadzi Szkołę Podstawową w Zarzeczu, zorganizowało w dniu 15 sierpnia 2013 roku, wspólnie z sołtysem i Radą Sołecką I festyn pod hasłem „Razem możemy więcej”. W trakcie festynu prowadzona była publiczna zbiórka na rzecz Szkoły Podstawowej w Zarzeczu. Festyn odbył się na terenie boiska sportowego w Zarzeczu. W programie festynu znalazły się m.inn. występy artystyczne uczniów, zawody rekreacyjno-sportowe, występy młodych talentów, kiermasz różnaitości, kawiarenka „Pod lipą”, grill, potrawy i przysmaki regionalne.

Podczas festynu zebrano 8.121.62 zł. Po odliczeniu kosztów związanych z przeprowadzeniem zbiórki w wysokości 662,20 zł, pozostało 7.459,42 zł, która to suma w całości została przekazana na potrzeby Szkoły Podstawowej w Zarzeczu.



Struktura własności i użytkowania gruntów w Obidzy w świetle katastru józefińskiego

Cesarz Józef II po objęciu osobistych rządów (1780–1790) rozpoczął energiczne, bez mała gorączkowe reformowanie habsburskiej monarchii w duchu oświeconego absolutyzmu¹. Edyktem z 15 stycznia 1781 roku zniósł poddaństwo osobiste chłopów, we wrześniu tegoż roku wydał patent o opiece państwa nad chłopami i ograniczeniu jurysdykcji dworskiej. Szczegółowe rozporządzenia do tych aktów, w latach 1782–1786 rozciągnięte na wszystkie kraje monarchii, przyniosły chłopom galicyjskim swobodę w przenoszeniu się z miejsca na miejsce, zakaz ich rugowania i dziedziczne prawo do zajmowanych gruntów, ustalenia powinności dworskich i możliwość odwołania od wyroku sądu pana².

Jak każdy panujący, Józef II szczególną uwagę zwracał na zwiększenie dochodów skarbu, które miały być oparte na jednolitym dla wszystkich warstw i klas społecznych podatku gruntowo-dochodowym³. Aby określić wysokość powinności, należało dokonać gigantycznej pracy w postaci pomiarów, klasyfikacji i określenia dochodowości gruntów, tak rustykalnych jak i dominialnych, ustalić dokładną liczbę ludności, sporządzić szczegółowe zestawienia wszystkich obciążeń chłopskich⁴. Bowiem na własny użytek chłopu miało pozostać 70% jego dochodu, z czego ponad to miał wносить opłaty na potrzeby parafii i szkoły. Z pozostałych 30 % chłopskiego dochodu rocznie, 18% miało przypadać właścicielom dóbr, zaś 12 % rocznego dochodu z gruntów zarówno chłopskich jak i dominialnych państwo miało pobierać jako podatek. W tym celu należało wszystko wyliczyć w pieniądzu, a więc praktycznie zamienić pańszczyznę na czynsz, co miało być prowadzone stopniowo⁵.

Postanowienia w sprawie jedyne go podatku i powszechnej regulacji feudalnych obciążeń zostały zadekretowane patentem urbarialnym z 10 lutego 1789 roku a sama reforma urbarialna miała obowiązywać od dnia 1 listopada 1789 roku⁶.

Po dyskusjach i rozpatrzeniu licznych pomysłów jak dokonać pomiarów oraz klasyfikacji gruntów i sporządzić kataster⁷, nie doszedł do skutku zamysł centralne-

¹ E. Rostworowski. *Historia powszechna wiek VIII*. Warszawa 1977, s. 736; St. Grodziski. *Franciszek Józef I*. Wrocław 1978, s. 17; St. Grodziski. *W Królestwie Galicji i Lodomerii*. Kraków 2005, s. 26.

² E. Rostworowski. *op.cit.* s. 738; St. Grodziski. *Franciszek...*, s. 25.

³ E. Rostworowski. *op. cit.* s. 738. Także: A. Falniowska-Gradowska. *Studia nad społeczeństwem województwa krakowskiego w XVIII wieku. Struktura własności ziemskiej i użytkowania gruntów w świetle katastru józefińskiego*. Warszawa 1982, s. 12.

⁴ E. Rostworowski. *op. cit.* s. 738; A. Falniowska-Gradowska. *op. cit.* S. 12-13; St. Grodziski. *W Królestwie ...* s. 64.

⁵ E. Rostworowski. *op. cit.* s. 738.

⁶ Tamże; St. Grodziski. *W Królestwie ...* s. 64.

⁷ *Kataster: urzędowy spis, rejestr gruntów, nieruchomości z oszacowaniem ich wartości i wykazem dochodów głównie dla celów podatkowych*. Za: Wł. Kopaliński. *Słownik wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych*. Warszawa 1970, s. 373. Kataster józefiński zamiennie nazywano również metryką józefińską

go ich przeprowadzenia i władze – jak zwykle – wybrały sposób najtańszy. Patentem z dnia 12 kwietnia 1785 roku zalecono podatnikom – właścicielom ziemskim i wiejskim gromadom – przeprowadzenie pomiarów i sporządzenie ich dokumentacji⁸. Nakazano wprowadzić do dokumentacji każdą parcelę oddzielnie, ich suma miała stanowić obszar produktywnych (role, pastwiska z krzakami, łąki, lasy, odłogi i ugory, stawy hodowlane) gruntów poszczególnych wsi. Nie wchodziły w nie nieużytki: skały, góry, bagniska, drogi publiczne, gościńce, drożyny, rzeki, jeziora, parcele budowlane⁹.

Prace miernicze miały być przeprowadzone przez samorząd wiejski – wójta i przysiężnych pod nadzorem przyuczonych urzędników dworskich. Najpierw mierzono grunta dworskie, by wójt i przysiężni mogli nabyć niezbędnej praktyki i biegłości. Wszystkie prace pomiarowe były jawne, każdy mógł sprawdzić ustaloną przez nie powierzchnię gruntów a także żądać ich weryfikacji i porównania w miarach dawniej używanych¹⁰. W sytuacjach trudnych – najczęściej skomplikowana konfiguracja terenu lub parcel, sprawy sporne – komisje gminne mogły korzystać z pomocy wyznaczonych przez komisje cyrkularne licencjonowanych geometrów¹¹. Przed przystąpieniem do pomiarów – które w całej Galicji ukończono w 1788 roku – i sporządzeniu katastrów, utworzono nowe jednostki terytorialne, tak zwane gminy katastralne. W tym celu małe osady i oddzielnie położone zagrody przyłączano do większych wsi, tak aby każda gmina katastralna liczyła przynajmniej 40-50 osiadłości. Liczba gmin katastralnych była więc mniejsza od liczby wsi¹².

Na terenie dominium¹³ jazowskiego utworzono 3 gminy katastralne: Obidzę, Brzynę z Łazami, Jazowsko z Gruszowem. Ustaloną w wyniku podziałów powierzchnię i strukturę gruntów gminy katastralnej Obidza, dominium jazowskie, powiat sądecko-czchowski, cyrkuł sądecki przedstawiają poniższe tabele.

⁸ A. Falniowska-Gradowska. op. cit. 13

⁹ Tamże

¹⁰ Stosowano jednolite jednostki miar powierzchni: mórg dolno austriacki = $5755,4 \text{ m}^2 = 1600 \text{ sążni}^2 = 0,5755 \text{ ha} = 57,554 \text{ a}$ oraz sążeń wiedeński = $3,597145 \text{ m}^2 = 0,3597 \text{ a}$

¹¹ A. Falniowska-Gradowska. op. cit. 14

¹² W powiecie sądecko-czchowskim na 621 wsi i 16 miast było 509 gmin katastralnych. Za: A. Falniowska-Gradowska. op. cit. s. 25.

¹³ Dominium – organ administracji lokalnej na terenie wiejskim, utworzone przez cesarza Józefa II w 1784 roku. Innymi słowy dominium to dwór jako organ władzy, bezpośredni egzekutor podatków państwowych, poboru rekruta, wykonawca wszelkich nawet najsurowszych poleceń władz cyrkularnych, czasem w niektórych dokumentach noszący nazwę „państwo”, np. Patent cesarski z 17.04.1848r. Dominium składało się z klucza wsi, jednej lub kilku wsi należących do jednego właściciela który sprawował nad poddanymi władzę administracyjną i sądowniczą z tytułu przysługującej mu zwierzchności gruntowej. Posiadały jednak dominia pewien zakres samorządu z mianowanym przez pana wójtem oraz przysiężnikami. Zarządzali oni majątkiem gromadzkim i sprawowali sądownictwo polubowne. Szerzej zob. J. Malec, D. Malec. Historia administracji i myśli administracyjnej. Wyd. II. Kraków 2003, s. 43-44. Także: St. Grodziski. W Królestwie ... s. 34 i 66

Tab. 1 Areał i struktura gruntów produkcyjnych gminy katastralnej Obidza w latach 1785–1788.

Własność	Role		Ogrody		Łąki		Pastwiska z krzakami	
	M	S	M	S	M	S	M	S
D	11	520	1	870	37	228	23	770
G	213	937	25	268	460	1328	446	760
R	224	1457	26	1138	497	1556	469	1530

Własność	Lasy		Razem		Razem		% ogółu gruntów
	M	S	M	S	H	A	
D	2139	723	2212	1511	1273	64	65,88
G	-	-	1146	93	659	59	34,12
R	2139	723	3359	4	1933	23	100,06

Źródło: A. Falniowska-Graniewska. Op. Cit. s. 244-245

D = dwór; G = gromada (chłopi); R = razem; M = morga; S = sążnie; H = hektary; A = ary

Przy zamianie na metryczne jednostki miar powierzchni przyjęto (wylczenie autora):

Mórg dolnoaustriacki = 5755,4 m² = 1600 sążni² Sążeń dolnoaustriacki = 3,597145 m² = 3,6 m²

Tab. 2. Areał i struktura gruntów produkcyjnych w Obidzy w latach 1785–1788

Wła-sność	Role		Ogrody		Łąki		Pastwiska		Lasy	
	H	%	H	%	H	%	H	%	H	%
D	6,52	0,51	0,89	0,07	21,37	1,68	13,52	1,06	1231,34	96,68
%	5,04	x	5,79	x	7,46	x	5,00	x	100,00	x
G	122,92	18,64	14,49	2,20	265,22	40,20	256,96	38,96	-	-
%	94,96	x	94,21	x	92,54	x	95,00	x	-	-
R	129,44	6,70	15,38	0,80	286,59	14,82	270,48	13,99	1231,34	63,69
%	100,00	x	100,00	x	100,00	x	100,00	x	100,00	x

Źródło: Wylczenia autora na podstawie Tab.1.

Z katastru józefińskiego dowiadujemy się, że areał gruntów produkcyjnych gminy katastralnej Obidza wynosił 3359 morgów i 4 sążnie (1933,23 ha) i był trzykrotnie większy od areału gruntów produkcyjnych w gminie katastralnej Jazowsko i gminie Brzyna. W rzeczywistości powierzchnia Obidzy była o kilkadziesiąt morgów większa, bowiem metryka nie uwzględniała nieużytków. 65,88% ogółu gruntów w Obidzy należy do dworu, zaś w Jazowsku 32,1% a w Brzynie 10,5 %.

Analizując strukturę gruntów produkcyjnych w Obidzy widzimy, że role (grunty orne) stanowią 6,7 % ogółu, ogrody (najbliższe otoczenie zagród z drzewami owocowymi, często warzywnikami) 0,80 % łąki 14,82%, pastwiska i krzaki 13,99% a lasy

aż 63,69% ogółu gruntów produkcyjnych. W Obidzy, podobnie jak i w pozostałych gminach katastralnych dominium, nie wykazano odłogów i ugorów ani stawów.

Ciekawą jest struktura własności gruntów produkcyjnych w Obidzy. Użytki rolne, czyli role, ogrody, pastwiska i łąki w 94,03 % należały do chłopów¹⁴, zaś lasy w 100% do dworu. Zastanawia brak wykazania lasów w areale gruntów chłopskich, bowiem spisy hipoteczne parcel z przełomu XIX i XX wieku, oparte na mapach katastralnych z 1848 roku wykazują dosyć znaczny areal lasów chłopskich. Najprawdopodobniej lasy w gospodarstwach chłopskich nie były w tym czasie typową uprawą leśną i zostały zaszeregowane do kategorii „pastwiska i krzaki”¹⁵.

Własność dworska w Obidzy to przede wszystkim lasy, użytki rolne o powierzchni 42,30 ha, to zaledwie 3,32 % jej powierzchni. Lasy stanowiły zwarte, nawet kilkusethektarowe kompleksy, rozpościerające się na opadających w stronę Obidzy i dolin Potoków Bukowego, Majdańskiego i Obidzkiego zboczach Koziarza, Błyszcz, Dzwonkówki, Skalki i Będzikówki. Użytki rolne wśród których użytki zielone (łąki i pastwiska) stanowiły 82,48 %, rozciągały się 40-hektarowym zwartym kompleksem od ujścia Potoku Majdańskiego do Potoku Obidzkiego aż po niewielki, bezimienny, lewobrzeżny dopływ Potoku Majdańskiego wpadający do niego w Stępniku¹⁶. Wschodnią granicę tego kompleksu w całości stanowił Potok Majdański, północną – odcinek Potoku Obidzkiego, zachodnią – chłopskie grunta Florkówki zwanej również Do Wojciechów, zaś południową – bezimienny potok opisany powyżej. Grunty te pod względem jakości gleby, urodzajów, konfiguracji powierzchni stanowiły jedne z najlepszych we wsi, szczególnie łąki i pastwiska¹⁷. Drugi, niewielki obszar dworskich użytków rolnych, liczący około 2,5 ha znajdował się w części Obidzy zwanej Mościska.

W strukturze chłopskich gruntów produkcyjnych dominują użytki zielone, łąki i pastwiska, stanowiąc 4/5 ich powierzchni. Obszar chłopskiego gospodarstwa stanowił istną mozaikę parcel o różnorodnym charakterze użytkowania. Wiązało się to z dążeniem do maksymalnego wykorzystania każdego kawałka ziemi i użytkowania

¹⁴ Ziemia użytkowana przez chłopów nie była ich własnością, uprawiali pańską ziemię jako dożywotni lub dziedziczni dzierżawcy i byli zobowiązani do świadczeń na rzecz pana, do których ogólnie należały: czynsz w pieniądzu, danina w produktach rolnych, hodowlanych, rzemieślniczych i pańszczyzna. Ponadto niewielkie podatki państwowe, dziesięcina i „meszne” (podatek przysługujący parafii za odprawianie mszy w kościele dla proboszcza. Uwłaszczenie chłopów – uzyskanie prawa własności do ziemi przez siebie użytkowanej nastąpiło w Galicji w 1848 roku. Sam proces uwłaszczenia trwał w Galicji do 1857 roku.

¹⁵ Kataster nie wykazuje żadnych lasów w Brzynie, w Obidzy jedynie dworskie a w Jazowsku jedynie lasy chłopskie o powierzchni 113 morgów i 903 sążni. Udział użytków rolnych chłopskich wynosił w Jazowsku 64,19% a w Brzynie 92,24% ogółu użytków rolnych. O tzw. „krzakach” – lasach brzoźowych które nie zdołały osiągnąć jeszcze klimaksowego stadium równowagi zob.: Przyroda Popradzkiego Parku Krajobrazowego. Red. J. Staszkievicz. Stary Sącz 2000, s. 153-154

¹⁶ Nazwy części wsi, obiektów fizjograficznych za: Urzędowe nazwy miejscowości i obiektów fizjograficznych. Powiat nowosądecki i powiat miejski Nowy Sącz, województwo krakowskie. Wydane przez Urząd Rady Ministrów. 1964. s. 28-31. Także: mapy turystyczne Beskidu Sądeckiego; własne badania terenowe.

¹⁷ Położenie, jakość gleby, użytkownicy i forma własności zarówno dawniej jak i obecnie nasuwa nieodparte przypuszczenie, że mógł to być folwark. Jednak znane źródła nie uprawniają do postawienia takiej tezy. Na pewno grunty te były zawsze użytkowane przez właścicieli wsi, i obrabiane przez włościan, być może w formie pańszczyzny wydzielowej – jutrzni. Nie wykluczone, że grunty te, a raczej pożytki z nich mogły stanowić formę uposażenia zarządców lasów dworskich.

go zgodnie z możliwościami jakie dawał. W pochodzącym z przełomu XIX i XX wieku wykazie hipotecznym, w gospodarstwie oznaczonym symbolem LWH 39 znajdujemy 94 parcele, z tego między innymi 3 budowlane, 7 zajętych pod drogi, 16 oznaczonych jako łąki a 30 to role o powierzchni od 0,68 a do 1,73 ha. Części gruntów chłopskich w Obidzy zakwalifikowane do kategorii ogrody stanowią niewielki odsetek, średnio na jedno siedlisko przypada parcela o powierzchni około 0,09 ha¹⁸.

Najlepsze części gruntów chłopskich gdzie możliwa była orka to role, liczą one 122,92 ha i stanowią 18,64% ogólnego areалу chłopskich gruntów produkcyjnych. Ich wartość produkcyjna była wielce zróżnicowana, zależała od konfiguracji terenu, typu i jakości gleby, wysokości względnej i bezwzględnej, nachylenia stoku itp. Najlepsze role, najbardziej przydatne do orki to grunty dworskie a także role znajdujące się w takich częściach Obidzy jak Grabka, Majerz, Chudobówka, Błasiaki, Podsiadówka, Smalarkówka, Zagrody, Zatracz, Opalanka.

Struktura gruntów produkcyjnych Obidzy w której w części dworskiej dominowały lasy, a w części chłopskiej łąki i pastwiska, determinowała rodzaj gospodarki i uzyskiwanych pożytków. Dwór główne pożytki czerpał z lasów, w gospodarce chłopskiej dominowała hodowla, głównie bydła i owiec, także kóz u mało lub bezrolnych. Pozostała gałąź rolnictwa a więc uprawa roli, stanowiła cenne uzupełnienie podstaw bytu, szczególnie o zboża chlebowe żyto, jęczmień i paszowe – owies, okopowe rzepę, brukiew, później przede wszystkim ziemniaki, strączkowe jak bób, fasola, groch a także warzywa kapustne, cebulowe, dyniowate.

Cesarz Józef II nie zdołał przeprowadzić reformy urbarialnej, która miała zbyć wielu przeciwników w całej monarchii. Trawiony gruźlicą, na łożu śmierci wycofał patent urbarialny z lutego 1789 roku. Zmarł 22 lutego 1790 roku, a jego brat i następca Leopold II (1790–1792) uchylił całą reformę urbarialną pod niesłusznym pozorem, że oparta była na niedokładnych pomiarach i nie mogła spełnić swoich założeń¹⁹.

Reformie urbarialnej niechętny był nawet chłop galicyjski. Nie rozumiał jej istoty, nieufnie śledził poczynania władz, mierniczych i ich dociekania. Z czasem jednak przeważało u niego przekonanie, że reforma urbarialna byłaby dla wsi korzystna. Przekonanie to, legło zapewne u genezy ludowej legendy i pamięci o niej jako o dobrodziejstwie przychylnego chłopom cesarza, któremu ziemscy właściciele uniemożliwili ulżenie doli ludu i było źródłem naiwnego chłopskiego monarchizmu, utrzymującego się w Galicji do początków XX wieku²⁰.

¹⁸ Ustalenia własne na podstawie: Obidza in Galizien Sandecer – Kreis Bezirk Jazowska. 1846. Także: Wykaz hipotecznych parcel (LWH)

¹⁹ Znawcy zagadnienia uważają, że metryki józefińskie (kataster) podają obszar 8-12 % mniejszy niż kataster stały z 1845 roku. Zob. A. Falniowska-Gradowska. op. cit. 15. Pomimo tych niedoskonałości, zdeterminowanych ówczesnym stanem techniki i narzędzi mierniczych, stanowią ważne źródło do historii gospodarczej Galicji. Nie do przecenienia jest również wpływ katastru józefińskiego na późniejsze księgi hipoteczne i księgi wieczyste.

²⁰ Autor niniejszego szkicu jeszcze na przełomie lat 50 i 60 dwudziestego wieku słyszał od najstarszych mieszkańców Obidzy że, „nie było jak za Austrii”, przy czym sentyment ten odnosił się raczej do Franciszka Józefa I.

Rozbudowa Zespołu Szkolno-Gimnazjalnego w Łącku

Po prawie dwóch latach, i wielu staraniach, udało się władzom samorządowym Gminy Łącko pozyskać środki na rozbudowę Zespołu Szkolno Gimnazjalnego w Łącku. W dniu 4 września br. w Sali Obrad Urzędu Gminy Łącko, odbyło się spotkanie Wojewody Małopolskiego, Jerzego Millera z wójtem Gminy Łącko, Januszem Klagiem. Podpisana została umowa o przekazaniu środków z rezerwy budżetowej Prezesa Rady Ministrów na rok 2013, w wysokości 2.414.720 zł, z przeznaczeniem na budowę Gimnazjum w Łącku.

12 września 2013 roku przekazano plac pod budowę i natychmiast rozpoczęto roboty ziemne. Budowę inwestycji realizuje wyłoniona w drodze przetargu Firma ER-BET z Nowego Sącza.

Podpisanie umowy na rozbudowę ZSG. Od lewej: Wojewoda Małopolski Jerzy Miller, Janusz Klag, wójt Gminy Łącko, Małgorzata Bochenek – skarbnik



Wizualizacja całej inwestycji



I etap budowy, wyburzanie przybudówki



Prace ziemne









Wizyta na budowie. Od lewej: Rafał Skąpski, Janusz Klag i Tadeusz Zaremba



Wizyta na budowie radnych Rady Gminy Łącko, wójta Janusza Kłaga, skarbnika Małgorzaty Bochenek, w-wójta Tadeusza Zaremby



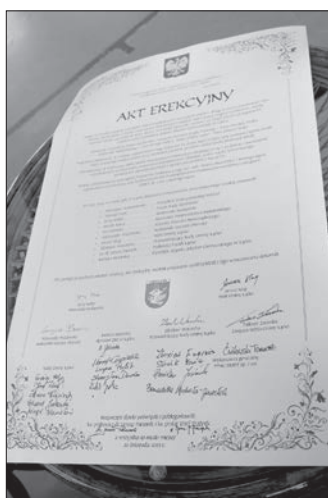
Zamknięcie stanu surowego budynku Gimnazjum



Spotkanie z okazji wmurowania Aktu Erekcyjnego w Zespole Szkolno-Gimnazjalnym w Łącku



Podpisanie Aktu Erekcyjnego, od prawej Wojewoda Małopolski Jerzy Miller, wójt gminy Łącko Janusz Klag



Akt Erekcyjny

- 01.06.2013 Dzień Dziecka w Hali Sportowej w Łącku. Upominki dzieciom z okazji ich święta, wręczył Janusz Kłag, wójt Gminy Łącko.
- 12-14.06.2013 Dzięki staraniom Stowarzyszenia Górali Białych i Lachów Sądeckich, we współpracy ze Stefanem Kozikiem oraz Kołem Gospodyń Wiejskich „Nasza Ziemia Zagorzyn”, na Listę Produktów Regionalnych, prowadzoną przez Ministra Rolnictwa i Rozwoju Wsi, zostały wpisane kolejne 4 produkty z Gminy Łącko: żytko, placki z blachy, kapuśniorka z grzybami, nalewka łązowska-jałowcówka. Rejestracja tych produktów była możliwa dzięki uzyskaniu przez Stowarzyszenie Białych Górali i Lachów Sądeckich, wsparcia finansowego z Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2007–2013 i realizacji projektu współpracy „Smak na Produkt”.
- 21-23.06.2013 XI Świętojańskie Dni Młodych w Łącku. W tym roku odbyły się pod hasłem „Jesteście Solą Ziemi”, to słowa Jezusa Chrystusa, które są zaproszeniem i zadaniem dla każdego uczestnika tych dni. Celem tegorocznych Świętojańskich Dni Młodych było ukazanie, na nowo, czym jest wiara, chrześcijaństwo, a także jej wyrażenie, pogłębienie przez wspólną modlitwę. Tegoroczny program opierał się także na słowach papieża Franciszka... zgódź się więc, aby zmartwychwstały Chrystus wszedł w Twoje życie, przyjmij Go jak przyjaciela, z ufnością... Warsztaty ewangelizacyjne pod hasłem „Być solą dla innych”, poprowadził ks. Rafał Jarosiewicz oraz Marek Filar. Oprócz wspólnej modlitwy, były także zawody sportowe: piłka nożna, siatkowa, koszykówka, szachy, tenis stołowy, oraz koncerty religijne i imprezy kulturalne. Dzięki wielu sponsorom było wiele nagród do wygrania. Nagrodą główną był tygodniowy wyjazd do Taizé, we Francji, oraz do Strasburga w ramach Europejskich Spotkań Młodych. Całe spotkanie zakończyło się wspólną modlitwą i śpiewem na cześć bł. Jana Pawła II.
- 23.06.2013 Delegacja samorządu Gminy Łącko pod przewodnictwem wójta Janusza Kłaga i przewodniczącego rady Gminy Zdzisława Warzechy, wzięła udział w IX Dniach Folkloru w Petrovanach na Słowacji. Wraz z delegacją na Słowację wyjechał Zespół Regionalny „Górale Łąccy”.
- 25.06.2013 W Gminnej Bibliotece Publicznej w Łącku miało miejsce zakończenie zajęć bibliotecznych dla dzieci z Niepublicznego Przedszkola „Słowiczek” w Jazowsku. Przedszkolaki przez cały rok, co miesiąc, uczestniczyły w zajęciach bibliotecznych pod nazwą „Rok z Kubusiem Puchatkiem”. Zajęcia biblioteczne odbywały w bibliotece w Jazowsku, a także w przedszkolu. „Rok z Kubusiem Puchatkiem” zakończono wręczeniem każdemu przedszkolakowi legitymacji „Przyjaciel Kubusia Puchatka”.

- 28.06.2013 IX Powiatowe Forum Organizacji Pozarządowych w Nowym Sączu, w Miasteczku Galicyjskim.
- 05.07.2013 IV Forum Prasy Sadeckiej w Nowym Sączu, Miasteczko Galicyjskie Ratusz.
- 05.07.2013 Promocja XLI tomu Rocznika Sądeckiego w Ratuszu, w Nowym Sączu.
- 07.07.2013 W ramach akcji „Odkryj Beskid Wyspowy” odbyło się grupowe wejście na Modyń. Turystów na szlak poprowadziła Maria Pierzga z Łącka, przewodniczka PTTK i członkini limanowskiego GOPRu.
- 13.07.2013 W Jazowsku, oficjalnie, otwarto budynek szatni przy LKS Budowlani.
- 16.07.2013 Uroczystość wręczenia nominacji oficerskiej p. Władysławowi Świątnikowi. Uroczystość odbyła się w Urzędzie Gminy w Łącku. Wśród zgromadzonych gości byli przedstawiciele rodziny Władysława Świątnika, parlamentarzyści; Andrzej Czerwiński, Edward Siarka, Marian Cycoń, przedstawiciele Biura Poselskiego Andrzeja Romanka oraz Biura Senatora Stanisława Koguta, Polskie Towarzystwo Historyczne Oddział w Nowym Sączu reprezentował Jan Ruchała, a Towarzystwo Miłośników Ziemi Łąckiej prezes Jadwiga Jastrzębska. Z-ca Komendanta WKU w Nowym Sączu, ppłk. Henryk Kiełbasa w towarzystwie kapt. Zenona Koszuta wręczyli Władysławowi Świątnikowi nominację oficerską podpisaną przez Prezydenta RP, Bronisława Komorowskiego. Wszystkich serdecznie przywitał wójt gminy Łącko Janusz Klag i przewodniczący Rady Gminy Zdzisław Warzecha. Po części oficjalnej Janusz Klag, wójt gminy Łącko zaprosił wszystkich na wspólny poczęstunek.
- 20.07.2013 80-lecie założenia przez Marię Chwalibogankę Zespołu Regionalnego „Górale Łąccy”. Po odsłonięciu tablicy pamiątkowej upamiętniającej rodzinę Chwalibogów, oraz złożeniu kwiatów na grobie dr. Henryka Chwaliboga, na którym znajduje się tablica upamiętniająca Marię Chwalibogankę, ufundowaną przez TMZŁ, odbyła się rocznicowa góralska Msza Św., którą celebrowali: proboszcz Łąckiej parafii ks. Józef Trzópek, ks. Krzysztof Orzeł, ks. Robert Duda oraz ks. dr. Stanisław Kowalik. Po mszy wszyscy udali się do Amfiteatru, na Jezowej. Wieloletni członkowie zespołu zostali uhonorowani odznaczeniami i dyplomami. Zespół otrzymał odznaczenie Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego – Zasłużony dla Kultury Polskiej.
- 01.08.2013 Obchody wybuchu Powstania Warszawskiego pod pomnikiem Józefa Piłsudskiego w Łącku. Członkowie i sympatycy TMZŁ złożyli biało-czerwone kwiaty i zapalili znicze, w godzinie „W”, w Łącku zawyły syreny, ludzie zatrzymali się na chwilę.

- 7-11.08.2013 W Bukowinie Tatrzańskiej po raz 47, odbyły się Sabałowe Bajania. Gminę Łacką w tym roku reprezentowali Kamil Basta z Kadzcy i Piotr Pyrdoł z Zabrzeży w kategorii gawędziarzy, oraz dziewczęca grupa śpiewacza z kapeli "Fiyrloki": Natalia Bandyk, Katarzyna Twardowska, Anna Kałużny i Emilia Talar, która wystąpiła w kategorii młodzieżowej. Kamil Basta zdobył II nagrodę, III nagrodę Piotr Pyrdoł, wyróżnienie otrzymała żeńska grupa „Fiyrloki”.
- 11.08.2013 Msza dziękczynna za 28 lat posługi kapłańskiej proboszcza parafii w Łacku, ks. prałata Józefa Trzópka.
- 15.08.2013 Dzień Wojska Polskiego. Obchody 93 rocznicy „Bitwy Warszawskiej”.
- 15.08.2013 I festyn pod hasłem „Razemj możemy więcej” zorganizowany przez Stowarzyszenie Wspierania Edukacji i Rozwoju wsi Zarzecze, sołtysa i Rady Sołeckiej z Zarzecza.
- 18.08.2013 „Corno-Biołe biesiaduwanie”, impreza folklorystyczna zorganizowana przez Związek Podhalan o/Łacko, została w ramach projektu „Kultywowanie tradycji i zwyczajów Górali Łackich poprzez zakup strojów regionalnych oraz organizację Biesiady Góralskiej”. Projekt współfinansowany w ramach Europejskiego Funduszu Rolnego na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich. Impreza miał na celu przybliżenie historii i tradycji Białych Górali łackich oraz gości „Czarnych Górali nadpopradzkich”.
- 18.08.2013 Powitanie nowego proboszcza łackiej parafii ks. dr. Janusza Pacioraka.
- 31.08.2013 Wydanie tomiku wierszy Marii Kownackiej Polskie Madonny Ludowe, przez Towarzystwo Miłośników Ziemi Łackiej i firmę FLEXER-GIS z Nowego Sącza.
- 31.08-01.09.2013 Owocobranie w Łacku. Sobota upłynęła pod znakiem zawodów sportowych. Na stadionie GLKS odbył się Międzynarodowy Turniej Piłki Nożnej Siódemek Oldbojów o Puchar Wójta Gminy Łacko Janusza Kłaga. W zawodach wzięło udział 6 drużyn. Pierwsze miejsce zajęła drużyna Tartak Groński. Na Rynku w Łacku odbył się pokaz ratownictwa technicznego w wykonaniu OSP Łacko, po pokazie można było obejrzeć sprzęt strażacki i przymierzyć mundury. Wójt, Janusz Klag przekazał sprzęt i wyposażenie zakupione dla wszystkich jednostek OSP z terenu Gminy Łacko. W niedzielę można było odwiedzić liczne stoiska sołectw Gminy Łacko, wystawy prac twórców z Sądecczyzny.
- 01.09.2013 Złożenie kwiatów pod pomnikiem Józefa Piłsudskiego w Łacku, w 74 rocznicę wybuchu II wojny światowej, przez wójta gminy Janusza Kłaga i delegację Towarzystwa Miłośników Ziemi Łackiej,

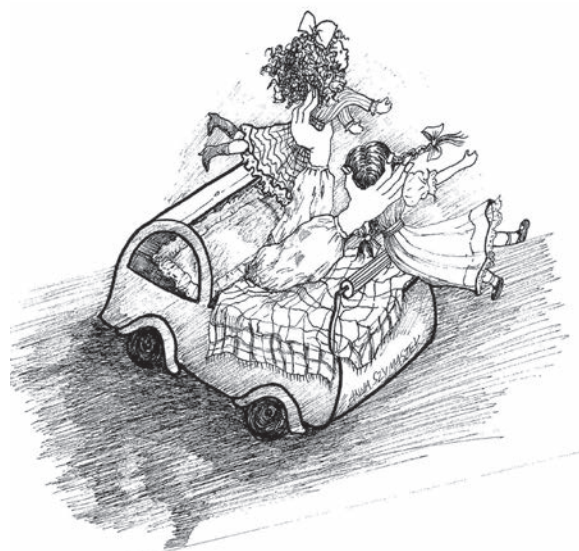
- w składzie Rozalia Duda, wiceprezes TMZŁ, Mateusz Długosz, członek Zarządu, oraz Jan Turek członek Towarzystwa.
- 02.09.2013 Rozpoczęcie roku szkolnego w gminie Łącko.
- 04.09.2013 Wizyta Wojewody Małopolskiego Jerzego Millera w Urzędzie Gminy w Łącku. W Sali Obrad Urzędu Gminy w Łącku podpisano umowę na rozbudowę Zespołu Szkolno – Gimnazjalnego w Łącku. Gmina, jako jedyna instytucja w Małopolsce, otrzymała z ogólnopolskiej rezerwy budżetowej Prezesa Rady Ministrów sumę 2.414,720 zł na rozbudowę Zespołu Szkolno-Gimnazjalnego w Łącku.
- 12.09.2013 Przekazano plac pod rozbudowę Zespołu Szkolno-Gimnazjalnego w Łącku. Budowę rozpoczęto niemal natychmiast, w pierwszej kolejności wyburzono stare skrzydło i natychmiast przystąpiono do prac ziemnych. Inwestycja dostała dofinansowanie z rezerwy budżetowej Prezesa Rady Ministrów w roku 2013 w wysokości 2.414.740 zł.
- 16.09.2013 W Urzędzie Marszałkowskim w Krakowie, wójt gminy Łącko, mgr Janusz Klag, przy kontrasygnacie skarbnika gminy Łącko p. mgr Małgorzaty Bochenek, podpisał umowy trzech kolejnych projektów na sumę ponad 2 milionów zł. Projekty te będą realizowane w ramach działu „Odnowa i rozwój wsi”, objętego Programem Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2007–2013.
- 21.09.2013 Jubileusz 30lecia Koła Wędkarskiego Polskiego Związku Wędkarskiego w Łącku odbył się w rest. Pod Jabłonią w Łącku. Wśród zaproszonych gości wójt gminy Łącko, Janusz Klag. Historię działalności koła przedstawił prezes KZ Polskiego Związku Wędkarskiego w Łącku, Zbigniew Gromala. Wójt, Janusz Klag, pogratulował członkom koła wędkarskiego pracy na rzecz ochrony środowiska i wręczył statuetki i dyplomy okolicznościowe zasłużonym członkom Koła.
- 22.09.2013 W remizie OSP w Łącku, odbyło się zebranie wiejskie mieszkańców Łącka.
- 30.09.2013 Promocja tomiku wierszy „Polskie Madonny Ludowe” Marii Kownackiej.
- 07.10-0.11.2013 Nabór wniosków o przyznanie pomocy z zakresu „Małych Projektów”, w ramach Osi 3, działanie „Wdrażanie lokalnych strategii rozwoju”, objętego Programem Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2007–2013, z udziałem środków z Europejskiego Funduszu Rolnego na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich. Wysokość dostępnych środków z zakresu „Małe Projekty” wynosi 153.385,55 zł.
- 09.10.2013 Rozstrzygnięcie międzyszkolnego Konkursu Plastycznego pt. „Jan Paweł II-Papież Dialogu”.
- 13.10.2013 W kościele parafialnym w Łącku, pod hasłem „Jan Paweł II – Papież Dialogu”, odbył się XIII Dzień Papieski. Po części artystycznej odby-

ło się wręczenie nagród w Miedzyszkolnym Konkursie Plastycznym „Jan Paweł II – Papież Dialogu”. Towarzystwo Miłośników Ziemi Łąckiej, zgodnie z wieloletnią tradycją, wręczyło jednorazowe stypendium w wysokości 500 zł, uczniom III klasy Gimnazjum w Zagorzynie, Katarzynie Janeczek.

- 16.10.2013 W tym dniu mija 35 rocznica wyboru Karola Kardynała Wojtyły na Stolicę Piotrową. Przez cały pontyfikat, 28 lat, Papież Jan Paweł II, był szczególnie wyczulony na potrzeby rozwoju intelektualnego i materialnego dzieci i młodzieży, szczególnie tych z małych miasteczek i wsi. Prosił by nie stawiać Mu spizowych pomników, lecz wspierać dzieci i młodzież w jej dążeniu do zdobycia wykształcenia. Towarzystwo Miłośników Ziemi Łąckiej realizuje tę ideę Błogosławionego Jana Pawła II, fundując od kilkunastu lat, stypendia dla młodzieży, pochodzącej z gminy Łącko.
- 19.10.2013 Obchody 50lecia Zespołu Szkół im. św. Kingi w Łącku.
- 02.11.2013 Msza św. za zmarłych członków Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej odbyła się w kościele parafialnym w Łącku.
- 05.11.2013 w tym dniu minął czas składania wniosków na „Małe Projekty”. TMZł złożyło wniosek na dofinansowanie albumu fotograficznego „Łąckowanie portret własny” tom II, na sumę 16.275.00 zł.
- 11.11.2013 Dzień Niepodległości. Po mszy świętej w intencji Ojczyzny, Towarzystwo Miłośników Ziemi Łąckiej, władze samorządowe z wójtem Januszem Kłagiem i przewodniczącym Rady Gminy Łącko, Zdzisławem Warzechą, stowarzyszenia działające na terenie Gminy Łącko, poczty sztandarowe Solidarności RI, Związku Podhalan o/ Łącko, OSP oraz mieszkańcy Ziemi Łąckiej, udali się pod pomnik Józefa Piłsudskiego, gdzie złożyli wiązanki kwiatów. W manifestacji pod pomnikiem Józefa Piłsudskiego wziął także udział proboszcz łąckiej parafii ks.dr. Janusz Paciorek. Orkiestra Dęta im. Tadeusza Moryto, wykonała wiązankę pieśni patriotycznych i legionowych.
- 22.11.2013 wmurowanie kamienia węgielnego w rozbudowywany Zespół Szkolno Gimnazjalny w Łącku. W uroczystości udział wzięli m. in. Wojewoda Małopolski Jerzy Miller, wójt gminy Łącko Janusz Klag, dyrektor Zespołu Szkolno Gimnazjalnego Barbara Stolarska, uczniowie, przedstawiciele władz samorządowych, Radni Gminy Łącko, mieszkańcy.

Almanach Łącki nr.18

Maria Golanka „Najlepsza lalkarka. Dzień niedokończonych snów”, rysunki na str. 124 i 126 są autorstwa Anny Szymaszek, a nie jak mylnie podano Miry Kostyły.



Str. 62 powinno być... Jakub Arendarczyk (1852–1930)

1. Od redakcji	str. 3
2. Andrzej Stępniewski – Wspomnienia lekarza medycyny	str. 4
3. Krzysztof Chwalibóg – Historia rodziny łąckich Chwalibogów – część IX	str. 12
4. Józef Myjak – Spod Gorców w świat centusiów i makaroniarzy	str. 27
5. Maria Kurzeja-Świątek – Wkład profesora Juliana Dybca w rozwój nauki i kultury (cz. 1)	str. 72
6. Ewa Majerska – Małe Łącko – 10 lat po jubileuszu	str. 83
7. Władysław Pierzga – Skąd przybył Krystyn zasadzca Kamienicy Gorczańskiej?	str. 89
8. Biogramy	str. 93
Kamil Korona – Maria Gromala	str. 93
Urszula Dara – Bronisław Słowik (1911–1992)	str. 95
9. Stanisław Myjak – Nadanie imienia śp. gen. Stanisława Czepielika	str. 104
10. Jerzy Leśniak – Ostatnie dzieło Marii Kownackiej (z Czarnym Potokiem w tle)	str. 108
11. Jerzy Harasymowicz – W Łącku jesień 1967	str. 113
12. Ks. dr hab. Henryk Majkrzak SCJ – Kirgistan, Tadżykistan, Turkmenistan i Uzbekistan. Kościół katolicki, społeczeństwo i zwyczaje	str. 115
13. Julian Dybiec – Stanisław Bocheński – zapomniany malarz i fotograf z Łącka	str. 136
14. Zatrzymane w kadrze	str. 145
15. Andrzej Urbaniec – Z domowego archiwum	str. 149
16. Andrzej Urbaniec – Piękno naszej ziemi	str. 150
17. Archiwalia: banknoty II RP	str. 151
18. Jadwiga Jastrzębska – IV Forum Prasy Sądeckiej	str. 153
19. Jadwiga Jastrzębska – Rocznik Sądecki tom XLI	str. 156
20. Rozalia Kulasik – I festyn pod hasłem "Razem możemy więcej"	str. 157
21. Józef Słowik – Struktura własności i użytkowania gruntów w Obidzy w świetle katastru józefińskiego	str. 158
22. Urząd Gminy Łącko – Rozbudowa Zespołu Szkolno-Gimnazjalnego w Łącku	str. 163
23. Kalendarium	str. 169
24. Listy, polemiki, sprostowania	str. 174
25. Spis treści	str. 175